

KARIERA ZNANEGO PUBLICYSTY

Wszystkie wolty Tomasza Terlikowskiego
- opisuje Piotr Semka



Czym się różni dziennikarstwo
od propagandy wojennej
- analizuje Warzecha

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 3/510 16-22 STYCZNIA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

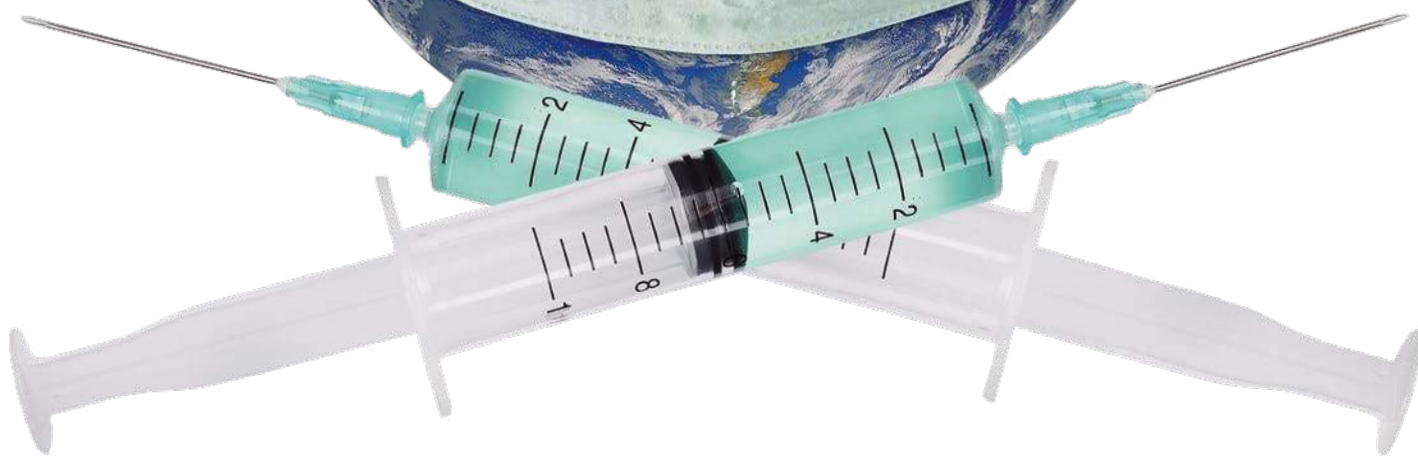
DO RZECZY



W „Gazecie Wyborczej”
antysemityzm podnosi
zwierzęcy pysk



COVID-19
- globalny humbug
XXI wieku



JAK W POLSCE PRZEŚLADUJE SIĘ UCZCIWYCH LEKARZY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
Nakład: 53 500 egzemplarzy



NARODOWY BANK POLSKI INFORMUJE:

Już w lutym do sprzedaży trafi banknot kolekcjonerski z wizerunkiem Mikołaja Kopernika, który został jednym z patronów 2023 r.



Prof. Adam Glapiński, Prezes NBP, został uhonorowany nagrodą Giganci Polska Press 2022 w kategorii „Bezpieczeństwo finansowe” za wybitne zarządzanie bankiem centralnym w czasach pandemii, wojny w Ukrainie i kryzysu energetycznego.

Warszawa, 11 grudnia 2022 r.

Międzynarodowa nagroda Excellence in Currency w kategorii „Najlepsza nowa moneta, zabezpieczenie lub rozwiązanie logistyczne”, została przyznana NBP za innowacyjną usługę zamiany monet w urządzeniach samoobsługowych.

„The Coin Conference”, Amsterdam, 18 października 2022 r.



Nagroda Strażnik Pamięci w kategorii „Instytucja” została przyznana NBP za Centrum Pieniądza NBP.

Warszawa, 7 listopada 2022 r.

Nagrody przyznane Narodowemu Bankowi Polskiemu

eprasa.pl e056e84ba5



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polityczna fuszerka dekady

W tym cały ambaras, aby dwoje chciało naraz – słowa te idealnie pasują do relacji między rządem a Brukselą. Otóż wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują na to, że Bruksela nie chce z PiS i że zrobi, co w jej mocy, by obecny rząd pieniędzy z KPO nie dostał. Nie dlatego, że mu się one nie należą, ale dlatego, że premier skutecznie przekonał Brukselę, iż bez nich przegra następne wybory.

Komisja Europejska może zatem spokojnie przyglądać się temu, jak obecne władze, na czele z premierem Mateuszem Morawieckim, dokonują seppuku. PiS,

niewątpliwie największym sukcesem rządu będzie wycofanie się z nich z podkulonym ogonem i nadzieją, że łaskawcy z Brukseli docenią wysiłek. Ale czy docenią?

Jasne jest, że Bruksela od początku, to jest od 2020 r., zamierzała wykorzystać mechanizm „pieniądze za praworządność” do doprowadzenia zmiany politycznej w Warszawie. Mimo tego polski rząd nie tylko nie zawetował tego instrumentu, lecz także mydlił oczy opinii publicznej, opowiadając, że otrzymanie funduszy to kwestia czasu. W połowie zeszłego roku okazało się, że warunkiem otrzymania pieniędzy jest spełnienie kilkudziesięciu (a może kilkuset) warunków (kamieni milowych), na czele z wycofaniem się z reform polskiego systemu sprawiedliwości. Trudno inaczej nazwać najważniejsze zmiany, nad którymi obecnie pracuje Sejm. Chodzi przecież o praktyczną likwidację systemu odpowiedzialności sędziowskiej, o zgodę na przyznanie jednemu sędziom prawa do sądenia innych sędziów, wreszcie – o odebranie prezydentowi ostatecznego prawa do nominacji sędziowskich. Jak prawo może być ostateczne, skoro o tym, czy sędzia jest czy nie jest sędzią, będzie rozstrzygała wyższa, nadrzędna wobec głowy państwa instancja?

Teraz się okazuje, że tylko w taki sposób można mieć nadzieję na to, iż pieniądze z Brukseli się pojawią. Przy tym jest to nadzieja oparta na deklaracjach ministra Szymona Szyngowskiego vel Sęka, a nie

na wyraźnym stanowisku samej Komisji. Ta przecież (doprawdy, podoba mi się humor komisarzy) w nic nie ingeruje i zostawia sprawę w rękach Warszawy.

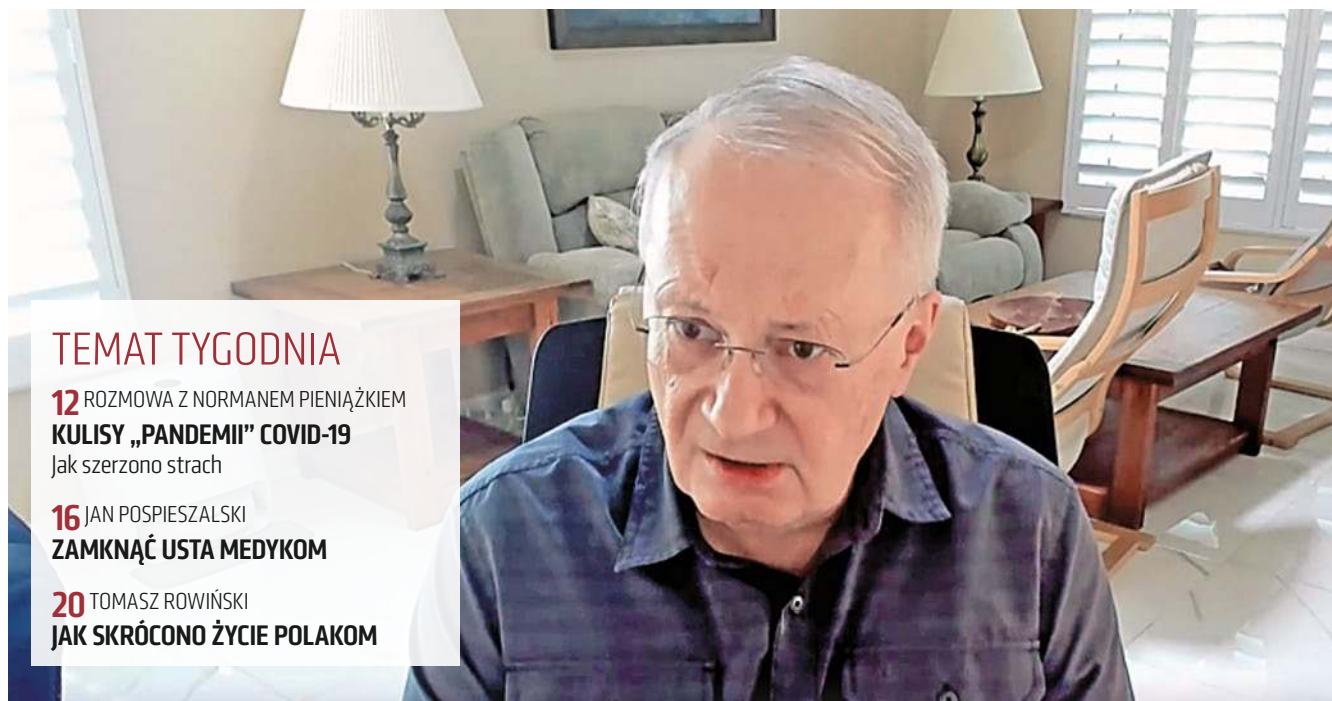
Polityka premiera doprowadziła zatem do tego, że Polska nie tylko występuje w stosunku do Brukseli w roli dziada prośbalego, lecz także, gorzej, nawet to może nie wystarczyć! Kardynalnym błędem było nie tylko samo podpisanie się Mateusza Morawieckiego pod fatalnym unijnym mechanizmem, lecz także publiczne przechwalanie się otrzymaniem pieniędzy, których się nie dostało, a następnie ogłaszanie, że bez nich sytuacja polskiej gospodarki jest dramatycznie zła. Krótko: premier sam zachęcił przeciwników obecnej władzy do jej obalenia. Im głośniej i więcej mówił o tym, jak bardzo Polska potrzebuje pieniędzy, tym bardziej skłaniał Komisję, by ich Polsce nie dać. Podobnie, im większą gotowość do ustępstw pokazuje rząd, tym większe są nadzieje Brukseli na to, że całkiem uda się go pozbyć. I tym łatwiej jest opozycji szachować władze.

Jeśli cudem rządowi uda się przeprowadzić ustawę, to Komisja zawsze będzie mogła powiedzieć, że premier źle zinterpretował unijne sygnały, bo zmiany „idą w dobrą stronę”, ale to za mało. Jeśli się nie uda, to rząd zostanie oskarżony, że pozbawił Polskę miliardów, które to, jak twierdził sam premier, są dla nas niezbędne.

Szczerze mówiąc, dawno już nie widziałem podobnej politycznej fuszerki. ©

Polityka premiera doprowadziła do tego, że Polska nie tylko występuje w stosunku do Brukseli w roli dziada prośbalego, lecz także, gorzej, nawet to może nie wystarczyć!

który wygrał wybory, mówiąc o wstawaniu z kolan i o asertywnej polityce wobec Unii, dziś chwali się tym, że „ma na piśmie” łaskawą zgodę Brukseli na odblokowanie funduszy, jeśli posłusznie i grzecznie spełni jej oczekiwania. Nie jest wprawdzie w stanie powiedzieć, kto konkretnie i co obiecał, ale to już drobiazg. Gdyby rzecz nie dotyczyła spraw poważnych i Polski, można by mówić o tragifarsie. Po siedmiu latach reform w sądow-



TEMAT TYGODNIA

12 ROZMOWA Z NORMANEM PIENIĄŻKIEM
KULISY „PANDEMII” COVID-19
Jak szerzono strach

16 JAN POSPIESZAŁSKI
ZAMKNAĆ USTA MEDYKOM

20 TOMASZ ROWIŃSKI
JAK SKRÓCONO ŻYCIE POLAKOM

KRAJ

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**KRONIKI PRZEPowiedzIANEj
KATASTROFY**
Prawo i Sprawiedliwość w kryzysie

26 PIOTR SEMKA
GDY SÓL TRACI SMAK

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
KONIEC WÓJTOWYCH GAZET?

KULTURA

32 ROZMOWA Z TOMASZEM POTKAJEM
ZWIĄZEK INŻYNIERÓW DUSZ
Sekrety Domu Literatury

36 PIOTR GOCIEK
SERCE GŁUPKA

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ŁUKASZ WARZECHA
WOJENNI PODŻEGACZE
Polska musi być ostrożna

46 MAREK JUREK
W OKOPACH PRAWDY

50 DARIUSZ WIEROMIĘCZYK
**ANTYSEMITYZM
W „WYBORCZEJ”
PODNOŚI ZWIERZĘCY PYSK**

52 ROZMOWA Z JAMESEM A. LINDSAYEM
LEWACTWO JEST JAK SEKTA

HISTORIA

54 ŁUKASZ CZARNECKI
CHIŃSKI KRÓL PIRATÓW
Koxinga niczym Bóg

58 SEBASTIAN LIGARSKI
**PRZEMILCZANE
POWSTANIE**

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
KONIEC „TRUMPA TROPIKÓW”?
Chaos w Brazylii

63 MAŁGORZATA WOŁCZYK
JAK MAROKO OGRYWA UE

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
NAJEMNICY PUTINA



68 JOANNA BOJAŃCZYK
ZAPASOWY

EKONOMIA

72 OLIVIER BAULT
ATOMOWA ZAPAŚĆ FRANCJI
Krótkowzroczna polityka Zielonych obnażona

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zielone odprusaczanie Berlina



PIOTR SEMKA

Niemiecka koalicja SPD, Zieloni, FDP nie ma w Polsce zbyt dobrej prasy. Ale gdy jest za co pochwalić naszych zachodnich sąsiadów, zawsze czynię to z prawdziwą przyjemnością. A dziś konkretnie chciałbym pochwalić dwie panie, które reprezentują formację Die Grünen, czyli Partię Zielonych. Oto szefowa niemieckiej dyplomacji Annalena Baerbock ogłosiła, że jedna z sal plenarnych niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych przestała nazywać się Salą Ottona von Bismarcka. Jak wyjaśniła Frau Baerbock, był to wynik inicjatywy pracowników MSZ i teraz pomieszczenie to nazywać się będzie Salą Zjednoczenia Niemiec. Prawicowi skrupulanci wytkną mi pewnie, że zepchnięcie z piedestału Żelaznego Kanclerza to wynik jakichś porachunków Zielonych z niemiecką historią. Nie będę się spierał. Może jest i tak. Ale kiedy niemieckie MSZ kończy z kultem polityka, który posługiwał się agresją i wojennym zniszczeniem w stylu, który przypomina obecne wyczyny Putina – to jakoś nie potrafię się oburzać.

Tak samo z dużym zainteresowaniem wysłuchałem zapowiedzi

niemieckiej szefowej resortu kultury Claudii Roth o tym, że poszukiwana jest nowa nazwa dla Fundacji Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego. Fundacja ta powstała w końcu lat 50. jako agenda niemieckiego rządu zajmująca się spuścizną kulturową, która obejmowała teren Prus rozwiązanych w 1946 r. decyzją aliantów. Jednak z biegiem czasu fundacja stała się jednym z najważniejszych mecenasów kultury w zachodnich Niemczech. I objęła rozmaite instytucje kultury z landów, które nigdy nie wchodziły w skład Królestwa Prus. Jak wskazała minister Roth: „Nazwa nie jest już aktualna, bo Prusy to ważne dziedzictwo, ale nie nasze jedyne”. Zaznaczyła, że Bawaria czy Hesja z trudem utożsamiają się z pojęciem pruskiego dziedzictwa kulturowego.

Panią minister wsparł Hermann Parzinger, obecny prezes fundacji, który opowiedział, że ma ogromne kłopoty przy tłumaczeniu na angielski tej odnoszącej się do Prus nazwy w ramach współpracy międzynarodowej. Partnerzy fundacji z Anglii czy Hiszpanii nie mogą zrozumieć, dlaczego jedna z największych niemieckich instytucji kulturalnych

nosi nazwę odnoszącą się do państwa, które nie istnieje od 76 lat.

Deputowani CDU i FDP z oburzeniem zareagowali na pomysły pani minister, które nazwali „oczyszczaniem historii”. Popołudniówka „Berliner Kurier” z troską wybiła tytuł: „Czy już nie wolno nam mówić »Prusy«?”. Z chęcią na te pytania odpowiem. Owszem, używać określenia „Prusy” można. Tylko po co? Można oczywiście wskazywać, że to w państwie pruskim wprowadzono pierwsze ubezpieczenia społeczne czy opiewać pruskich premierów, którzy w czasach Republiki Weimarskiej rozpaczliwie próbowali zwalczyć hydrę nazizmu (co niedawno przypomniał polskim widzom serial „Babylon Berlin”), ale faktem jest, że na całym świecie pojęcie „pruskość” kojarzy się z brutalnością, z zamordyzmem i agresją wojenną. Jeśli Niemcy chcą zyskiwać życzliwość sąsiadów, to tradycją pruską lepiej nie wymachiwać. Mam wrażenie, że zarówno minister stanu pani Claudia Roth, jak i szefowa dyplomacji Annalena Baerbock doskonale to rozumieją. Może czas, żeby zrozumieć to także inni politycy. ©©



FOT. WOJCIECH OLKUSZAK/EAST NEWS

AWANS POLSKI W RANKINGU POTĘG MILITARNYCH

Aż o cztery pozycje w ciągu roku awansowała Polska w Global Firepower. W najnowszej edycji rankingu nasz kraj zajmuje już 20. miejsce wśród najpotężniejszych armii świata. Global Firepower mierzy potencjał militarny 145 krajów. Pierwszą pozycję zajmują USA, na drugim miejscu jest Rosja, na trzecim Chiny. Polska wyprzedza m.in. Hiszpanię i Tajwan. (jap) ©©

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojaś**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwielis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torasiński, Szewach Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski,
Małgorzata Wolczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadło.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziello** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrzycka-Wemerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska,
Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż), **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 53 500 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Pań-
stwa listy i e-maile. Przypo-
minamy, by korespondencję
elektroniczną kierować na adres:
listy@dorzeczy.pl.

**„Kto będzie walczył za Polskę?”
Wojciech Golonka, „DR” 51/2022**

Szanowna Redakcjo,
jestem stałym czytelnikiem Waszego
tygodnika. Stanowicie niezwykle przy-
kład gromadzenia w jednym miejscu tak
różnych opinii i poglądów, co w dzisiej-
szych mediach jest rzadko spotykane.

Chciałbym konkretnie odnieść się do
artykułu Pana Wojciecha Golonki: „Kto
będzie walczył za Polskę?”. Nie podobają
mi się tezy i konkluzje zawarte w tym
artykule. Pan Wojciech Golonka raczył
zapomnieć, że wolność nie jest dana raz
za zawsze i może się zdarzyć, że trzeba
będzie o nią walczyć. Zapomniało też
chyba o tym polskie społeczeństwo – co
oczywiście nie
jest winą Pana
redaktora. Na
tak postawio-
ne pytanie
odpowiedź
jest tylko
jedna: walczyć
będziemy
my wszyscy,
Polacy.

Bo przy-
pomnę Panu
redaktorowi
i reszcie moich
rodaków, że
w Konstytu-
cji RP są
zapisane nie
tylko prawa obywateli, lecz także ich
obowiązki względem ojczyzny. I jednym
z podstawowych obowiązków każdego
obywatela jest obrona ojczyzny w przy-
padku jej zagrożenia. I nie ma tu nic
do rzeczy tzw. zaufanie do państwa lub
jego brak. Bo państwo to, nie jak pisze
Pan redaktor, wybrana władza, taka czy
inna. Państwo to my wszyscy. Kto tego
nie rozumie, powinien się zastanowić,
czy na pewno mieszka w dobrym miejscu
na Ziemi.

Ja sam mam już pięćdziesiątkę na
karku, ale jeżeli będzie trzeba, to stanę
w szeregu. Doskonale zdaję sobie sprawę
z tego, jak do tej pory wyglądała polity-
ka naszych władz w stosunku do naszej
obronności i jak duże są zaniedbania. Ale
na moim szkoleniu oficerowie zawsze
powtarzali, że wojnę zaczynają żoł-
nierze zawodowi, a kończą rezerwiści.
Tylko tych rezerwistów najpierw trzeba
mieć, a skoro ich nie ma, to trzeba ich
przeszkolić. I nie ma co płakać, szkolenie
wojskowe to nie koniec świata.

Osobiście jestem zdania, że każdy
zdrowy mężczyzna powinien przejść
takie szkolenie, a i kobietom nic złego by
się nie stało, bo chyba jesteśmy najbar-
dziej rozbrojonym narodem w Europie.

Z poważaniem
Arkadiusz Chmielewski

Od autora

Szanowny Panie,
przygotowanie narodu, zwłaszcza młod-
szych pokoleń, do zdolności do najwyższej

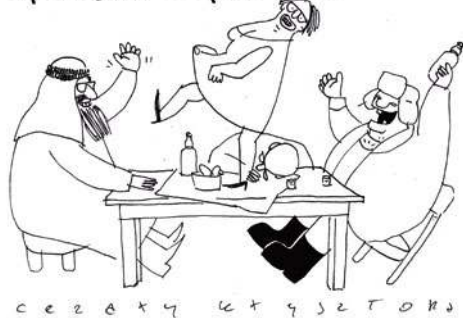
ofiary wyma-
ga realizmu,
autentyczności
i odbudowy
zaufania na linii
władza – oby-
watel. O tym jest
moja przestroga
w perspektywie
zapowiadanej
nam wojny – nie
wiem, gdzie
dostrzeżę Pan
w tym tekście
sprzeciw wobec
potrzeby obron-
ności kraju czy
amnezję wzglę-
dem wolności,

tym bardziej że piętnują nieustający pro-
ces erozji suwerenności naszego państwa.

Osobiście z pewnością nie tworzę
polskiego aparatu państwowego (i nie
odpowiadam za wytworzony przez elity
III RP brak zaufania do niego) – że widzi
Pan rzecz inaczej, to jeszcze nie powód
na sugerowanie mej banicji i pogłębianie
wystarczająco już krytycznych podzia-
łów społecznych.

Pozdrawiam
Wojciech Golonka

EUROPOSTOWIE SOGALIŚCI dokonują kedystrybucji
środków pozyskanych w ramach programu u
„pieniądze za praworządność”...





Szanowny Panie Prezydencie!

Wspólne działanie krajów Unii Europejskiej na rzecz wyjścia z kryzysu po pandemii nie może polegać na narzucaniu Polsce przemocą rozwiązań sprzecznych z interesem naszego państwa i Konstytucją.

Podyktowana przez Komisję Europejską ustawa o Sądzie Najwyższym podważa konstytucyjne uprawnienia Prezydenta do powoływania sędziów i trwałość dokonanych przez Pana powołań. Uderza to w zasadę nieodwołalności, a co za tym idzie - ogranicza niezawisłość sędziowską. Pozwala kwestionować prawo sędziów do orzekania, a tym samym prawomocność milionów wydanych wyroków. Prowadzi do anarchii i demoluje zaufanie do państwa.

Nie ma ani jednego kraju w Unii Europejskiej, w którym taki mechanizm podważania statusu sędziów obowiązuje! Dowodzi to, że narzucany przez Brukselę projekt jest nie tylko sprzeczny z polską Konstytucją, ale antyeuropejski.

Media i politycy związani z Donaldem Tuskiem przedstawiają KPO tak, jakby to były pieniądze przeznaczone na dowolny cel i niezwiązane z żadnymi obciążeniami. Polacy dowiadują się, że istotną część tych środków stanowi unijna bezzwrotna dotacja. A przecież to nieprawda! Polacy są wprowadzani w błąd! Nie wiedzą, że KPO to w istocie ukryty, drogi kredyt. Nie wiedzą, że faktycznie będą musieli go spłacać. Poprzez podwyższoną unijną składkę członkowską i nowe podatki dla Brukseli. Nie wiedzą, że według planów Komisji Europejskiej Polska będzie musiała wpłacić z tego tytułu do Unii Europejskiej kwotę co najmniej 300 miliardów złotych.

Nie wiedzą też, że KPO jest ściśle związany z narzuconym przez Unię Europejską pakietem „Fit for 55”, który będzie kosztować Polaków dodatkowo około 900 miliardów złotych.

Ponadto szereg warunków stawianych Polsce przez Komisję Europejską, a określanych jako kamienie

milowe, niesie poważne finansowe konsekwencje dla wszystkich obywateli.

Wszyscy Polacy zatrudnieni na podstawie umów cywilnoprawnych będą płacić składki emerytalne, rentowe, czy wypadkowe. Polacy zapłacą też więcej za korzystanie z samochodów, ponieważ obciążą ich nowy podatek od pojazdów z silnikiem spalinowym, a opłaty za rejestrację takich aut drastycznie wzrosną

Panie Prezydencie, Polacy już zbyt wiele płacą za decyzje podejmowane bez ich wiedzy i ponad ich głowami. W rachunkach za prąd boleśnie odczuwają koszty polityki klimatycznej UE, dla której zielone światło dał jeszcze rząd Platformy Obywatelskiej. Już prawie 40 proc. kosztów produkcji energii elektrycznej stanowią unijne obciążenia. Tylko w 2022 roku Polska bezpowrotnie straciła na unijnym systemie ponad 30 mld zł. To równowartość rocznej składki Polski do budżetu Unii Europejskiej.

Dlatego podejmowaniu kolejnych zobowiązań powinny

towarzyszyć publiczna debata i rzetelna informacja. Polacy mają prawo znać zarówno korzyści, jak i koszty wynikające z akceptacji KPO.

Panie Prezydencie, decyzje o Polsce powinny zapadać w Polsce, a nie w Brukseli czy Berlinie. Prawie 10,5 miliona Polaków głosowało na Pana, a nie na przewodniczącą Komisji Europejskiej, byłą niemiecką minister Ursulę von der Leyen.

Jak żaden inny polityk w Polsce, dysponuje Pan mocnym demokratycznym mandatem Polaków. Wybierając Pana, Polacy wybierali nie tylko swojego reprezentanta na najwyższy urząd w państwie, lecz także wizję Polski – prężnej, silnej i suwerennej.

Dlatego Pana proszę o zainicjowanie narodowej debaty i społecznych konsultacji w sprawie warunków przyjęcia KPO – w praktyce wielkiego unijnego kredytu, którego koszty nie są dziś Polakom znane.

Z wyrazami szacunku
Zbigniew Ziobro

To już prawdziwe tsunami w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana – śpieszmy się kochać jego pracowników, bo dymisja goni dymisję. Bogna Janke, Paweł Soloch i – w ostatnim tygodniu – Jakub Kumoch. Ale mamy dobrą wiadomość: przejście do rezerwy kadrowej jest tylko chwilowe.

Gdy obserwujemy te zmiany, przychodzi nam na myśl niejaki Mikołaj Kopernik. Ten od przewrotu pałacowego... tfu, kopernikańskiego. Ale nie chodzi nam o to, że wstrzymał słońce, ruszył ziemię. Kopernik był bowiem nie tylko astronomem, lecz także ekonomistą. Jego najbardziej znana myśl dotyczyła pieniądza, który... i tak dalej. Waszej dociekliwości pozostawiamy, jak brzmiał ten cytat.

Dochodzą nas słuchy, że Kumoch z rezerwy wyjdzie bardzo szybko. Ma niebawem zostać ambasadorem na pewnym półwyspie. I nie chodzi nam ani o Półwysep Arabski, ani tym bardziej Krymski, a już zupełnie nie Helski. Tylko o półwysep, na którym znajdują się dwa państwa o takiej samej nazwie. Jednak z różnymi przymiotnikami. Jedno z tych ma przymiotnik „południowa”, drugie „północna”. Waszej dociekliwości pozostawiamy...

Jak wiadomo Kumocha w Kancelarii zastąpi Przydacz. Ale kto zastąpi Przydacza przy Szucha? Sami jeszcze nie wiemy. I nie raktujcie tego, proszę, jako wyrazu naszej informacyjnej bezradności. Rzecz w tym, że nie wie tego sam Krokodyl. O tym, że Przydacz przenosi się na Krakowskie Przedmieście, dowiedział się jak zdradzana żona, czyli na samym końcu. Kto to jest Krokodyl? Waszej dociekliwości pozostawiamy...

Żalujemy Kumocha, bo nikt tak pięknie jak on nie opowiada o tym, jak tłumy lwowian fetowały godzinami wizytę prezydenta Andrzeja Sebastiana. Zazdrosnym politykom Eine Totalopposition podpowiadamy – wywoływać taki entuzjazm nie jest trudno. Wystarczy zrobić coś dla dobra jakiegoś kraju. Na pytanie: „No dobrze, ale jakiego?”, odpowiadamy nieśmiało: A może zaczęlibyście od Polski?

Wizyta prezydentów państw Trójka-Lubelskiego we Lwowie nie była jedynym ważnym wydarzeniem. Stolicę Ukrainy odwiedził także Rafcio Trzaskowski wraz z prezydentami miast Trapezu Krakowskiego. O dziwo, nie witały go tłumy kijowian. Może nie wiedzą, że partia Rafcia chciała kiedyś przyjmować Rosję do NATO, a Donald z Sopotu się z nią wdzięcznie resetował. Ale nic to, jak się dowiedzą, to następnym razem powitają Rafcia bardzo licznie. Nie gwarantujemy jedynie ich nastroju.

Ktoś zapyta, dlaczego grupę postępowych prezydentów Warszawy, Budapesztu, Pragi i Bratysławy nazywamy Trapezem Krakowskim? Cóż, nazwa Cyrk Rafała wydawała nam się zbyt obraźliwa. A trapez to taki nieudany prostokąt. Słowo „nieudany” bardzo pasuje zaś do wszystkiego, co związane z Platformą Łobywatelską. No i Rafcio to jednak z krwi i kości krakus, choć udaje warsiawiaka.

Rafcio zapewnił, że włączy się w odbudowę Ukrainy. Widzimy już oczyma duszy to wsparcie. Kolejne odbudowywał będzie Sławek Nowak, meliorację – Staszek Gawłowski, szpitale – marszałkissimus Tomasz Grodzki, dyplomację – Radek Sikorski, rozrywkę – Miro Drzewiecki i Zbigniew Chlebowski. To oczywiście ponury żarcik. Zbyt mocno kibicujemy Ukrainie, by życzyć jej tego, co Platforma ma najlepsze.



Co jakiś czas musimy dokonywać aktualizacji programu PeŁo. Tak czynimy i z okazji głośnego wystąpienia Bogusława Grabowskiego, ulubionego ekonomisty Eine Totalopposition. Dołożył ważne elementy do planów Schetyny Ludojada i Złego Donalda z Sopotu. Podsumujmy zatem: 1) zlikwidujemy IPN; 2) zlikwidujemy CBA; 3) zlikwidujemy TVP Info; 4) zlikwidujemy programy socjalne; 5) zlikwidujemy złotego; 6) zlikwidujemy wszystko, co państwowe. To już jest jakiś konkret. Szóstka Zagłady. Proponujemy taką właśnie, chwytliwą nazwę.

Żli ludzie twierdzą, że nie ma się co przejmować, bo PeŁo i tak nic nigdy nie wychodzi z jej licznych programów. Polemizujemy. Sądząc po uważnej lekturze wyroków, sprywatyzowanie sądów mogło się jej już udać.

Àpropos TVP Info – podobnie jak reszta kraju z zapartym tchem obserwowaliśmy happening senatora od Szymka Płacznego Hołowni, Jacka Burego. To ten, który roztrzaskał w studiu ogórka. Większe wrażenie zrobiłby na nas, gdyby uczynił to w programie Magdaleny Ogórek, a nie Miłosza Kłeczka. Trudno.

Jego występ skłonił nas jednak do stworzenia krótkiego utworu rymowanego. „Jednego wzywają do prokuratury / drugi na stole rozwała ogóry / czy Jan to czy Jacek – typ raczej ponury / tam, gdzie opozycja – zawsze jakiś Bury”. W ten sposób za jednym zamachem uczciliśmy nie tylko import ogórków z Rosji, lecz także aferę podkarpacką, w sprawie której zarzuty dostał Jan Bury, dawna gwiazda Peezelu.

Àpropos zarzutów. W europarlamencie szykuje się zaostrenie przepisów – efekt Katargate. W powietrzu m.in. wisi zakaz prowadzenia tzw. grup zagranicznych. Czyli ciał, które można było założyć, by pogłębiać relacje z jakimś wybranym krajem spoza UE. Ofiarą paść może np. grupa UE – Zjednoczone Emiraty Arabskie. To już czysty rasizm: zakładanie, że każdy Arab musi być łapówkarzem. Cóż, z drugiej strony Polska jest w PE ofiarą niemal systemowego rasizmu, więc nie jesteśmy zdziwieni. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O walce z **biedą i drożyzną**

Ursula von der Leyen przybyła z krótką wizytą do Rzymu. Rozmawiała z premierem Giorgią Meloni o walce z rosnącymi kosztami energii w ramach planu „REPowerEU” i związanych z nim inwestycjach.

Prawicowe media pokpiwają, że Komisja Europejska, której Niemka przewodzi, postanowiła na dobry początek zainwestować w siebie, a dopiero potem w „REPowerEU”. Informują, że pani przewodnicząca dostanie 2044 euro miesięcznej podwyżki, z czego wynika, że będzie zarabiała ponad 1000 euro dziennie. Komisarze też się wzbogacą (o 1667 euro miesięcznie). A reszta ferajny w Brukseli i Strasburgu dostanie siedmioprocentową podwyżkę w ramach dodatku antyinflacyjnego

go zwyczajnego i nadzwyczajnego. I to z wyrównaniem za sześć ostatnich miesięcy. Słowem – żyć nie umierać.

Były premier i wódz kontestatorów Ruchu Pięciu Gwiazd Giuseppe Conte 31 grudnia na swojej stronie internetowej zamieścił zdjęcie ogromnej kolejki przed darmową stołówką w Mediolanie, zilustrował je melancholijną muzyką i podpisał: „Dziesięć tysięcy biedaków tłoczy się po ciepłą strawę w Boże Narodzenie. To Italia, na którą inni [czytaj: rząd – przyp. P.K.] nie chcą patrzeć, odwracają się plecami i radzą, żeby ci ludzie znaleźli sobie pracę. Tylko my patrzymy tym biedakom prosto w twarz”. Jak się okazało, Conte patrzył nieszczęśnikom w twarz z bardzo daleka i z bardzo

wysoka. Paparazzi wytropili go z narzeczoną na tarasie Grand Hotel Savoia w Cortina d’Ampezzo (1500–3000 euro za dobę).

Z tej okazji media przypominają, że inny czempion walki o lepszy świat, komunista maoista Gad Lerner, nie tak dawno temu apelował w swoich mediach społecznościowych na filmiku o przyjmowanie migrantów ze swojej luksusowej letniej rezydencji. Pustej. Internauci pytali złośliwie, ilu migrantów sam już przyjął. Na dodatek Lerner przed nagraniem zapomniał zdjąć z przegubu rolexa, czym rozjuszył nawet swoich najzagorzalszych fanów.

A przy okazji okazuje się, że na walce o sprawiedliwość społeczną można nieźle zarobić. © ©

Tutor jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

ODMIENNE STANY
ŚWIADOMOŚCI

Wielkie i ważne wydarzenia mają to do siebie, że rezonują w naszej mediasferze długo. Tak jest z Sylwestrem Marzeń. Cóż z tego, że od imprezy TVP mijają ponad dwa tygodnie. Temat żyje! Wokalistka Justyna Steczkowska, jedna z gwiazd koncertu, była oskarżana o próby zasłonięcia tęczowej opaski, którą miał na ramieniu członek amerykańskiego zespołu Black Eyed Peas. Jusia miała dokonywać tego skandalicznego sabotażu, gdy pozowała z muzykami do wspólnej fotografii. W końcu piosenkarka,



FOT. ARTUR BARBARDYŃSKI/FAST NEWS

po zablokowaniu najbardziej agresywnych werbalnie obserwatorów na Instagramie, odniosła się do komentarza jednego z nich. „Widzisz świat swoimi oczami i masz do tego prawo. Jestem w innym miejscu życia i świadomości niż ty. Zobacz świat z lotu ptaka. Zajrzyj we wszechświat” – zaapelowała Steczkowska. Gwiazda podkreśla, że „to nie PiS nas wykańcza”. Winna jest „brudna energia”, „Wykańczamy się sami tą brudną energią, ocenami, pouczeniem itd. Wyłącz tv i żyj swoim życiem. I mnie daj

żyć swoim. Ja twojego nie oceniam i proszę o to samo” – podsumowała wokalistka. A ja proszę, abyśmy naprawdę zakończyli już temat nieszczęsnego Sylwestra Marzeń.

DODA ODPINA
WROTKI

Stanie się to zaraz po tym, jak nasze drogie celebrytki powbijają sobie wzajemnie wszystkie możliwe szpileczki. Obok Jusii na imprezie TVP wystąpiła inna diwa polskiej muzyki – Edyta Górniak. Nie sama, na zakopiańskiej scenie pojawiła się z synem Allanem, który zabawił się w DJ-a. Takiej okazji nie mogła przegapić wieczna wroginia Edzi, czyli Doda Elektroda. Panie nie darzą się sympatią od lat, a więc Dorota, zapytana o występ Edzi, odpięła wrotki. „Kumulacja nieszczęść” – tak określiła wspólny występ matki i syna. – Najpierw Allan, któremu Edyta zapomniała powiedzieć, że jak się śpiewa z playbacku, to trzeba mieć mikrofon przy buzi. Następnie Edyta, która zaplątała się w rękaw swojego futra, więc przez całą piosenkę, biedna, musiała udawać, że to jest taka jej stylówka – kpiła Doda Elektroda. – Mnie się bardzo podobało. Ja wiem, że niektórzy odbiorą to jako złośliwe i sarkastyczne, ale ja naprawdę nie jestem złośliwa, bo ja naprawdę uważam, że to było rozkosznie zabawne – przekonuje gwiazda. No ja jej wierzę.

OBALANIE PIS
SPOD PALMY

Wracając jeszcze na chwilę do „dziewczyny szamana”. To, że Jusia Steczkowska nie oskarża partii rządzącej o całe zło tego świata, nie oznacza, że nie robi tego, z niekłamną rozkoszą, była prezenterka TVN, aktywistka i egzotyczna influencerka Kinga Rusin. Przebywając gdzieś hen od kraju pod palmami, Rusin nie zapomina o kraju pogrążonym w PiS-owskiej beznadziei. Troszeczkę dała wyraz po raz kolejny, składając wraz z ukochanym noworoczne życzenia. „W 2023 życzymy Wam i nam odejścia PiSu, prymitywnej, pozbawionej skrupułów garstki nieudaczników i fundamentalistów, którzy doprowadzili nasz kraj do ruiny

i zadłuzyli go na dziesięciolecia” – pisze Kinga, spoglądając na swoich fanów z „uśmiechniętego” zdjęcia. Następnie Rusin przechodzi do refleksji nad podróżami. „Sylwester świętowaliśmy... przez kilka dni, tak, jakby marzenia już się spełniły. W naszej, trwającej już trzeci rok, podróży dookoła świata (właśnie objechaliśmy indyjski Radżastan) zdarza nam się wracać do miejsc, w których wcześniej byliśmy, o ile są naprawdę wyjątkowe. Meksykański Jukatan jest idealny na noworoczną imprezę! W żadnym innym miejscu nie znaleźliśmy takiego klimatu do zabawy, takiej odlotowej muzyki i pysznego jedzenia jak tu” – zachwala. Kinia jest żywym obrazowaniem hasła: „Weźmy, zróbcie”. PiS obala, ale na Instagramie.

CZY TO JESZCZE
BIZNESKLASA?

Na koniec dramat. Prawdziwy. Autorka najwybitniejszej książki ostatniej dekady, Blanka Lipińska, ruszyła podbijać Tulum. Piachu w szprychy urlopowych planów Blani nasypał LOT. „Duma Polski (czy coś w ten deseń) – głosi napis na kadłubie samolotu Dreamliner LOT. No nie wiem. Drogi Locie (bo zaiste tani nie jesteś), może czas pochylić się nad serwisem maszyn? Lot do Meksyku trwa 13 godzin! To jest BARDZO długi lot. A ludzie kupujący miejsca w klasie biznes płacą dwa razy tyle za bilet, by móc podróżować wygodnie. Lub tak jak ja nie mają wyjścia, bo mój kręgosłup nie wytrzymałby siedzenia przez 13 godzin, więc muszę leżeć. To jest główna moc biznesu, rozkładane siedzenie. I teraz wyobraźcie sobie, że moje siedzenie rozkładało się tylko do połowy. Dobrze, że wzięłam ze sobą leki przeciwbólowe, bo po tej podróży łyskam je jak groszki” – relacjonowała pisarka. To jednak nie koniec. „Para, która siedziała obok nas, miała całkowicie zepsute fotele i przez całe 13 godzin lotu siedzieli jak na krzesłach. Nie mogli pochylić oparcia nawet odrobinę. 13 godzin na »super prostych pleckach«. I nie dało się ich nigdzie przesadzić, bo samolot był pełen. Nawet nie wiem, jak to podsumować” – skwitowała Lipińska. Ja też nie wiem. A więc dobre go tygodnia! © ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie, od ładnych paru lat prowadzimy misję... nie, wróć, to brzmi, jakbyśmy byli jakimś zakonnikami w Afryce; chcieliśmy powiedzieć, iż od kilku lat zajmujemy się działalnością edukatorską w zakresie postępu, równości, nowoczesności, a nawet postnowoczesności i postpostępu.

Idzie nam raz lepiej, raz gorzej, ale jesteśmy pełni zapału, iżby gonić Europę. Tylko jak mamy to robić, kiedy nasze własne państwo rzuca nam kłody pod nogi i następnie leżących ciągnie do średniowiecza? No bo jak inaczej mamy nazwać ostatni pomysł Ministerstwa Pracy i czegoś tam, wiecie, tego, które rozdaje zasiłki i „500+”, aby wprowadzić do Kodeksu pracy dodatkowe dni wolne spowodowane działaniem... siły wyższej?

Jak w ogóle takie pomysły i zapisy się mają do konstytucyjnej zasady rozdziału Kościoła od korpo? Jak taki Nowy z Tarnowa powie, że on dziś nie pracuje, bo będzie rozmawiał z siłą wyższą, to co – mamy nad tym przejść do porządku dziennego? Przecież to jawna dyskryminacja osób ateistycznych oraz agnostycznych. Jeżeli już takie przepisy w tym naszym katotalibanie miałyby obowiązywać, to nie mogliśmy ich nazwać, nie wiemy, jakimiś siłami natury albo siłami ewolucji? Lub szerzej: „urlopem z przyczyn naukowych”?

Obawiamy się dwóch rzeczy: że teraz Unia to nas w ogóle nie będzie chciała, a po drugie, iż będzie to szeroko

nadużywane w społeczeństwie i będzie kombinowanie, jak tu się tą siłą wyższą wytłumaczyć. A tak w ogóle to spiszek Kościoła, iżby więcej osób się deklarowało jako churchingowo aktywni.

Re-pa-ra-tio-NEIN!



c e z e t y k e t y 1 2 5 0 r d

Znów się pojawiają te niedorzeczne oczekiwania ze strony obozu rządzącego, które dotyczą uzyskania reparacji wojennych od Niemiec. Przypomnijmy podstawy: za wojnę odpowiadają przede wszystkim beznarodowi naziści, którzy okupowali Niemcy w latach 1933–1945, więc oczekiwanie czegokolwiek od współczesnych Niemiec jest po prostu grubym nietaktem.

Ale wracając do meritum. Dlaczego spośród tak wielu rzeczy, jakich można oczekiwać, polski rząd uparł się na te reparacje? Serio, nie ogarniamy, co oni sobie myślą, iż niemiecki rząd wyśle do Polski tych wszystkich swoich inżynierów, naukowców i oni będą tutaj nam na miejscu reperować te wszystkie mosty, budynki, sprzęty, które uległy zniszczeniu w wyniku działań wojennych?

Przecież to jest totalne odwrócenie porządku rzeczy, wiadomo, iż od dawna to Polacy jeżdżą na Zachód do tradycyjnych prostych prac fizycznych niewymagających szczególnego zaangażowania intelektualnego. A teraz rząd by chciał, iżby potomkowie Wagnera czy Bacha przyjechali i machali u nas śrubokrętem? Jakby co deklarujemy: my żadnych reparacji nie chcemy, a te roszczenia nie są w naszym imieniu. Nam zależy na dobroślasiedzkich stosunkach i utrzymaniu obecnego status quo, a nie cudowaniu na arenie międzynarodowej.

Lol, dowiedzieliśmy się, iż istnieje taki sport jak piłka ręczna i właśnie w tym kraju trwają jakieś mistrzostwa. Strasznie nas to bawi xD, bo to kolejny sport, w którym ktoś kiedyś wymyślił, iż można łapać piłkę jakąś konkretną kończyną, a inne są niedozwolone, a wszyscy za tym bezmyślnie podążają.

Jakby nie można było wymyślić jednego sportu, w którym piłkę można dotykać, czym się chce, kiedy chce i bez żadnych zasad ani sędziów. Raz, że ograniczyłoby to liczbę dyscyplin sportowych, a co za tym idzie – mistrzostw i innych imprez, a dwa – iż reprezentacja tego kraju byłaby w to słaba tak, jak w każdym innym sporcie z piłką, więc nie będzie zwielokrotnionego ryzyka rozbudzania uczuć patriotycznych, co – jak wiadomo – prowadzi do fashysmu. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Masz pięć złotych?

Szymon, masz może pożyczyć pięć złotych? Pizze zamówiłem i chcę napiwek dostawcy dać. A mam tylko całe pięćdziesiąt. Jasne, zaraz ci mogę Blikiem przerzucić na telefon.

Ale ja nie potrzebuję na telefonie. Ja potrzebuję dać człowiekowi do ręki. Pięć złotych. Moneta taka. O nie, mój drogi, ja nie używam gotówki. A wy w tym PiS-ie to zafocani jesteście i dlatego przegracie.

Ale jak ja mam twoim zdaniem dać facetowi od pizzy napiwek? Przelew mu mam zrobić na konto? No, to już jego problem. Niech się w terminal wyposażą.

Znaczy – ma dwa terminale nosić? Jeden służbowy, a drugi prywatny na napiwki? Oj, nie wiem, nie zadawaj mi takich pytań z tezą. A jak będziesz szedł odebrać, to możesz mi przy okazji w automacie tam przy wejściu colę kupić?

A masz pięć złotych? Bo tam czytnik do kart nawalił. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wejście do strefy euro byłoby dobre dla gospodarki”.

ADAM SZŁAPKA, przewodniczący Nowoczesnej i poseł KO, w rozmowie z Radiem Plus



Z Normanem Pieniążkiem,
doktorem nauk przyrodniczych,
ekspertem w dziedzinie
biologii molekularnej
rozmawia Jerzy Karwelis

Kulisy „pandemii”

JERZY KARWELIS: Ponieważ chcę z panem porozmawiać o całości covidowej pandemii z pozycji naukowych, proszę, by się pan przedstawił, głównie z tej strony, która potwierdzi to, że wie pan, o czym mówię. Kim pan jest, doktorze Pieniążek?

NORMAN PIENIĄŻEK: Urodziłem się w Polsce, skończyłem genetykę na Uniwersytecie Warszawskim u prof. Wacława Gajewskiego. Zrobiłem doktorat w Zakładzie Genetyki UW. W latach 70. wyjeżdżałem na zagraniczne stypendia naukowe. W stanie wojennym nie wróciłem ze stypendium w Hiszpanii i przeniósłem się do USA.

Jakie osiągnięcia naukowe predestynują pana do szerszej wiedzy o naturze koronawirusa i oceny strategii walki z nim?

Jestem biologiem molekularnym, wykładałem genetykę molekularną, zajmowałem się wirusologią. Po dwóch latach pobytu w Stanach wygrałem konkurs rozpisany przez CDC [Centrum Kontroli i Prewencji Chorób – przyp. red.] na stworzenie laboratorium referencyjnej diagnostyki molekularnej. W CDC przepracowałem 24 lata, do 2013 r., kiedy przeszedłem na emeryturę.

Jakie badania w tym laboratorium miały wpływ na pańską wiedzę o koronawirusie i jego diagnostyce?

W świetle badań, których tam dokonaliśmy, dwa były kluczowe dla zrozumienia koronawirusa. Pierwsze to było POIS, czyli badanie infekcji układu oddechowego u ludzi chorych na HIV. Dowiedziałem się z tego badania, że diagnostyka molekularna to nie jest złoty standard, co jest ważne w przypadku obecnego stosowania technik testów PCR na obecność wirusa SARS-CoV-2 (COVID). Drugi projekt trwał sześć lat. Jego wynik był tak ważny, że ktokolwiek

Doktor Norman Pieniążek – biolog, doktor nauk przyrodniczych ze specjalnością genetyka biochemiczna, były profesor biologii molekularnej na Wydziale Genetyki w Sewilli w Hiszpanii oraz profesor mikrobiologii i Parazytologii na Medycznym Uniwersytecie Stanowym w Luizjanie w USA. Od 1989 r. do przejścia na emeryturę w 2013 r. był twórcą i szefem pierwszego Laboratorium Molekularnej Diagnostyki Referencyjnej w Narodowym Centrum Chorób Zakaźnych (CDC) w Atlancie w USA. Doktor Pieniążek opublikował ponad 140 prac w prestiżowych czasopismach, m.in. w „Nature”. Jego prace były i nadal są cytowane już ponad 8,2 tys. razy. Jest specjalistą w dziedzinie biologii molekularnej ze szczególnym uwzględnieniem testów diagnostycznych PCR wszelkiego rodzaju, wirusologii, epidemiologii, a także związanymi z tym aspektami zdrowia publicznego, jak maski, odkażanie powierzchni i inne. Posiada również wiedzę z zakresu immunologii i szczepionek. Jego indeks Hirscha to 54.

Trzeba wrócić do historii statku wycieczkowego „Diamond Princess”. Jest luty 2020 r. Mamy stojący na redzie wycieczkowiec w kwarantannie. Zaczęła się ona 31 stycznia i trwała do końca lutego. Chińczyk z Wuhan, chory na COVID, latał do Hongkongu, Tokio i Jokohamy, pływał statkiem i spotykał się z tysiącami osób. Profesor wirusologii Kentaro Iwata jedzie do stojącego na redzie statku i nagrywa filmik (jest na YouTube), gdzie mówi, że według niego wszyscy tam na statku umrą. Okazało się, że zmarło w trakcie kwarantanny osiem osób na 3711 pasażerów i załogi, w większości, jak to na wycieczkowcach, i tak stojących nad grobem. W dodatku zestresowanych sensacyjną kwarantanną, którą transmitowało pół świata. Wśród załogi zero nawet kataru.

No dobrze, ale z czym mieliśmy do czynienia? Z tygrysem czy kotkiem? Przecież to groźny SARS.

No właśnie – główny kłopot z tym wirusem to... nazwa. SARS oznacza ostrą infekcję dróg oddechowych, patogen o wysokiej śmiertelności. Gdyby to był SARS, to cały wycieczkowiec, w i tak nieszczelnej kwarantannie na statku, by padł. Nazwano go SARS-CoV-2 w celach panikarskich, gdyby się nazywał DT53/N3 czy jakoś inaczej, to nikt by w nim nie upatrywał śmiertelnej choroby.

No dobrze, przejdźmy więc do drugiego filaru – testy PCR. Były, są OK? Spotkałem się z licznymi opiniami, że gdybyśmy nie wtykali tego termometru każdemu i wszędzie, to nawet byśmy nie wiedzieli, że jest jakaś pandemia.

No, racja. Popatrzmy na grypę. Co roku mamy w Polsce kilka milionów zakażonych. Ale dotychczas nikt nikomu niczego w gabinecie lekarza do nosa nie pchał, bo nie było ważne, co cię zakaziło (vide: wcześniejsze 62 proc. nieznanego pochodzenia zapaleń płuc). Lekarz badał, czy nie masz zapalenia płuc, i odsyłał do domu, by zmniejszyć kontakt i odpocząć. Jeśli były jakieś komplikacje, to do szpitala i leczenie zapalenia płuc antybiotykami o szerokim spektrum działania.

No to co z tymi testami? Co pokazywały?

Jest takie badanie CDC, którego wyniki sprowadzają się do tego, że oznaczanie wirusów na podstawie wymazu z nosogardła pokazuje nam bardziej, jak zanieczyszczone jest powietrze, którym oddychamy, niż infekcję.

COVID-19

zajmował się koronawirusem, powinien przeczytać ten raport. Przebadano kilka tysięcy pacjentów z zapaleniem płuc i okazało się, że u 62 proc. z nich nie można było stwierdzić przyczyny choroby. No i jak się pojawił COVID, to machnięto czarodziejską różdżką i 1,5 tys. innych wirusów zniknęło i został tylko koronawirus. To bzdura.

Ja chcę tu dziś z panem rozebrać po kolei wszystkie filary covidowej pandemii. Zaczniemy więc od początku. Jest wiele hipotez, skąd wziął się wirus. Skrajne to takie, że wydostał się z laboratorium w Wuhan, gdzie był specjalnie hodowany. Druga

skrajna teza to taka, że przeskoczył z nietoperza czy łuskowca na człowieka na mokrym targu w Wuhan. Która wersja jest według pana prawdziwa?

Jeżeli ktoś twierdzi, że stworzono specjalnie wirusa, żeby go wypuścić, to mówimy już o broni biologicznej. Wyhodowaniem wirusów bez antidotum na nie zajmowano się już od dawna. Kłopot jest w tym, że nie wiadomo, jak to testować, skoro każdy się może zakazić, nawet testujący.

Z czym mieliśmy do czynienia w przypadku koronawirusa?

■ Wróćmy jeszcze raz, tym razem do europejskiego początku. I to nie epidemiologicznego, ale w obszar zdarzeń, i to medialnych. Ciężarówka z trumnami w Bergamo. Czego byliśmy świadkami?

W Bergamo byliśmy świadkami tego, że stwierdzono tam, iż jest epidemia, i uciekli wszyscy, którzy opiekowali się ludźmi starymi. W Bergamo światowe media pokazały dwie rzeczy: ciężarówkę wyładowaną trumnami i kościół wypakowany dziesiątkami trumien. Ciężarówka była wypełniona trumnami z powodu tego, że zakłady pogrzebowe nie pracowały, bo były w lockdownie. Natomiast zdjęcia z kościoła to były kadry sprzed kilku lat, po katastrofie statku z uchodźcami na morzu. Niedawno opublikowano statystyki dwóch szpitalnych statków ściągniętych do portu w Nowym Jorku, każdy przewidziany na tysiąc pacjentów. Okazało się, że przez cztery pierwsze tygodnie przewinęło się przez nie ok. 20 pasażerów.

Tak, na naszym Stadionie Narodowym przez specjalny szpital przez cały okres, kiedy „działał”, przeszło 36 pacjentów. No ale takie były modele matematyczne przewidujące rozwój pandemii...

Tak, ale popatrzmy, jak to działało. Główny twórca tych modeli, Brytyjczyk Neil Ferguson, idzie z tymi strasznymi wykresami śmierci do ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii – Johnsona. Ten go spławia, a więc nasz „modelarz” idzie od razu do BBC i w dramatycznym wywiadzie mówi, że premier właśnie zdecydował o wymordowaniu milionów Brytoli. Media łapią taką sensację, podbijają bębnek i... premier się poddaje. Mediom, nie nauce. U nas też jest taki ośrodek prognoz. Prowadzi go jakaś tam pani geograf.

Kolejny filar to są badania naukowe. Pan jest głosem tezy, że trzeba odrzucić wszystkie badania po marcu 2020 r.

Tak uważam, o czym piszę od maja 2020 r. Ale to nie moja teza, tylko prof. Romana Zielińskiego. On uważa, że te wszystkie „badania” to neofitysenkizm. Tak są sfalszowane pod tezę.

W maju 2020 r. np. ukazały się dwie prace, które dowodziły, że hydroksychlorochina (którą wyleczono Trumpa) powoduje uszkodzenie serca. Ja z racji swego zawodu dużo współpracowałem z ludźmi zajmującymi się malarią, a hydroksychlorochina jest podstawowym

W Bergamo światowe media pokazywały ciężarówkę wyładowaną trumnami. Ciężarówka była wypełniona trumnami z powodu tego, że zakłady pogrzebowe nie pracowały, bo były w lockdownie

lekiem stosowanym na malarię przez... miliardy ludzi. To co, nagle zaczął on szkodzić? Toż miliardy dawno by zmarły na serce, gdyby to była prawda. To by już dawno wykryto... Po dwóch tygodniach prace wycofano, ale tej informacji media już nie podały. Walka z lekami na COVID otwierała drogę do przyjęcia szczepionek bez należytych badań, w trybie nadzwyczajnym. Jednym z trzech warunków nadzwyczajnie szybkiego dopuszczenia szczepionki bez należytych badań jest to, że na chorobę, przeciwko której jest szczepionka, nie ma leku.

A więc czy może to wyglądać na to, że cały okres od (u nas) marca 2020 r. do końca roku można potraktować jako okres przygotowawczy, akcję pomyślaną pod przyszłe szczepionki? Media i szerzenie paniki, osłabienie odporności poprzez stres, nieleczenie pacjentów, ograniczenie dostępu do służby zdrowia. Na końcu taka panika, że narody same domagały się jak najszybszego wprowadzenia szczepionek, niecierpienia się z długotrwałymi badaniami. Na co władze odpowiedziały z ochotą. Pomijam tu wyścigi rządów, w których każdy chciał się wykazać jak najszybszym spełnieniem tych histerycznych, choć medialnie indukowanych życzeń.

Wydaje się, że był taki okres, gdzieś do maja 2020 r., kiedy jeszcze odbywała się dyskusja. Potem był już tylko wypis neofitysenkizmu, krańcowo dalekiego od medycyny opartej na dowodach. Do tego z drugiej strony blokowano wszelkie możliwe głosy, inne niż ustalony chór. A brak dyskusji blokuje krążenie wiedzy, a więc i rozwój nauki.

Teraz filar główny covidianizmu – szczepionki. Pan uważa, że jest ich kilka rodzajów, a w pandemii wybrano tylko jeden, w dodatku najbardziej szkodliwy.

Najstarsze są szczepionki do wszczepiania wirusa podobnego do właściwego, ale nieszkodliwego dla człowieka (np. krowianka). Organizm wytwarza reakcję obronną na podobne wirusy i po krzyku. Potem były szczepionki atenuowane, czyli osłabiane poprzez pasażowanie (kolejne zakażanie) wirusa, i takiego

„ślebaka” wszczepiano. Reakcja była taka sama: układ immunologiczny reagował jak na aktywnego wirusa i generował odporność. W latach 70. zaczęto prace nad szczepionkami, opierając się na inżynierii genetycznej. Wiadomo było, że nie wszystkie wirusy można tak osłabić, a więc na takiego np. wirusa zapalenia wątroby typu B trzeba było coś znaleźć. I tu postawiono na wygenerowanie białka wirusa sztucznie, ale poza organizmem szczepionego. I te szczepionki są od dawna, nazywają się pojednostatkowe.

No dobrze, ale obecne szczepionki mRNA to jakiś nowy pomysł „z okazji” koronawirusa?

Ależ skąd! To lata 80. Były badane w każdą stronę. W roku 2019 ukazała się ostateczna metaanaliza, czyli podsumowanie wszystkich badań, ze szczepionkami mRNA. Odrzucono kategorycznie stosowanie jej u ludzi, a nawet zwierząt. Oszuści od razu zaczęli mówić, że to taka sama technologia jak w szczepionkach na polio czy na ospę prawdziwą, że to działa wspaniale, to czemu ma nie zadziałać na COVID. Oszustwo polega na tym, że wirusy infekujące układ oddechowy to całkiem inna bajka niż te na odrę czy na ospę. Te od dróg oddechowych to są wirusy sezonowe, one wracają, mutują. Szczepienie na takie wirusy (na razie) to fikcja. Bo np. takie szczepionki na gripę u ludzi zdrowych i młodych to skuteczność 2,8 proc., a u starszych – zero.

To oszustwo. A na czym polega wada tej szczepionki?

W tym kłopot, że ma ona jedną poważną wadę. Szczepionka mRNA rozchodzi się po całym organizmie. I efekty jej działania utrzymują się długo. Znajdowano je w różnych organach: płciowych, mózgu, nerkach, sercu... Organizm traktuje to nie jako zainfekowanie mięśnia naramiennego, ale całego organizmu, i walczy z patogenem, niszcząc zainfekowane komórki z niemożliwymi do przewidzenia skutkami.

Jaki jest mechanizm tego rozprzestrzeniania się szczepionki?

Tradycyjne szczepionki, oparte na immunogennym białku, są nietrwałe. To znaczy utrzymują się krótko w mięśniu naramiennym do reakcji systemu immunologicznego, który odczytuje szczepionkę jako patogen i reaguje. W przypadku szczepionek mRNA jej nanocząsteczki lipidowe nie są immunogenne, nie wywołują reakcji organizmu, bo system odpornościowy by je rozwalił, zanim wygenerowałyby w komórce białko kolca. A więc w pierwszej fazie mogą się one rozchodzić bezkarnie i dotrzeć do różnych organów. I w wyniku tego na powierzchni komórki pojawi się białko, mówimy wtedy o transformacji genetycznej. Stransformowane komórki są rozpoznane jako obce i są zabijane z nie-
możliwymi do przewidzenia skutkami.

Czyli dyskusje, czy szczepionka mRNA jest preparatem genetycznym, mają swoje rozwiązanie, i to nie tylko na poziomie dzielenia włosów na czworo?

Tak, to są preparaty genetyczne, gdyż dokonują transformacji genetycznej komórki, do której się dostaną. W dodatku jest problem integralności samych szczepionek. W różnych partiach tych samych producentów powtarzalność deklarowanego składu nie przekracza kilku procent. I wtedy to już w ogóle nie wiadomo, gdzie to idzie i co robi, skoro nawet nie jesteśmy pewni, co to jest.

Mamy teraz wysyp wszelkich chorób. Na rekordowych poziomach, w różnych grupach wiekowych. Udar, zawały, zapalenia mięśnia sercowego, zakrzepice, raki i nawroty chorób zaleczonych, praktycznie wszystko. To może być przez te szczepionki? Bo szukane są (oczywiście przez chętnych) jakieś przyczyny zewnętrzne o skali światowej i do głowy przychodzi tylko fakt zaszczepienia ludzkości.

Może tak być, ale nie widziałem jeszcze poważniejszych badań na ten temat.

Ale czy nie jest to dowód pośredni? Przecież przed czasami covidowymi to nauka dawno by się rzuciła wyjaśniać takie poziomy wzrost anomalii. A tu nie bada, co moim zdaniem jest co najmniej obawą przed nieznaną prawdą, a może obawą przed znaną prawdą.

Ja jestem zwolennikiem naukowego podejścia. Skoro wykazano, że tych

szczepionek nie można stosować, to znaczy, że lepiej się zastanowić i dowiedzieć, na jakiej zasadzie się to stało, niż tropić tego efekty. To nie powinno się znaleźć w organizmie ludzkości i tyle.

To dlaczego mogło według pana dojść do takiego kłamstwa? Kto za tym stoi? Przypadek? Nieporozumienie? Owczy pęd? Strach? Masowa korupcja? Globalizm, nienasycone korporacje? Kto np. z kilku wariantów szczepionek wybrał i wmuśli najgorszy? Dlaczego i po co? Zwłaszcza że okres przed dopuszczeniem szczepionek świadczy o premedytacji na skalę światową. O przygotowaniu gruntu społecznego, już nawet nie przyzwolenia, a wręcz żądania dla użycia szczepionek.

Przypatrzmy się: FDA [Food and Drug Administration, amerykańska Agencja Kontroli Żywności i Leków – przyp. red.] zatwierdziła szczepionkę przeciwko za-

Dla mnie to jednak odpowiedzialność polityków. Można sobie wziąć doradców, jakich się chce, ale to polityk podejmuje ostatecznie decyzje, a więc i za nią odpowiada.

No ale Szwecja nie zrobiła lockdownów i maseczkowania. Bo tam dwóch głównych odpowiedzialnych za zdrowie publiczne doradców się sprzeciwiło. Bo przeczytali pracę słynnego Donalda Hendersona, gdzie jest analiza działań przeciwko grypie.

Pan z USA oglądał cały pandemiczny świat. Jak wygląda Polska? Jest jakaś specyfika?

(śmiej) Tak, Polacy są tradycyjnie nieufni wobec nakazów. Mało się zaszczepiło. Testowało się średnio jeden raz, a w takiej Danii 20 testów na osobę. Poza tym krąży ogromna liczba fałszywych poświadczeń szczepiennych.

Ukazały się dwie prace, które dowodziły, że hydroksychlorochina powoduje uszkodzenie serca. Ona jest podstawowym lekiem stosowanym na malarię przez... miliardy ludzi. To co, nagle zaczęła on szkodzić? Toż miliardy dawno by zmarły

paleniu płuc. A później okazało się, że jej skuteczność to 0,8 proc. A FDA powinna zatwierdzać szczepionki o skuteczności powyżej 50 proc. Korupcja jest tu jedynym wytłumaczeniem. Plus media. Przypomnę historię Bergamo. I popatrzmy na Szwecję, która (okazało się po dwóch latach, że słusznie) poszła w inną strategię, ale kłamliwe media zaatakowały ją, że morduje swoich obywateli.

No to kto winien?

Eksperci, ci, którzy w Polsce spowodowali 200 tys. ponadnormatywnych zgonów w kraju, wprowadzając procedury, które nijak się nie mają do nauki.

Czyli ludzie, działania administracji dały więc efekty niż sam koronawirus?

Tak, odbyło się to poprzez kłamstwo na ołtarzu nauki. To eksperci, nie winię polityków, bo np. taki Trump to by się przecież nie dał przekupić. Kiedy Trump ogłaszał lockdown, to wszyscy się na konferencji martwili, oprócz Fauciego i Birx, którzy się cieszyli, jakby dostali wielki prezent. Myśleli o Nagrodzie Nobla.

A co pan sądzi o polskich ekspertach? Oni się jakoś wybijali na tle innych?

Tak, wybijali się. Na pewno głupotą. Oraz chamstwem. Tacy profesorowie powinni zachować jakieś decorum. Z jednej strony są to po prostu głupi ludzie, którzy nic nie czytają, tylko nabijają godzinę w przechowalniach dla nomenklatury naukowej. I nie dość, że mało wiedzą, to jeszcze krzyczą, zakrzykują. Ale tak nie wypada. W dodatku obrażają, często swoje, ofiary.

Będzie „Norymberga”?

To się okaże. Teraz się wiele sypie.

Czyli świat się pomylił?

Nie świat, tylko eksperci.

I co, świat się posłuchał przekupnych albo niechlujnych ekspertów i dalej to tak sobie samo poszło? Tyle wystarczyło?

To jest tylko kwestia ludzi nauki. Tak jak z globalnym ociepleniem. Też naukowcy za pieniądze piszą bzdury. Media to rozkręcają w panikę. Powtarzamy ścieżkę covidową.



Jan Pospieszalski

Lekarze, którzy nie zamknęli się przed pacjentami, którzy mówili to, co potem potwierdziło się w rzeczywistości – o testach, kwarantannach, maskach – są dziś skazywani przez sądy lekarskie

W poniedziałek 19 grudnia, tuż przed świętami, Okręgowy Sąd Izby Lekarskiej w Krakowie skazał dr. Zbigniewa Martykę na rok pozbawienia prawa wykonywania zawodu lekarza. Mimo upływu trzech tygodni do tej pory nie ma pisemnego uzasadnienia wyroku. Wyrok nie jest prawomocny. Jeśli Sąd Naczelnej Izby Lekarskiej w Warszawie podtrzyma orzeczenie, to pełnomocnicy dr. Martyki zapowiadają wystąpienie ze skargą kasacyjną do Sądu Najwyższego, a w razie niepowodzenia – kontynuowanie sprawy przed instancjami europejskimi.

PRZECIW PSYCHOZIE

Skazanie znanego lekarza ma wymiar symboliczny na wielu poziomach. Po pierwsze, Zbigniew Martyka nie jest jednym z tysięcy polskich lekarzy. Kierownik oddziału obserwacyjno-zakaźnego, lekarz o niekwestionowanych kompetencjach nabytych w trakcie ponad 30-letniej praktyki lekarza zakaźnika, dysponujący kierunkową wiedzą w zakresie leczenia zakażeń koronawirusami, jest autorem kilku prac naukowych.

Gdy na skutek lockdownu i medialnej psychozy wielu ludzi popadało w stan graniczący z paniką, fachowiec, dr Martyka, kwestionował celowość i sens zarządzeń pandemicznych wprowadzonych przez polskie władze.

Odważny głos lekarza odwołujący się do zdrowego rozsądku, spokojnie przytaczający rzeczowe argumenty dla wielu z nas był jak tyk świeżego powietrza. Pozwolił dostrzec absurdalność zarządzeń sanitarnego reżimu, we właściwej proporcji ocenić skalę zagrożenia i wyciszyć emocje. Tym, co dr Martyka krytykował najmocniej, były sanitarne rygory paraliżujące system opieki zdro-



Zamknąć usta medykom

wotnej – ograniczające dostęp pacjentów do lekarzy. Nic dziwnego, że z dnia na dzień odważny głos lekarza z Dąbrowy Tarnowskiej – po głośnym wywiadzie w „Gazecie Krakowskiej” – podbił Internet, nakłuli balon psychozy lęku, ośmielił do bardziej realistycznej oceny sytuacji.

Zatem ukaranie dr. Martyki odczytuję jako swoistą demonstrację i zapowiedź. Demonstrację – ponieważ zastosowa-

no środek skrajnie restrykcyjny. Utrata uprawnień jest bowiem środkiem radykalnym, stosowanym w praktyce sądów lekarskich bardzo rzadko. Do niedawna uprawnienia tracił medycy dopuszczający się skandalicznych przestępstw (np. gwałt na pacjentce czy szkody na zdrowiu pacjentów spowodowane zabiegiem wykonywanych po pijanemu). I tak drastyczna kara spotyka teraz lekarza nie za błędy

Doktor Zbigniew Martyka stracił prawo do wykonywania zawodu, choć nie popełnił żadnego błędu lekarskiego

FOT. TYTUS ŻMIJEWSKI/PAP

Kolejne dwa apele krytycznie odnosiły się do zaplanowanej i reklamowanej przez rząd strategii szczepień przeciw SARS-CoV-2. Również te listy zostały przemilczane przez media (znowu podkreślam: z nielicznymi chlubnymi wyjątkami) i nie doczekały się jakiegokolwiek oficjalnej reakcji ze strony adresatów.

PRZESŁUCHAĆ „KOŁTUNÓW”

Jedyną reakcją władz była wypowiedź ministra zdrowia Adama Niedzielskiego podczas posiedzenia komisji zdrowia 8 grudnia 2020 r. Postawę autorów listów, niepodzielających rządowej narracji w kwestii pandemii SARS-Cov-2, nazwał „kołtuństwem”.

W posiedzeniu komisji zdrowia uczestniczył też prezes Naczelnej Izby Lekarskiej, prof. Andrzej Matyja. To wtedy padły słowa, że lekarze ci będą „przesłuchiwać” przez odpowiednie organy samorządu lekarskiego. Znamienne, że dopóki lekarze kwestionowali testy, kwarantanny, izolacje, teleporady czy paraliż służby zdrowia, dopóty tak zdecydowanej reakcji nie było. Gdy ośmielili się poddać krytyce program szczepień, wtedy pełną parą ruszył proces szykanowania sygnatariuszy listów.

Lekarze z całej Polski wzywani są przez Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej (którym wtedy był specjalista od zarządzania służbą zdrowia, lekarz bez dorobku naukowego – Grzegorz Wrona). We wszystkich przypadkach zarzuty są niemal identyczne: propagowanie poglądów niezgodnych z wiedzą medyczną i szerzenie postaw antyzdrowotnych.

W trakcie postępowań przygotowawczych, podczas przesłuchań, dochodziło do rażących uchybień proceduralnych – pogwałcono zasady dwustopniowości i terytorialności postępowania (najpierw sprawę powinna prowadzić właściwa izba okręgowa, potem Naczelna Izba w Warszawie). W konsekwencji np. lekarze ze Zgorzelca musieli jechać ponad 500 km w jedną stronę, zostawiając swoich pacjentów, tracąc dwa dni pracy. Przesłuchiwanie medycy często spotykało się z odmową zwrotu kosztów podróży i wypłaty ekwiwalentu za utracone dochody.

Innym z uchybień było konsekwentne odmawianie przyznania przesłuchiwanym właściwego statusu (strony lub świadka). W piśmie Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej do lekarzy była

lekarskie czy nieetyczne postępowanie, lecz za krytykę rządu i wygłaszanie opinii.

Wyrok można traktować też jako zapowiedź i wskazanie – ponieważ w całej Polsce izby lekarskie prowadzą postępowania wobec 114 lekarzy obwinionych dokładnie o to samo i wszystkich czekają procesy. Tak masowe postępowania to wydarzenie bez precedensu. Nie słyszałem, aby przedstawiciele jakiegokolwiek innej branży poddani zostali podobnej zmasowanej akcji dyscyplinarnej.

NIE TYLKO DR MARTYKA

Zbigniew Martyka był jednym z pierwszych, ale nie jedynym lekarzem, który dostrzegł przeciwność, a wręcz szkodliwość rządowej polityki „walki z pandemią”. Nazwiska dr. Pawła Basiukiewicza, dr Doroty Sienkiewicz, prof. Ryszarda Rutkowskiego, dr. Zbigniewa Hałata, dr. Włodzimierza Bodnara, potem dr. Piotra Witczaka stały się znane nie tylko w mediach społecznościowych, jako że za sprawą tych lekarzy i niezależnych dziennikarzy do opinii publicznej zaczęły docierać artykuły naukowe

i wyniki badań kwestionujące dogmaty przyjęte przez polityczny i medyczny mainstream.

W październiku 2020 r. spora grupa przedstawicieli polskiego świata lekarskiego wystosowała list otwarty do prezydenta i rządu RP. Do grudnia powstały łącznie trzy apele, pod którymi w sumie podpisało ok. 450 lekarzy oraz kilkanaście tysięcy osób – przedstawicieli innych zawodów. Zostały jednak zignorowane przez media (z nielicznymi chlubnymi wyjątkami; jedynym ogólnopolskim medium w tym gronie był tygodnik „Do Rzeczy”, co z dumą podkreślam), nie doczekały się też jakiegokolwiek reakcji adresatów, czyli władz. To właśnie te publikacje są dziś głównym powodem prowadzonych postępowań dyscyplinarnych. Pierwszy list, z października, krytykował lockdown, zamykanie zdrowych ludzi, ograniczenie dostępu do placówek ochrony zdrowia. Zwrócono w nim uwagę na przecenianie roli testów PCR, a także zawarto ostrzeżenia prognozujące tragiczne skutki kontynuowania tej polityki.

■ próba sformułowania rygору, zgodnie z którym brak odpowiedzi na postawione w tym piśmie pytania miałyby skutkować przyjęciem, że osoby wskazane na wymienionych w piśmie stronach internetowych są sygnatariuszami listów i apeli. Jest to drastyczne naruszenie art. 74 par. 1 KPK, zgodnie z którym oskarżony – a tym bardziej osoba, która nie ma takiego statusu – nie ma obowiązku dowodzenia swojej niewinności, a co dopiero dostarczania dowodów na swoją niekorzyść.

Innym drastycznym naruszeniem procedury było ograniczenie dostępu do akt obwinionym i ich pełnomocnikom. Dokumenty dostawali do wglądu, bez możliwości kopiowania, a grube rzy papierów ułożone były chaotycznie. Wszystko to miało miejsce w warunkach uniemożliwiających zrobienie porządných notatek.

Wygląda na to, że izby lekarskie obsadziły się w roli „znaczącej większości środowiska naukowego”

Na potrzeby oskarżenia ekspertyzę wykonali lekarze – dr Rzymski i prof. Fał. Obaj związani byli już wcześniej z ówczesnym prezesem Naczelnej Izby Lekarskiej – Andrzejem Matyją. Działali wspólnie w przedsięwzięciach i projektach mających na celu zwalczanie innych poglądów na temat epidemii. Konkluzją ekspertyzy jest m.in. stwierdzenie, że kategoria wolności słowa nie obejmuje w jej istotnym sensie lekarzy.

Obok ekspertyzy lekarzy – Rzymskiego i Fała – Naczelna Rada Lekarska zwróciła się o opinię z pytaniami do prawników z SWPS. Zapytała: „Czy w przypadku osoby wykonującej zawód zaufania publicznego, jakim jest zawód lekarza [...], konstytucyjna zasada wolności wypowiedzi (wolności słowa) może doznawać ograniczenia w zakresie dotyczącym publicznego wypowiedzania się na tematy dotyczące ochrony zdrowia, w szczególności metod diagnozowania i leczenia chorób, niezgodnie ze wskazaniami aktualnej wiedzy medycznej lub publicznego propagowania postaw, które mogą być uznane za postawy antyzdrowotne?”.

Rada Lekarska pytała też prawników o to, „kto jest uprawniony do stwierdzenia, że konkretne wypowiedzi lekarza są niezgodne z aktualną wiedzą medyczną lub stanowią propagowanie postaw antyzdrowotnych. I na końcu fundamentalne pytanie: Jak wyznaczyć granicę pomiędzy swobodą dyskusji naukowej a przekraczaniem granic wolności wypowiedzi przez lekarza?”.

CO TO JEST PRAWDA?

W odpowiedzi, na 16 stronach, profesorowie SWPS – m.in. Lech Gardocki, Stanisław Hoc, Hubert Izdebski – wykonali wiele zawijasów, by stwierdzić, że w przypadku zawodu lekarza „konstytucyjna zasada wolności wypowiedzi może doznawać ograniczenia ze względu na konieczność zapewnienia zdrowotnego bezpieczeństwa państwa, porządku publicznego lub ochrony zdrowia”.

W kolejnych akapitach prawnicy przekonują, że prawo wolności wypowiedzi umocowane w konstytucji i aktach prawa międzynarodowego może być ograniczone wewnętrznymi regulacjami korporacji zawodowej; w tym wypadku te ograniczenia wywodzą z art. 4 ustawy o zawodzie lekarza.

Odnoszę jednak wrażenie, że prawnicy przekraczają swoje kompetencje, kategorycznie stwierdzając, iż „zaprzeczanie konieczności przeprowadzenia masowych szczepień przeciw COVID-19, a tym samym uznanie szczepienia za działanie niebezpieczne” to poglądy „wraz z całą [...] ideologią antyszczepionkową wyraźnie sprzeczne z tym, co można uznać za aktualny stan wiedzy medycznej, czyli zgodne z aktualnym stanem nauki”.

W tekście nie znajdziemy wytłumaczenia, skąd się bierze pewność prawników z SWPS, że uznanie szczepienia na COVID-19 za niebezpieczne jest tożsame z wyznawaniem owej ideologii antyszczepionkowej i niezgodne z aktualnym stanem nauki.

W dalszym ciągu opinii autorzy zmagają się z problemem, jak określić, co jest aktualną wiedzą medyczną, czyli które twierdzenia są naukowe, a które nie. Oto próbka: „Kwestia, co jest naukowe, jest przedmiotem bardzo obszernej literatury [...]. Znakomitą większość ich można sprowadzić do uznania, że istotę nauki

stanowi »dążenie do poszukiwania prawdy«, ale prawnicy zaraz talmudycznie dodają, że prawda może być rozumiana w różny sposób, by w końcu dojść do konkluzji, że za prawdziwe można uznać te sady, które reprezentowane są przez znacząca większość środowiska naukowego danej specjalności”.

I chyba tu jest sedno problemu. Wygląda na to, że izby lekarskie obsadziły się w roli „znaczącej większości środowiska naukowego” i z tej pozycji wyrokują o naukowości lub jej braku.

EKSPERCI – PUBLICYŚCI

Posłużenie się w poważnej opinii hejterskim terminem „antyszczepionkowcy” („ideologia antyszczepionkowa”) nie zostało doprecyzowane. Czy termin „antyszczepionkowcy” oznacza według autorów tylko te osoby, które w ogóle odrzucają zasadność szczepień? A może te, które doceniają skuteczność szczepień, ale mają wątpliwości wobec dopuszczonych warunkowo preparatów mRNA stosowanych przeciwko COVID-19? Czy antyszczepionkowcy to także osoby, które przyjęły jedną lub dwie dawki, ale kolejnych, trzeciej i czwartej (często wskutek poważnych konsekwencji zdrowotnych po poprzednich) już nie chcą przyjąć? Tego nam profesorowie nie wytłumaczyli.

Opinia SWPS pisana była w maju 2021 r., gdy powszechny stan wiedzy o pandemii dyktowała oficjalna narracja przedstawicieli Rady Medycznej. Jednak znane były już tragiczne statystyki nadmiarowych zgonów spowodowanych lockdownem i paraliżem systemu ochrony zdrowia, a także znany był niewspółmiernie niższy bilans zgonów, które policzono jako ofiary COVID-19.

W czasie, gdy powstawała opinia profesorów SWPS, niezależni lekarze i dziennikarze (w tym piszący te słowa) próbowali uzyskać od Ministerstwa Zdrowia informacje, na podstawie których medycznych i naukowych badań wprowadzono rozporządzenia sanitarne, dokonując drastycznych ograniczeń praw obywatelskich. Okazało się, że brzemienne w katastrofalne skutki rozporządzenia władz nie miały żadnych medycznych i naukowych podstaw. Zamiast raportów, analiz, opracowań nieoficjalnie usłyszeliśmy: „Bo tak robili wszyscy”.

Mając przed sobą opinię podpisaną m.in. przez znanych profesorów, chciałbym ich zapytać, czy dziś napisaliby to samo. Czy np. wobec oficjalnego stanowiska Agencji Oceny Technologii Medycznych z marca 2022 r., które wycofuje z powszechnego stosowania testy PCR, bo wykazują fałszywe pozytywne odczyty, krytykowanie testów przez lekarzy – sygnatariuszy listów – było szerzeniem postaw antyzdrowotnych? Czy profesorowie w swojej opinii przywołaliby dziś wyrok Sądu Najwyższego USA z października 2022 r., który nakazuje przywrócenie do pracy wszystkich pracowników sektora publicznego zwolnionych za odmowę przyjęcia szczepień (w orzeczeniu SN USA czytamy: „Bycie zaszczepionym nie zapobiega zarażeniu się lub przenoszeniu COVID-19 przez daną osobę”)? Czy także po tym, co stwierdziła w Parlamencie Europejskim regionalna prezes firmy Pfizer, Janine Small – że koncern nie ma żadnych badań mogących wykazać, iż przyjęcie szczepienia zatrzymuje transmisję wirusa – sceptycyzm wobec skuteczności szczepień profesorowie prawa nazwaliby poglądem szkodliwym społecznie?

Tych pytań byłoby znacznie więcej. Na przykład: Czy autorzy opinii podtrzymaliby kateryczne stwierdzenie, że zaprzeczanie skuteczności szczepień to pogląd nienaukowy, widząc mapy i statystyki sporządzone przez dr. Marka Sobolewskiego, na których w regionach mniej „wyszczepionych” liczba zachorowań na COVID-19 była mniejsza niż tam, gdzie procentowy udział zaszczepionych w populacji był większy?

ORWELLOWSKI SCENARIUSZ

Najbardziej absurdalne jednak jest to, że większość tez – jeśli nie wszystkie zawarte w apelach lekarzy objętych postępowaniem dyscyplinarnym – została potwierdzona. Rzeczywistość zweryfikowała pozytywnie to, o czym pisali i przed czym ostrzegali lekarze jesienią 2020 r.

Mimo statystyk pokazujących lawinowy wzrost zdarzeń poszczepiennych, mimo docierających coraz częściej doniesień o tajemniczych nagłych zgonach młodych zdrowych ludzi, mimo notowanego w placówkach medycznych nagłego wzrostu udarów, zatorów i zakrzepów młyny „sprawiedliwości lekarskiej” miały

dalej. W wyniku przesłuchań 114 osobom postawiono zarzut rozpowszechniania nieprawdziwych informacji oraz działania na szkodę pacjentów i społeczeństwa polskiego, choć oskarżonym nie przedstawiono żadnego przypadku pacjenta, który by został odwiedzony od szczepień, a przez to doznał uszczerbku na zdrowiu.

Lekarze zostali podzieleni na trzy grupy, które mają być sądzone we Wrocławiu, w Poznaniu i Gdańsku. Wśród objętych zarzutami są lekarze z tytułami profesorów, wykładowcy akademicki, wybitni praktycy, np. specjaliści z kilkunastoletnim stażem na stanowisku naczelnego lekarza w Niemczech, fachowcy z dorobkiem naukowym, tacy jak prof. Ryszard Rutkowski. Terminów rozpraw w okręgowych izbach lekarskich jeszcze nie wyznaczono.

Niezależnie od postępowania w sprawie listów toczą się sprawy indywidualne lekarzy, m.in. dr Doroty Sienkiewicz, Anny Martynowskiej, wspomnianego dr. Zbigniewa Martyki, Piotra Rossudowskiego – z identycznymi zarzutami, zakończone we wszystkich przypadkach, poza jednym, skazaniem na zawieszenie praw do wykonywania zawodu na rok.

Z kolei Narodowy Fundusz Zdrowia nęka lekarzy, którzy wypisywali amantadynę na koronawirusa. Żąda się od nich szczegółowych wyjaśnień, ujawnienia historii leczenia itp.

Na naszych oczach realizowany jest jakiś Orwellowski scenariusz. Wobec lekarzy, którzy podczas kolejnych fal epidemii pozamykali przychodnie, porzucili pacjentów, co wielu chorych przypłaciło życiem, nie są prowadzone postępowania. Bezkarci pozostają lekarze odmawiający przyjęcia pacjentów, dlatego że ci byli niezaszczepieni. Nękami są natomiast ci, którzy zakwestionowali globalną narrację i chcieli leczyć w zgodzie z wiedzą medyczną i sumieniem. Ponadto izby lekarskie, rzecznicy dyscyplinarni i sędziowie sądów lekarskich, wymachu-

jąc argumentami naukowości i wiedzy medycznej, uporczywie odmawiają przyjęcia do wiadomości nowych ustaleń i danych naukowych, które są już nawet publikowane przez niektóre prestiżowe branżowe pisma.

Kpiną z elementarnego poczucia sprawiedliwości jest to, że w postępowaniach wobec lekarzy z dorobkiem naukowym i ogromnym specjalistycznym doświadczeniem stają po drugiej stronie, jako sędziowie lub biegli, lekarze bez tytułów, specje od ochrony środowiska czy zarządzania służbą zdrowia. Skandalem jest powołanie na biegłego w rozprawie przeciw dr. Martyce pediatry dr. Pawła Grzesiowskiego, który nie ma kwalifikacji w zakresie chorób zakaźnych (dodajmy, że jego fundacja dostała kilkaset tysięcy dofinansowania na promocję profilaktyki, w tym na promocję szczepień). Ta postawa władz izb lekarskich może więc ma jakieś drugie dno. I tu się zaczyna robić naprawdę groźnie. Jak potężne siły muszą działać, skoro inteligentni ludzie, wykształceni medycy pod własnym nazwiskiem są w stanie wydać skazujący wyrok na kolegę tylko za to, że chciał leczyć ludzi, że przeciwstawił się korporacyjnemu konformizmowi?

Samorząd lekarski, który zyskał tak znaczną autonomię, miał chronić niezależność lekarzy i dbać o dobro pacjentów. To, z czym dziś mamy do czynienia, jest patologicznym wynaturzeniem kwestionującym w ogóle istotę istnienia izb. Wydane ostatnio wyroki i prowadzone postępowania pokazały, że nie o dobro pacjentów tu chodzi. Paradoksalnie to właśnie izby stały się dziś narzędziem uzależnienia branży medycznej od wpływu polityków i koncernów farmaceutycznych. Nic dziwnego, że w środowisku pojawiają się żądania zniesienia obowiązku zrzeszania lub stworzenia alternatywnych izb – z możliwością wyboru.

W interesie nas, pacjentów, jest wsparcie tych lekarzy, którzy chcą nas leczyć zgodnie z wiedzą, medycyną opartą na dowodach, a przede wszystkim zgodnie z własnym sumieniem. Obowiązkiem naszym jest obserwowanie rozwoju wypadków, a od polityków, szczególnie od ministra sprawiedliwości, prokuratora generalnego należy oczekiwać objęcia tych procesów specjalnym nadzorem.

Większość tez lekarzy objętych postępowaniem dyscyplinarnym została potem potwierdzona

Jak skrócono życie Polakom



Tomasz Rowiński

Średnia długość życia Polaków gwałtownie spadła. Warto stawiać dziś pytania o to, jak w kontekście pandemii realizowana była polityka zdrowotna i czy nie przyniosła więcej szkód niż pożytku



FOT. ADRIAN STOK

Przez całe dekady się zdawało, że średni wiek długości życia Polaków będzie tylko rósł. Oczywiście wiara, że tak będzie się działo, miała charakter utopijny, człowiek bowiem nie może wydłużać swojego bytu w nieskończoność. Niemniej utrzymywała się ona przez wszystkie lata III RP, ponieważ stanowiła wyznacznik innej wiary, tej w możliwości nieograniczonego rozwoju naszego kraju. Niestety, dziś wyraźnie widzimy, że okoliczności związane z pandemią COVID-19, a szczególnie z reżimem sanitarnym, który został w związku z pandemią wprowadzony, zachwiały polską drogą do długowieczności. Szczegółowo mówi nam o tym opublikowany niedawno przez Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego raport pt. „Sytuacja zdrowotna ludności Polski i jej uwarunkowania, 2022 r.”.

Dodajmy od razu, że NIZP jest najstarszym państwowym instytutem badawczym zajmującym się zdrowiem publicznym. Został powołany już w listopadzie 1918 r. i szczególnie w czasach II RP stanowił unikatowe środowisko eksperckie.

Przetrwiał czasy komunistyczne i został odnowiony w III RP rozporządzeniem ministra zdrowia i opieki społecznej z końca października 1992 r. Regularnie publikuje ważne analizy dotyczące zdrowia publicznego w Polsce.

CIĄGŁY WZROST I GWAŁTOWNY SPADEK

Omawiany raport NIZP skupia się przede wszystkim na konsekwencjach, które dla zdrowia narodowego przyniosły lata pandemii COVID-19, oraz na tym, w jaki sposób spowodowały one skrócenie długości życia w Polsce w latach 2019–2022. Trzeba zaznaczyć, że mamy do czynienia ze zjawiskiem nietypowym w skali nie lat ostatnich, ale długich dekad. W roku 1991 przeciętna długość życia kobiety w naszym kraju wynosiła nieco ponad 75 lat. Sytuacja mężczyzn była – analogicznie do naszych czasów – znacznie gorsza, ponieważ przeciętny wiek, którego dożywali wtedy Polacy, wynosił niespełna 66 lat.

Lata 90. XX w. to czasy dobrej dynamiki wydłużania się długości życia Polaków obu

płci. Na początku nowego wieku długość życia mężczyzn sięgała 70 lat, a kobiet zbliżyła się do 80 lat. Życie mężczyzn wydłużało się aż do samej pandemii i osiągnęło wartość 74 lat. Długość życia kobiet wynosiła prawie 82 lata ok. roku 2016, by potem ulec niewielkiemu zachwianiu i skróceniu. Jednak dopiero w czasie reżimu sanitarnego narzuconego w związku z COVID-19 spowodowało znaczne pogorszenie sytuacji. Warto zauważyć, że we wspomnianym roku 2016 polskim kobietom brakowało mniej do średniej długości życia w Unii Europejskiej niż mężczyznom – odpowiednio wynosiła ona 83,6 oraz 78,2 roku. Według analiz NIZP, opublikowanych na początku 2019 r., głównym problemem obciążającym zdrowie Polaków zaczęła się wówczas stawać, szczególnie u mężczyzn, nadwaga i otyłość, a u kobiet wciąż złe wyniki leczenia raka piersi oraz szyjki macicy. W latach 2015–2016 poziom umieralności z powodu raka piersi był wyższy aż w 13 województwach więcej niż pięć lat wcześniej. To najprawdopodobniej te czynniki sprawiły, że proces wydłużania się życia Polaków

uległ niemal zatrzymaniu, a w przypadku Polek dał się nawet zauważyć regres.

Tymczasem już latem 2022 r. pojawiły się pierwsze dane, z których wynikało, że w czasie pandemii każdy Polak przytył średnio cztery kilogramy. Oblicza się, że nadwaga skraca życie aż o 14 proc., co w przypadku mężczyzn, których średni wiek przeżywalności oblicza się obecnie na 72 lata, oznacza utratę aż 10 lat życia. „Według Narodowego Testu Zdrowia Polaków 2022 jedynie 28 proc. mężczyzn ma jeszcze prawidłową masę ciała (od 18,5 do 24,9 punktów w skali BMI). Aż 43 proc. ma nadwagę (25–29,9 punktów), a 27 proc. jest otyłych (ponad 30 punktów). W przypadku kobiet jest nieco lepiej: prawidłową masę ciała zachowało 45 proc. Polek, 29 proc. ma nadwagę, a 21 proc. jest otyłych” – można było przeczytać w opracowaniu na temat zdrowia Polaków, przygotowanym przez PAP na podstawie badań prof. Piotra Jankowskiego z Zakładu Epidemiologii i Promocji Zdrowia Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego w Warszawie.

Według raportu NIZP ze stycznia br. między latami 2019–2021 doszło wręcz do załamania się długości życia Polaków. Życie kobiet skróciło się o 2,3 roku, a życie mężczyzn o 2,1 roku. „Gdyby w przypadku ogółu mężczyzn uwzględnić fakt, że w poprzedzających latach długość życia miała trend rosnący, to różnica obserwowanej długości życia w 2022 r. w stosunku do wartości oczekiwanej na podstawie dotychczasowego trendu zwiększyłaby się do 2,5 roku” – piszą autorzy raportu. Oznacza to, że pandemia pogłębiła jeszcze zjawisko nadumieralności mężczyzn w stosunku do kobiet. „Szacujemy, że o ile w 2019 r., ostatnim przed pandemią, 68,3 proc. różnicy długości życia mężczyzn i kobiet wynikało z wyższej umieralności mężczyzn w wieku 40–74 lata, to w 2021 r. odsetek ten zwiększył się do 70,4 proc.” – można przeczytać w raporcie.

SPUSTOSZENIE

Pandemia nierównomiernie uderzyła w kobiety i mężczyzn także w perspektywie czasowej. Pierwsze jej uderzenie było znacznie gorsze dla mężczyzn, ponieważ długość ich życia uległa skróceniu aż o 1,46 roku w roku 2020, a w roku 2021 już „tylko” o 0,86. Straty poniesione przez kobiety rozłożyły się równomiernie:

w roku 2020 była to utrata 1,04 roku długości życia, a w 2021 – 1,03. Ważną kwestią, która powinna być przesłanką do pewnego rodzaju rozliczenia pandemicznej polityki rządu, jest opinia autorów raportu, mówiąca, „że większa liczba zgonów związana była zarówno z zachorowaniami na COVID-19, a także z przeciążeniem systemu ochrony zdrowia, zaburzeniami w jego działaniu, jak i unikaniu korzystania z niego przez pacjentów”. Wniosek ten, choć w żaden sposób nie jest zaskakujący, gdy pojawia się w raporcie państwowego instytutu, którym jest NIZP, nabiera innej rangi niż analizy publicystyczne, nawet te autorstwa specjalistów od zdrowia publicznego. Powinny pojawić się zatem dodatkowe pytania: Czy system musiał być przeciążony i zaburzony? I kto odpowiada za tę sytuację?

„Pandemia wywołana przez wirusa SARS-CoV-2 spowodowała ogromne straty w zdrowiu ludności i przyczyniła się bezpośrednio i pośrednio do dużego wzrostu umieralności i w konsekwencji skrócenia długości życia ludności Polski” – piszą autorzy raportu NIZP. Co więcej, „pandemia COVID-19 – jak czytamy w innym miejscu raportu – spowodowała w latach 2020–2021 niespotykane w okresie powojennym skrócenie długości życia ludności Polski”. Zmiany te nie mają charakteru równomiernego; np. długość życia mężczyzn w województwie podlaskim uległa skróceniu aż o 3,6 roku, a w Małopolsce „jedynie” o 2 lata. Jeśli chodzi o kobiety, to utraciły one 2,9 roku życia w województwach lubelskim i podkarpackim, a 1,7 roku w małopolskim.

Zarejestrowane zmiany oznaczają, że znów mamy w Polsce powiaty – szczególnie przy granicy wschodniej, a także na północnym zachodzie oraz w Polsce Centralnej – w których wiek przeżywalności mężczyzn osunął się poniżej 70 lat. W rekordowym powiecie kamieńskim długość życia mężczyzn uległa skróceniu aż o 4,27 roku. Najgorsza sytuacja kobiet jest w powiecie grajewskim, gdzie straty w długości życia wyniosły 3,95 roku. Dane, które można wydobyć z raportu, wskazują jednoznacznie na pogarszającą się sytuację mężczyzn, którzy i bez pandemii żyli znacznie krócej niż kobiety. Jednak również dynamika strat związanych z pandemią wskazuje, że bardziej dotknęła ona męską część populacji.

Przyczyny zdecydowanie krótszej długości życia mężczyzn są bardzo różne i nie można ich sprowadzać jedynie do kwestii genetycznych. Gorsza w wielu aspektach społeczna sytuacja mężczyzn jest stosunkowo rzadko zauważana w analizach, a jeszcze rzadziej staje się przedmiotem polityki państwa czy samorządu. Wciąż mamy do czynienia z nadumieralnością mężczyzn w różnych grupach wiekowych. Spowodowane jest to nadreprezentacją mężczyzn wśród ofiar wypadków samochodowych, ale przecież nie tylko. Mężczyźni są nadreprezentowani wśród ofiar samobójstw, zdecydowanie częściej też wykonują prace o podwyższonym ryzyku utraty zdrowia lub życia. Niestety, częściej piją także alkohol czy palą papierosy oraz mniej dbają o zdrowie. To ostatnie zjawisko mogło także mieć przełożenie na fakt, że gorzej znieśli pandemię.

GROŹNA NIEŚWIADOMOŚĆ

Z raportu NIZP wydanego w roku 2019 wynika, że Polacy, a także Polki, w bardzo niskim stopniu zdają sobie sprawę z czynników ryzyka takich chorób jak zawał serca, choroba wieńcowa, udar mózgu czy nowotwór. „Zaskakujące jest to, że o tym, co to są czynniki ryzyka, nie wiedzieli nie tylko osoby z niższym wykształceniem, ale także te z wyższym” – mówił wtedy dla portalu prawo.pl prof. Bogdan Wojtyniak, współautor raportu. „To pokazuje, jak bardzo potrzebna jest systematyczna edukacja dotycząca chorób cywilizacyjnych. Tylko gdy ludzie będą znali czynniki ryzyka, będą w stanie ich unikać lub modyfikować swój styl życia na bardziej prozdrowotny” – dodawał.

Kwestie te wciąż są ważne, jednak na początku roku 2023 trzeba pytać też o coś innego – o odpowiedzialność polityczną za to, w jaki sposób była w ostatnich latach realizowana polityka zdrowotna, szczególnie w kontekście pandemii. Czy to nie pandemiczny reżim spowodował tak drastyczny wzrost nadmiarowych zgonów, których wiele po prostu nie musiało mieć miejsca? Dane z raportu NIZP nie powinny zostać przemilczane. Niestety, na razie trudno mówić, by w ogóle trwała poważna debata na temat tego, jak polskie państwo poradziło sobie z pandemią i czy we właściwy sposób ograniczono jej konsekwencje.

Kroniki przepowiedzianej katastrofy



Rafał A. Ziembkiewicz

Jeśli liderów PiS nie przekonuje argument racji stanu, to powinni przynajmniej brać pod uwagę interes swojej partii. Krok po kroku, goniąc za, pominiemy już, że iluzorycznymi, ale przede wszystkim czysto taktycznymi zyskami, doprowadzili do sytuacji, w której PiS zanegował i ośmieszył całą swoją politykę

Do chwili, gdy oddajemy numer do drukarni, trwa w Sejmie, w partyjnych gabinetach koalicji rządzącej i Pałacu Prezydenckim krzątanie wokół nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym, przywiezionej z Brukseli (jak zwykle się mówi) przez ministra Szynkowskiego vel Sęka. Być może zanim gotowy numer trafi do Państwa rąk, przyniesie ona jakieś wiążące decyzje. Cokolwiek jednak się dalej stanie, czy projekt przegłosowany zostanie z poprawkami czy bez, czy z większym czy mniejszym oporem we własnych szeregach, jest to dla rządzących klęska. Przy czym pole manewru pozostało już tylko takie, że może to być albo klęska poważna, albo ciężka katastrofa.

Ta świadomość powoduje, że lewicowo-liberalna opozycja pozostaje w całej sprawie bierna. Po prawie ośmiu latach nieustającego krzyku, ogłaszania co dzień nowej „największej afery od czasów Rywina” i „największej katastrofy od czasu Czarnobyli”, po wszystkich „ciamajdach”, marszach ulicznych i innych wzmożeniach, które nie zaszkodziły rządzącym w najmniejszym stopniu – dziś Tuszkowi, Czarzastemu i Hołowni wystarczy „dać PiS szansę”, czyli nie blokować jego autodestrukcyjnych działań i z założonymi rękami przyglądać się, jak Jarosław

Kaczyński rękami Mateusza Morawieckiego łamie swej formacji kręgosłup. Robi to przecież po to, by wymusić akceptację dla pogrzebania sztandarowej reformy, którą PiS obiecał i przez całe swe rządy bezskutecznie próbował przeprowadzić, dla spełnienia ponawianych od lat żądań PO i jej akolitów, pogrzebania idei „Europy ojczyzn” i podporządkowania Polski eurokracji oraz skompromitowania retoryki „wstawania z kolan”.

KTO CHCE PAŃSTWA W PAŃSTWIE

Gwoli ścisłości – z bierności tej, jako żywo przypominającej dosadne powiedzenie o krowie na łyżwach, korzystają polityczni liderzy. Partyjne „otuliny” już przygotowują grunt pod spodziewaną kompromitację rządu. Lider „Wolnych Sądów”, Marek Wawrykiewicz, na rządowym (tylko formalnie przecież „poselskim”) przedłożeniu nie pozostawia suchej nitki: projekt wcale nie wypełnia „kamieni milowych”, zmiany są pozorne i na dodatek sprzeczne z konstytucją. Ten ostatni zarzut stawiany jest często, jako że konstytucja, wyraźnie określając zakres działań Naczelnego Sądu Administracyjnego, nie przewiduje wśród nich odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów. Z wielu podobnych deklaracji cytuję tu jednak



FOT. ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER



właśnie Wawrykiewicza nawet nie dlatego, że przewodzi grupie chętnie słuchanej przez eurokratów, ale dlatego, że wyrwał mu się szczerze, o co naprawdę chodzi: w NSA, pisze, „aż roi się od neosędziów (ok. 30 proc.), w tym wielu bliskich współpracowników Zbigniewa Ziobro”.

Głos Wawrykiewicza jest reprezentatywny dla zbuntowanych prawników (warto przywołać tu jeszcze kolejny buńczuczny manifest sędziego Prusinowskiego, reprezentatywny dla 30 zbuntowanych sędziów SN, którzy jako na źródło prawa stojące ponad konstytucją, Trybunałem Konstytucyjnym i nawet TSUE powołują się na swoją własną uchwałę „trzech połączonych izb Sądu Najwyższego”). Po ujawnieniu przez premiera „kompromisu” poczuł oni wiatr w żaglach i z jeszcze większą pewnością siebie niż dotąd domagają się całkowitej kapitulacji PiS, przywrócenia stanu sprzed roku 2015, uznania za niebyłe wszystkich decyzji KRS i Izby Dyscyplinarnej SN oraz możliwości usunięcia ze stanu sędziowskiego każdego z 3 tys. „neosędziów”, którzy weszli do niego po tej dacie. Politycy opozycji nie stawiają spraw otwarcie, ale poprawki, które do projektu zgłosili (bez wielkiej determinacji, by je przeprowadzić – z powodu wyżej wyjaśnionego) idą w tym samym kierunku. Sądownictwo ma być znowu państwem w państwie, rządzonym przez to samo środowisko, któremu powierzono je w ramach ugody w Magdalence, w którym wąska grupa funkcyjnych sama się wybiera na wszystkie decyzyjne stanowiska, sama przed sobą odpowiada i jako jedyna decyduje, kto może zostać sędzią. Nic mniej.

Fakt, że żądania te są w sprzeczności nie tylko z prawem polskim i europejskim, lecz także z orzeczeniami TSUE, o elementarnej przyzwoitości i zdrowym rozsądku nie wspominając, nie ma już znaczenia – na tym etapie zarzucone zostały pozory. Zbuntowani sędziowie domagają się tego wszystkiego dlatego, że czują dla swych rewindykacji mocne poparcie Komisji Europejskiej. Zostało ono zresztą otwarcie wyrażone przez przewodniczącą von der Leyen po tym, jak spektakularnie wystrychnęła na dudka prezydenta RP, eskalując publicznie żądania po spełnieniu przez niego warunków zawartego po cichu kompro-

misu, którym był zapomniany już projekt prezydencki.

Ekipa Morawieckiego i pozostający w tej kwestii, jak się zdaje, całkowicie pod jego wpływem Kaczyński wmówili sobie, że zarówno nad tamtym zdarzeniem, jak i nad kilkakrotnym już złamaniem przez przedstawicieli Unii zawieranych z Polakami ustaleń można przejść do porządku dziennego, bo są one tylko skutkiem politycznej walki między poszczególnymi komisarzami i frakcjami, w której to walce istotne jest demonstrowanie determinacji w „pogłębianiu integracji”, a tę najskuteczniej demonstruje się dyscyplinowaniem Polski i Węgier. W istocie jednak – zakładają nasi negocjatorzy – o ostatecznych decyzjach zadecydują konkretne materialne interesy Unii i zwłaszcza Niemiec. A te skłonią Komisję, by w końcu KPO odblokować – w Polsce nie może rząd tego argumentu otwarcie używać, ale przecież pieniądze z KPO trafią w większości do Niemiec (tamtejsi przedsiębiorcy już dawno podkreślali to w publicznym apelu do swego rządu, by środki dla Polski odblokować jak najszybciej), poza tym Komisja musi się w końcu uporać ze sprawą polskiego KPO, by ruszyć dalej z ambitnymi planami „pogłębiania integracji”. Słowem, trzeba tylko dać Komisji jakiś pozór zwycięstwa, umożliwić eurokratom zachowanie twarzy i... – „jakoś to będzie”.

POLSKA PRZESZKADZA EUROKRATOM

Od wielu miesięcy alarmowaliśmy na tych łamach, czyniło to także wiele innych osób ze środowiska tzw. prawicowych think tanków i gremiów eksperckich, że to wyobrażenie rządzących o istocie konfliktu jest całkowicie fałszywe – i wszystko, co się zdarzyło i zdarza, dowodzi słuszności tych ostrzeżeń. Eurokracja i mający na nią przemożny wpływ Niemcy dążą uparcie do budowy federalnego, zarządzanego państwa europejskiego, metodą faktów dokonanych, bez formalnej zmiany traktatów. Jest to uważane w unijnym i krajowych establishmentach Europy za „dziejową konieczność”, a Polska zwyczajnie stanęła jej na drodze. Determinacja, by wszelkie przeszkody, w tym także polskie roszczenia do zachowania suwerenności, pokonać, jest zbyt wielka, by kierować się

logiką ekonomiczną, zyskami i stratami – gdyby było inaczej, pomysły takie jak „Fit for 55” i „Zielony Ład” nigdy by nie wyszły ze stadium „prac studyjnych”.

Ta determinacja każe KE zrobić wszystko, żeby odsunąć od władzy w Polsce rząd postrzegany jako „kulturowo” obcy i zainstalować tu – w wariacie maksimum – rząd całkowicie podporządkowany zagranicy, względnie – w wariacie minimum – sparaliżować państwo polskie i wywołać w nim chaos, w którym nie będzie ono w stanie prowadzić żadnej skutecznej polityki.

To właśnie – bynajmniej nie troska o „praworządność”, której kryteria ustalają sobie państwa „starej Europy” całkowicie uznaniowo i inaczej dla siebie, a inaczej dla innych – sprawiło, że tak silnego poparcia udzieliła Unia grupie wysadzonych z siodła beneficjentów poprzedniego układu, gotowych ściągnąć na swój kraj każde możliwe nieszczęście, byle odzyskać utracone wpływy. Pod tym względem narzucająca się analogia obecnej „demokratycznej”, jak się ona po orwellowsku nazwała, opozycji z konfederacją targowicką jest wyjątkowo trafna. Szczęsny-Potocki i inni magnaci, poszkodowani przez Konstytucję 3 maja, byli najgłębiej przekonani, że po przywróceniu w Polsce „złotej wolności” Caryca wycofa się i „znowu będzie, jak było”. Niektórzy publicyści twierdzą, że Donald Tusk już zdaje sobie sprawę z tego, że jeśli przejmie władzę, to on też żadnych znaczących pieniędzy z Unii nie dostanie, choć moim zdaniem jego zachowanie tego nie potwierdza.

Faktem jest, że gdy Wawrykiewicz zwraca uwagę na to, iż, wbrew uparciu podtrzymywanej linii rządu, Komisja Europejska nie wydała żadnego oświadczenia, które by potwierdzało, iż uchwalenie noweli do ustawy o Sądzie Najwyższym cokolwiek zmieni w jej decyzjach – to ma rację. Komisarze Reynders i Timmermans podkreślają to otwarcie: KE jedynie „dała dyrektywy” ministrowi Szyńkowskiemu vel Sękowi i dopiero po uchwaleniu ustawy ją oceni (pierwszy dodał przy tym z bezczelnym cynizmem, że „przecież” Komisja nie może oceniać projektów legislacyjnych krajów członkowskich, bo traktaty nie dają jej takich uprawnień). Rząd, mimo że kilkakrotnie jego ustępstwa zaraz po rzekomych kompromisach

okazywały się „niewystarczające”, po raz kolejny brnie w ułudę. Tyle że tym razem w imię owej ułudy posuwa się już do jawnego wyrzeczenia się niepodległości. Między bajki włożyć można bowiem nie tylko zobowiązanie Komisji Europejskiej do odblokowania w zamian za ustawę KPO, lecz także równie często przez wszystkich polityków PiS powtarzane zapewnienia, że nie zgodzą się na nic, co sprzeczne jest z polską konstytucją.

Choć gdy mówi to prezydent, jego słowa brzmią stosunkowo najbardziej wiarygodnie: nowela uderza w jego wyłączną prerogatywę, zakwestionowaną przez sędziowski rokosz, jaką jest kreowanie sędziów. Tu przecież zarówno polski TK, jak i TSUE i konstytucja są zgodne: bez względu na zastrzeżenia co do sposobu powołania KRS, która jest tylko ciałem rekomendującym, status sędziego, od którego prezydent przyjął ślubowanie, nie może być kwestionowany. A jednak, jeśli ustawa wejdzie w życie, de facto będzie to możliwe.

SZKODY NIE DO ODRÓBIENIA

Jeśli jednak nie przekonuje liderów PiS argument racji stanu, to powinni przynajmniej brać pod uwagę interes swojej partii. Krok po kroku, goniąc za, pominiemy już, że iluzorycznymi, ale przede wszystkim czysto taktycznymi zyskami, doprowadzili do sytuacji, w której PiS zanegował i ośmieszył całą swoją politykę. Po pierwsze, sztandarowa reforma okazuje się jakąś samowolą ministra Ziobry, który nagle, zgodnie z dotychczasowym dyskursem najbardziej radykalnego antypisu, stał się wyłącznym sprawcą wstrzymywania przez Unię pieniędzy dla Polski. Jeśli Kaczyński liczy na efekt podobny jak z „500+”, na to, że wyborcy, słysząc, iż „będzie kasa”, machną ręką na wszystko inne, to chyba nie rozumie, że przegłosowując Ziobrę i „uspakając” prezydenta (jak to ujął minister Buda), wysłał do społeczeństwa sygnał, że gdyby nie PiS, ta „kasa” przyszłaby już dawno, i że cała reforma, którą tak uparcie wprowadzał, była tylko skutkiem bezpodstawnego, oślego uporu. Pośrednio, okazana gotowość do zrobienia dla pieniędzy z KPO wszystkiego, czego tylko eurokraci zażądają, każe też uznać, że siedem lat trąbienia o gospodarczych sukcesach PiS było

zwykłą gierkowską propagandą – skoro po nich stan finansów państwa (mówiąc nawiasem, tak już powyprowadzanych poza publiczną kontrolę, że nikt nic pewnego o nich nie wie) jest tak opłakany, że Kaczyński daje się czołgać bodaj za mętną obietnicę zaliczki.

To są wizerunkowe szkody nie do odrobienia, sprawiające, że bez względu na to, czy PiS ostatecznie jakieś pieniądze u Reyndersa i Timmermansa wyżebrze czy nie, utrzymanie po jesiennych wyborach nie tylko władzy, lecz także możliwości podtrzymania prezydenckiego weta staje się nieprawdopodobne.

Dotychczasowy bieg wypadków – Ziobro ustawiony na pozycję wyznaczoną mu od dawna przez PO i TVN, jego ludzie terroryzowani, jak wcześniej stronnicy Gowina (przypadek Anny Siarkowskiej), opozycja zdecydowana poprzeć projekt, bez względu na los jej poprawek – wskazuje, że ustawa zostanie przeprowadzona przez Sejm głosami szerokiej koalicji PiS-PO-Lewica-PSL, i to raczej szybko. „Demokratyczny Senat” też raczej nie zastosuje w tym wypadku obstrukcji (marszałek Grodzki miał ponoć wielką chęć skorzystać z okazji, by zaznaczyć swą ważność jakimiś poprawkami, ale już mu to wyperswadowano). Jediną nadzieją na powstrzymanie samobójstwa pozostaje więc prezydent. Ten sam, który u zarania swej pierwszej kadencji, w grudniu 2015 r., popełnił fatalny błąd, pozwalając się zmusić do nocnego, pośpiesznego przyjmowania ślubowań od pięciu nowo wybranych sędziów TK, zamiast poczekać na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego. Można mieć nadzieję, że od tego czasu nabrał asertywności, zwłaszcza że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w dwóch ostatnich latach kadencji będzie pełnił w państwie szczególnie istotną rolę. Zresztą podpisując ustawę, która znosi odpowiedzialność dyscyplinarną sędziów za kwestionowanie konstytucyjnych organów państwa, otworzyłby przed PO możliwość po przejściu władzy ubezwłasnowolnienia go, a nawet usunięcia przez „silnych ludzi” z urzędu. Czy zdaje sobie z tego sprawę? Z enigmatycznych wypowiedzi, w zasadzie sprowadzających się do zapowiedzi „konsekwentnego stania na straży konstytucji”, trudno to na razie wywnioskować.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Giertych **nadaje**

Twitter mecenasa Romana Giertycha to źródło zaiste fantastycznych doznań; chyba tylko jeden Tomasz Piątek jest w stanie mu pod tym względem dorównać. Ale Piątek swoje książki, w których „demaskuje” powiązania kolejnych polityków PiS z Putinem, wydaje raz na parę miesięcy, a Giertych tweetuje często, szczególnie od kiedy ukrywa się za granicą przed służbami, na widok których mdleje. Teraz np. obwieścił światu, że PiS płaci 10 tys. zł za każdy jeden twitterowy wpis zawierający zapowiedź, że PiS wygra wybory albo że opozycja wybory przegra. „Im chodzi o demobilizację!” – przestrzega Giertych.

W chwili, gdy piszę te słowa, ten wpis wciąż jest na koncie @Gierty-

chRoman dostępny, raczej więc nie mamy tu do czynienia z przejęciem konta czy z nadużyciem środków uśmierzających ból istnienia. Ba, kilka godzin później pojawiła się kolejna sensacja, co świadczy, że Giertych sprawę rzekomego kupowania przez PiS tweetów szczególnie przeżywa: „Teksty na popularne tt pod tytułem: »Wielki Plan PiS na wybory« i podobne idą po 15 000 złotych [...]». Wszystko z naszych pieniędzy”.

Pod samymi wpisami Giertycha, a także w innych miejscach, przeważnie z załączeniem screenu z jego enuncjacją, zaroilo się od wpisów „PiS wygra wybory albo opozycja je przegra” i „PiS ma wielki plan na wybory”, z żądaniem obiecanych pieniędzy. Nie sądzę jednak, żeby

znalazł się ktoś, kto potraktował Giertycha poważnie. Niemniej były prawnik Donalda Tuska i jego syna, były częsty gość „Kropki nad i” Moniki Olejnik i innych flagowych programów TVN 24 wydaje się szczerze i głęboko wierzyć w swe odkrycie. Równie głęboko, jak wierzy, że Kaczyński planuje wkroczenie zbrojne na Ukrainę i oderwanie Lwowa – po to, by na fali tego triumfu obwołać się królem.

Tak, mówimy o tym samym Giertychu, którego analogiczny tweet, że PiS go inwigiluje Pegasusem, stał się przyczyną powołania specjalnej komisji śledczej europarlamentu i niezliczonych, oskarżycielskich publikacji medialnych... o tweetach nawet już nie wspominając. ©©

OD POCZĄTKU

Neointegryzm **kard. Kaspera**



MAREK JUREK

Na postulaty szybkiej kanonizacji Benedykta XVI kard. Walter Kasper zareagował stwierdzeniem, że „do Nieba nie jedzie się pociągiem ekspresowym”. Tak i nie! Nie, bo zapewne jest wielu ludzi, których Bóg do Nieba zabiera od razu i Kościół nie zabrania w to wierzyć również w indywidualnych przypadkach. Natomiast na publiczny kult świętych należy istotnie czekać. Święty Ignacy Loyola bardzo przekonująco odradzał porównywanie żyjących do największych ludzi przeszłości.

Wiara ludu ma jednak też swoje prawa. Jeśli tak łatwo nadużywana zasada „vox populi, vox Dei” jest gdzieś słuszna – to właśnie w spra-

wach nieproklamowanej świętości. Ludowy kult świętych zaraz po ich śmierci, natychmiastowy i spontaniczny, jest objawem żywotności Kościoła. Cześć jest przecież aktem sprawiedliwości. To właśnie napisałem Katolickiej Agencji Informacyjnej na wiadomość o śmierci Ojca Świętego: „Czego dziś, w chwili pożegnania Benedykta XVI na tej ziemi, pragnę? Nie tyle szybkiej rutynowej beatyfikacji papieża, co raczej bardziej klasycznego, cierpliwie narastającego kultu ludowego, świadomości jego obecności wśród nas, w świętych obcowaniu”.

Oczywiście kult ludowy Kościoła musi poddawać próbie czasu. Czas oczyszcza z kulturowych mód, pokoleniowych

emocji, politycznych kontekstów. Szkoda tylko, że kard. Kasper ze swą interwencją czekał akurat do śmierci Benedykta XVI! Przecież żadne pokolenie chrześcijan od czasów prześladowań nie przeżyło – tak jak pokolenie „posoborowe” – wyniesienia na ołtarze czterech papieży, za których pontyfikatów żyło. Kościół od wieków nie znał takiego tryumfalizmu jak dziś. I nie słyszałem do tej pory, by kard. Kasper (bądź ktokolwiek bliski jego teologicznym poglądom) polemizował z przekonaniem o tej wyjątkowej świętości naszych czasów. Ale cóż, skoro ma rację – trzeba mu ją przyznać! Do Nieba nie jedzie się autobusem dla VIP-ów. ©©

Gdy sól traci smak



Piotr Semka

W przypadku metamorfozy poglądów Tomasza Terlikowskiego ma miejsce zjawisko, które można nazwać „syndromem księcia Harry’ego”. Kiedy zbuntowany członek rodziny królewskiej mówi coś rzucającego złe światło na dwór Windsorów, to cytują to wszystkie media. Kiedy mówi coś pochlebnego – nie budzi to już takiego zainteresowania. Tak samo jest z Terlikowskim. Kiedy atakuje on takie postacie jak abp Jędraszewski – natychmiast wzbudza to zainteresowanie lewicowych mediów. Tyle że jest to wejście w rolę, w której znany publicysta jest traktowany instrumentalnie



FOT. PAMEL WODZIŃSKI/ESTYDAS

Jeśli wstukać do dowolnej przeglądarki internetowej hasła „Terlikowski” i „nie wytrzymał”, to wyświetli nam się bardzo wiele wyników. Fraza „Terlikowski nie wytrzymuje” od dawna chętnie używana jest przez liberalne media. Prezentuje ona znanego publicystę jako samotnego szermierza walki z absurdami i niegodziwościami w Kościele katolickim i w życiu publicznym.

Ostatnio Terlikowski „nie wytrzymał” dwa razy. Po raz pierwszy, gdy zabrał głos po kazaniu wygłoszonym na pasterce przez metropolitę krakowskiego abp. Marika Jędraszewskiego. Terlikowskiego oburzył fakt, że hierarcha nawiązał w kazaniu wygłoszonym w noc wigilijną do zawetowania przez prezydenta Andrzeja Dudę tzw. lex Czarnek. Arcybiskup skrytykował argumentację głowy państwa, że ustawa może wywołać niepokój społeczny, i wskazał, iż kwestia ochrony szkół przed niepożądanymi przez rodziców wpływami ze strony organizacji promujących np. oświatę seksualną w wydaniu permissywnym nie może być traktowana jako argument do utraty inicjatywy MEN. Terlikowski zareagował na wystąpienie abp. Jędraszewskiego w niezwykle ostry sposób. Jak napisał w mediach społecznościowych: „Kazanie na pasterce w momencie, kiedy możemy się spotkać z Nowonarodzonym, nie jest przestrzenią do wspierania ustawy lex Czarnek 2.0, nie jest przestrzenią do krytykowania decyzji prezydenta”. I dalej: „Od filozofa można domagać się dostrzeżenia tego, a od arcybiskupa świadomości, że tego rodzaju kazania są w istocie demoniczne, bo podkładające pod religię przekonania polityczne i partyjny przekaz dnia”.

Oskarżenie arcybiskupa krakowskiego o demoniczne kazanie było przekroczeniem wszelkich granic krytyki. Jak trafnie wskazał jeden z internautów, według Terlikowskiego biskup nie ma prawa odnieść przesłania o Wcieleniu i Pokoju wynikającym z Prawdy do współczesnych problemów Polski. Nie ma też prawa przestrzegać przed trucizną sączoną przez lewicowe NGO-sy dzieciom w szkole ani przypominać, że o wychowaniu dzieci decydują rodzice. Ostre wystąpienie Terlikowskiego przeciwko abp. Jędraszewskiemu natychmiast stało się newsem w liberalnych mediach.

Parę dni później doszło do kolejnego starcia medialnego, w którym główną rolę

odegrał Tomasz Terlikowski. Znany publicysta oskarżył Radio Szczecin o to, że ujawniło dane personalne ofiary wykorzystywania seksualnego ze strony Krzysztofa F., byłego pełnomocnika marszałka województwa zachodniopomorskiego do spraw zwalczania uzależnień. Terlikowski w bardzo ostrym tonie zarzucił rozgłośni „ujawnienie danych osobowych ofiar pedofilii”. Jak dodatkowo podkreślił, takie działanie to „ponowna krzywda, ponowne zgwałcenie”. Tymczasem Radio Szczecin wspomniało tylko, że poszkodowane są dzieci znanej parlamentarzystki. W tekście szczecińskiego dziennikarza Tomasza Duklanowskiego nie padło jej nazwisko, nie wspomniano też, czy jest posłanką czy też zasiada w Senacie.

Terlikowski bardzo szybko przeniósł ostrze swoich ataków z Radia Szczecin na ministra Czarńka, który poruszył tę sprawę w programie TVP Michała Rachonia. Terlikowski zaatakował, znów formułując zarzut, że minister nie potępił ujawnienia danych osobowych pozwalających zidentyfikować ofiary. Cała ta sprawa pozwoliła przykryć sprawę Krzysztofa F. opowieścią o starciu odważnego publicysty występującego w obronie ofiar z wszechwładnym ministrem oświaty. Tymczasem skierowanie przez Terlikowskiego ostrza ataku na ministra Czarńka było bardzo nieuczciwe. Minister wyraźnie omijał temat ofiar i skupiał się na samym fakcie, że w środowisku Platformy znalazła się osoba, która została skazana za pedofilię.

I wreszcie ostatni etap całej historii: decyzja Tomasza Sakiewicza o tym, że wobec nieuczciwego zachowania Terlikowskiego telewizja Republika kończy współpracę z tym znanym publicystą. Terlikowski natychmiast zaczął sugerować, że jest to wynik nacisku ministra Czarńka na TV Republikę. Interpretację tę błyskawicznie podchwyciły liczne liberalne media.

Terlikowski pisał na Facebooku: „Jak zostać wrogiem publicznym medialnych emanacji władzy? Odpowiedź jest prosta. Trzeba wziąć w obronę dziecko. Dziecko, które zostało skrzywdzone dwukrotnie. Po raz pierwszy przez pedofila, po raz drugi przez dziennikarzy, którzy podali informację o sprawie w taki sposób, że jego dane stały się jawne”.

Komentując krytyczny tekst Dawida Wildsteina na swój temat, Terlikowski walił już na odlew: „Mógłbym oczywi-

ście przyjąć, że tego rodzaju atak wynika wyłącznie z głupoty, z braku czytania ze zrozumieniem, ale za bardzo cenię inteligencję Dawida Wildsteina, by tak uważać. On po prostu już nawet nie udaje, że jest dziennikarzem czy publicystą, ale uprawia ordynarną propagandę. Każda epoka ma swoich Urbanów”.

Tak więc w krótkim czasie między Bożym Narodzeniem a okresem tuż po Nowym Roku Tomasz Terlikowski nazwał kazanie abp. Jędraszewskiego „demonicznym”, ministra Czarńka oskarżył o „ponowny gwałt” na ofiarach pedofilii, a Dawida Wildsteina przyrównał do Jerzego Urbana. A jednocześnie potrafił w swoich tekstach przedstawić się jako ofiara. Kontynuując polemikę z Wildsteinem, pisał: „Przecież nie o fakty Wildsteinowi chodzi, a o to, by obrzydzić przeciwnika, by go zożydzić i przekonać wszystkich z prawej strony, którzy chcieliby polemizować z obecną linią czy decyzjami medialnej propagandy, że zemsta będzie sroga, że zrobi się wszystko, by ich obrzydzić, zożydzić, by przedstawić karykaturalny obraz polemisty. Dla »zdrajcy« nie może być zmiłuj”.

Ten ostatni wątek pojawia się w publicystyce Terlikowskiego bodaj od dwóch lat. Terlikowski bardzo lubi cytować ostre ataki na siebie, wyzwania rozmaitych internautów, by opuścił Kościół, cytuje wypowiedzi internetowych trolli, które wzywają Kościół do ekskomunikacji Terlikowskiego, sam też uwielbia inny rodzaj ironii. To styl w rodzaju zdań: „A więc wyszło na jaw, że jestem ukrytym kryptolewakiem i zwolennikiem konspiracji na rzecz zniszczenia Kościoła”.

Oczywiście tego typu przesada zawsze pojawia się w wypadku retoryki publicystów, którzy mają ostre pióro i skłonność do publicystycznych utarczek. Jednak w wypadku Terlikowskiego ta retoryka jest odpowiedzią na bardzo głębokie rozczarowanie metamorfozą jego poglądów, metamorfozą, która prosi się o spokojną i rzeczową analizę w miejsce efektywnych tyrań wobec publicysty, który sam potrafił zadawać bardzo bolesne ciosy, ale w wypadku, gdy ktoś z nim polemizuje, przybiera natychmiast rolę skrzywdzonej niewinności.

ZASKAKUJĄCA ZAMIANA RÓL

Wbrew sugestiom bohatera tego tekstu po prawej stronie bardzo długo

■ odwlekano jakąś frontalną krytykę jego osoby. Dla wielu publicystów i mediów po prawej stronie Tomasz Terlikowski był dawnym kolegą czy wręcz nawet sojusznikiem rozmaitych dawnych publicystycznych bojów. Ja sam poznałem Tomasza Terlikowskiego w katolickim Radiu Plus, współpracowałem z nim w tygodniku „Ozon”, dzieliłem z nim łamy w okresie rządów Pawła Lisickiego nad „Rzeczpospolitą”. Terlikowski przez długi czas był zapraszany na łamy tygodnika „Do Rzeczy”, w którym czytają państwo ten artykuł. A jednak coraz bardziej zdumiewające wolty publicystyczne, które były udziałem Terlikowskiego, powodowały, że kolejne media po prawej stronie zaczęły się odsuwać od niegdyś popularnego po tej stronie autora. Jednak to odsuwanie się od Terlikowskiego odbywało się raczej na zasadzie milczącej konsternacji. Mało kto, może z wyjątkiem pryncypialnego publicysty Roberta Tekielego, miał ochotę na jakieś zasadnicze polemiki z Terlikowskim i jego nowymi wcieleńiami. Wynikało to też z tego, że wielu publicystów konserwatywnych nie miało ochoty na emocjonalne kontrtyrady Tomasza Terlikowskiego. Ale był też w tym pewien szacunek, dlatego że Terlikowski w niektórych wypadkach nadal potrafi pisać rzeczy, które znajdowały posłuch po prawej stronie. Tak było, gdy krytykował politykę Franciszka wobec Rosji po agresji Putina na Ukrainę czy też gdy wskazywał na zdumiewające zaniechania obecnego papieża wobec takich agresorów seksualnych jak słoweński jezuita o. Marko Ivan Rupnik. Jeśli więc doszło do ostrzejszej krytyki Terlikowskiego przy okazji awantury o ministra Czarnka, to było to raczej przelanie się kielicha pełnego kropel goryczy. Skąd ta gorycz się wzięła?

MEA CULPA

Tomasz Terlikowski to chyba jedyny publicysta z prawej strony, który w programie TVN złożył coś w rodzaju samokrytyki na temat swojej wcześniejszej twórczości publicystycznej. Była to rozmowa z dziennikarzem TVN 24 Piotrem Świerczkiem, w której Tomasz Terlikowski przeprosił za swoje poglądy wyrażone w książce „Lawendowa mafia” i bardzo wyraźnie zaznaczył, że podchodzi z krytycyzmem do wielu swoich poprzednich opinii, np. na temat Anny Grodzkiej i szerzej problemu

osób o zaburzeniach tożsamości płciowej. Niedługo potem Terlikowski skupił się na problemie ofiar molestowania seksualnego skrzywdzonych przez osoby duchowne i temacie zamykania takich spraw pod dyktando przez hierarchów Kościoła katolickiego. Trzeba jasno powiedzieć, że wiele z tych jego tekstów wymagało cywilnej odwagi i pomogło Kościołowi zmierzyć się z tym problemem na serio, a nie tylko w pozorowany sposób. Także kierowanie przez Terlikowskiego komisją powołaną przez zakon dominikanów do wyjaśnienia przypadków molestowania ofiar przez jednego z zakonników we Wrocławiu można uznać za godny pochwały przykład próby wyjaśniania niezwykle skomplikowanych i nacechowanych krzywdą ponurych spraw z przeszłości.

Na tym polu działalność publicystyczna Terlikowskiego nie budziła zastrzeżeń. Problem się zaczął, kiedy przeszedł on od konstatacji na temat grzechów Kościoła sprzed lat do bardzo radykalnych haseł głoszących „Koniec Kościoła, jaki znamy”. I tutaj krytyka hierarchii wiązała się z bardzo ogólnikowymi, ale radykalnymi żądaniem zmian życia Kościoła we wszystkich niemal dziedzinach. Towarzyszyć temu zaczęła maniera absolutnego wyparcia z publicystyki Terlikowskiego świadomości istnienia bardzo ostrej presji cywilizacyjnej ze strony lewicy i obozu liberalnego, mająca na celu ateizację i sekularyzację współczesnego świata.

Co więcej, Terlikowski jakiegokolwiek ostrzeżenia przed tym, że są siły chcące marginalizować chrześcijaństwo w życiu publicznym, zaczął traktować jako nieudolne próby odwracania uwagi hierarchów od własnych zaniedbań. Na tym polu ulubionym chłopcem do bicia stał się w publicystyce bohatera tego tekstu abp Marek Jędraszewski. W tej optyce Kościół sam jest sobie winny sytuacji, w której się znalazł, a jego malejącemu znaczeniu Terlikowski zdaje się przyglądać bez większego współczucia. Dotyczy to zresztą nie tylko sytuacji w Polsce, lecz także poza Polską. Przykładowo informacje o dojściu do władzy w Wielkiej Brytanii wyznawcy hinduizmu Rishiego Sunaka opatrzył charakterystycznym komentarzem:

„Tempo zmian jest błyskawiczne. Tony Blair czekał aż do 2007 roku (czyli do momentu, gdy przestał być premierem),

by oficjalnie konwertować na katolicyzm, a obecnie premierem Wielkiej Brytanii został pierwszy wyznawca hinduizmu. – Jestem praktykującym hinduistą i w tym chcemy wychować nasze dzieci – mówi Rishi Sunak. A swoją przysięgę wierności państwu i królowej składał on, trzymając w rękach świętą księgę hinduizmu Bhagawadgitę.

I nie ma w tym nic zaskakującego. Wielka Brytania jest już społeczeństwem wielokulturowym i wieloreligijnym, postchrześcijańskim raczej niż chrześcijańskim. Polska też stanie się dokładnie takim samym miejscem. Może zajmie nam to jeszcze kilkanaście, może kilkadziesiąt lat, ale też tak będzie. Ten proces, jak się zdaje, jest nieunikniony. A tym, co trzeba zrobić, jest nie tyle przestrzeganie przed nieuchronnym, ile mądre przygotowanie. Zarówno polityczne, prawne, jak i religijne”.

Przepraszam za ten przydługi cytat, ale są w nim wszystkie cechy nowej fali publicystyki „Terlika”. Posępne zapowiadanie końca dawnej formy kulturowej i egzaltacja „nieuchronnością procesu”. Jako alibi moralne – wezwanie do „mądrego przygotowania się”, ale bez wyjaśniania, jak dalece wywróci to wiare do góry nogami.

ZERO ZDZIWIEN

Kolejnym nowym elementem w publicystyce Terlikowskiego było bardzo wyraźne odejście od tezy o fatalnym wpływie rewolty obyczajowej w 1968 r. na Kościół. I znowu ludzie, którzy niegdyś kupowali książki Terlikowskiego na temat swoistego zaccadzenia ideami rewolucji seksualnej wobec np. seminariów duchownych, ze zdumieniem odkrywali, że teraz Terlikowski głosi rzeczy zupełnie odwrotne. Tak samo z diagnozy Terlikowskiego dotyczącej polskiego Kościoła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknął wątek nieudanej lustracji z lat 2007–2009. Tematu, na którego polu Terlikowski np. w 2007 r., gdy wybuchła sprawa abp. Stanisława Wielgusa, był jednym z najbardziej odważnych rzeczników.

Kolejnym zaskoczeniem, które czekało czytelników znających książki byłego szefa „Ozonu”, był lekceważący ton, który zaczął pojawiać się w tekstach dotyczących episkopatu. Gdy niedawno polscy biskupi wystosowali list broniący dobrego

imienia Jana Pawła II wobec oskarżeń o jego odpowiedzialność za zjawiska pedofilii w Kościele, Terlikowski nazwał utrzymany w bardzo spokojnym tonie dokument „zdartą płytą”.

Kolejny nurt w publicystyce bohatera tego tekstu. Przyjmowanie – gdy jest to Terlikowskiemu wygodne – postawy, którą nazwać można: „A cóż w tym dziwnego?”. Tak było, gdy jakiś czas temu Donald Tusk opowiedział się za usuwaniem symboli religijnych w miejscach publicznych. Jaka była reakcja pana Tomasza? Z odpowiedniego komentarza na ten temat mogliśmy się dowiedzieć, że Tusk po prostu reaguje na zmianę nastrojów w młodym pokoleniu, a pośrednio przyczynia się do takiej nowej polityki Tuska sam Kościół, który roztrwonił swój autorytet, nie potrafiąc zmierzyć się z grzechami z przeszłości. Ten ton w stosunku do społeczności kościelnej, kojarzący się z tezą „a dobrze wam tak, najbardziej”, boli tych katolików, którzy wcześniej widzieli w Terlikowskim kogoś, kto potrafił nazywać ich obawy i intuicje.

I wreszcie ostatnia najnowsza linia publicystyczna Terlikowskiego – walka z eklezjalnym populizmem. W myśl tej nowej tendencji populizm (w domyśle: rządu PiS) oznacza głęboko przeżywanie i głoszenie treści religijnych przez Kościół. Jak pisze Terlikowski: „Choć tego typu działanie może przynosić »sukcesy«, to głęboko naznaczone jest to czymś, co określić można mianem demonizmu”. Jak zauważy uważny czytelnik, wracamy w ten sposób do ataku na kazanie z pastyki abp. Jędraszewskiego.

Choć Tomasz Terlikowski nie jest teologiem, a filozofem, to winien sobie zdawać sprawę, że oskarżenie o demonizm to strzelanie z dział najgrubszego kalibru. A jednak wśród praktyki coraz ostrzejszego języka przyjmowanego przez publicystę to niezwykle mocne określenie po prostu spowszedniało.

NA CUDZYM TERYTORIUM

Minęły już czasy, kiedy Tomasz Terlikowski miał ambicję zakładania mediów, które byłyby autonomicznym głosem katolików otwartych na świat, ale mających jednocześnie świadomość ostrej walki z katolicyzmem ze strony lewicy i obozu liberalnego. Przez pierwsze dwie dekady swojej działalności starał się tworzyć

instytucje katolickie, takie jak wspomniane już Radio Plus, tygodnik „Ozon”, TV Republika, czy też media niezależne, ale poważnie traktujące kwestie sporów cywilizacyjnych, takie jak portal Fronda czy nasz tygodnik „Do Rzeczy”. Dziś Tomasz Terlikowski przedstawia się jako dziennikarz Radia RMF FM. Co więcej, był nawet twarzą kampanii reklamowej stacji „Trolle swoje... a my swoje”, która chwali się pluralizmem poglądów rozpiętym między progresistką Kazimierą Szczuką – „upadłą gwiazdą lewackich mediów”, „symetrystą i bufonem” Robertem Mazurkiem i „katooszołomem” Tomaszem Terlikowskim. Sam zresztą Terlikowski cały czas podkreśla swój konserwatyzm.

Tyle że w jego wydaniu jest to jedynie bilet wstępu na salony, gdzie tolerowany jest od dłuższego czasu jako wygodny partner do ideowych potyczek na liberalnym boisku. Wygodny, bo nigdy nie odwinie się naprawdę celnie. Za to chętnie pokaja się za dawne błędy.

**Tomasz Terlikowski to chyba
jeden z publicystów z prawej
strony, który w programie
TVN złożył coś w rodzaju
samokrytyki na temat swojej
wcześniejszej twórczości
publicystycznej**

W ostatniej jego książce, rozmowie z rzece z Katarzyną Wigurą z Kultury Liberalnej, Terlikowskiego przedstawia się jako „Polaka katolika” dyskutującego z „Polką ateistką”. Problem w tym, że ta wymiana poglądów ciekawi obecnie głównie raczej czytelników liberalnych. O ile Karolina Wigura i jej rozmowa z Terlikowskim są obiektem zainteresowania po stronie publicystów TOK FM, „Tygodnika Powszechnego” czy „Przeglądu Politycznego”, o tyle po stronie konserwatywnej ten rzekomo ostry ideowy boks mało kogo interesuje. Spora część byłych fanów Terlikowskiego z obozu „ciemnogrodu” po prostu uznaje takie wymiany poglądów za wejście pana Tomasza do salonu i przyznawanie w nagrodę wymierzonej mu ściśle części

prestżu. Widać to wyraźnie na przykładzie spadku zainteresowania książkami Terlikowskiego w księgarniach katolickich. Krakowskie wydawnictwo Esprit, które rocznie wydawało po trzy-cztery religijne książki znanego publicysty, obecnie nie przewiduje wydawania żadnych nowych pozycji tego autora. W wydawnictwie Fronda dowiadujemy się, że Terlikowskiemu zaproponowano parę tematów, ale ten „tak wkręcany” jest w nowe media, że nie ma na razie czasu na pisanie żadnych nowych pozycji”.

Kolejnym przekroczeniem pewnej bariery był udział Terlikowskiego w dyskusji na temat Kościoła w trakcie Campusu Polska pod patronatem Rafała Trzaskowskiego – imprezy wyraźnie mającej już stempel Platformy Obywatelskiej. Terlikowski na wszelkie zarzuty dotyczące pojawiania się na takiej quasi-partyjnej imprezie odpowiada przekornie: „Nie wybieram się do polityki”. Taka retoryka to wyważanie otwartych drzwi. Istotnie, nikt rozsądny nie podejrzewa, że Terlikowskiego ktoś będzie chciał wciągać na listy partyjne opozycji. Ta droga została zajęta już przez Szymona Hołownię. Natomiast media liberalne z przyjemnością będą cytować Terlikowskiego, kiedy ten będzie krytykował Kościół i kiedy będzie to tym mediom wygodne.

Ma tu zresztą miejsce zjawisko, które można nazwać „syndromem księcia Harry’ego”. Kiedy zbuntowany członek rodziny królewskiej mówi coś rzucającego zło światło na dwór Windsorów, to cytują to wszystkie media. Kiedy mówi coś pochlebnego o swoim bracie czy ojcu, nie budzi to już takiego zainteresowania i nie jest cytowane. Tak samo jest z Terlikowskim. Kiedy atakuje on takie postacie jak abp Jędraszewski czy minister Czarnek – natychmiast pojawia się zaczarowana formuła „Terlikowski nie wytrzymał”. Tyle że jest to wejście w rolę, w której znany publicysta jest traktowany instrumentalnie.

Publicystka katolicka Alina Petrowa sytuację taką zdefiniowała tymi słowami: „To złudzenie, że jeśli wejdziemy do salonu, nasze wybitnie chrześcijańskie przemyślenia zwiększą zasięg. Za bycie w salonie płaci się salonowym mówieniem, potwierdzeniem ich sądów. Inni nie mają wstępu. Chrześcijaństwo, ewangelizując elity, nie zaczynali od złożenia ofiary bogom”.

Koniec wójtowych gazet?



Łukasz Zboralski

Samorządy wydają „gazety”, przez które prawdziwym dziennikarzom trudniej kontrolować lokalne władze. RPO wiele razy apelował, by tego zakazać. Nie posłuchano. Czy pomoże skarga do UOKiK, którą właśnie wysłał prywatny wydawca z Bydgoszczy?

Są lśniące, na drogim, kredowym papierze. Takie, jakich prawie nikt inny w Polsce nie wydaje – no, może poza wielkimi koncernami, które wydają swoje wewnętrzne magazyny. Są też okraszone ogromną liczbą zdjęć, na których jakiś wójt, burmistrz czy prezydent miasta coś otwiera, tłumaczy, oddaje do użytku. To samorządowe „gazety”. Choć przypominają prasę drukowaną, to w rzeczywistości są po części ulotkami wyborczymi finansowanymi za pieniądze podatników. Są to niemałe pieniądze. Na przykład „Wiadomości Ratuszowe” wydawane w Cieszynie w 2019 r. pochłaniały ponad 100 tys. zł rocznie, a w 2021 r. – jak wyliczał portal Beskidzka24.pl – wydano na to pismo ponad 63 tys. zł. Dla porównania: roczny koszt funkcjonowania jednej filii biblioteki publicznej w tym mieście był tańszy o 10 tys. zł. A w tej okolicy wydawane były jeszcze „Wieści znad Brennicy” w Brennej (koszt ponad 7 tys. zł), „Dębowieści” w Dębowcu (13 tys. zł), „Panorama Goleiszowska” w Goleiszowie (45 tys. zł), „Nasza Trójwieś” w Istebnej (45 tys. zł)...

Wydawanie tego rodzaju „prasy” jest nie tylko zasilane z samorządowych kas, lecz także przygotowywane często bez kosztów – bo takie obowiązki mają pracownicy rozmaitych wydziałów kultury czy promocji.

A i to nie wszystko. Bo ta „prasa” zgarnia też reklamy z rynku. A publikacja komer-



Samorządowe pisma stanowią niezdrową konkurencję dla mediów

cyjnych reklam jest działaniem podwójnie szkodliwym. Z jednej strony to presja na lokalnych przedsiębiorców, którzy nierzadko żyją przeciwie dzięki samorządowym przetargom. Ilu z nich nie da reklamy w gazecie prezydenta miasta? Z drugiej strony, pieniądze te nie trafiają do prawdziwych wydawców niezależnej regionalnej prasy. A tylko ci ludzie potrafią kontrolować lokalne władze.

RZĄD GŁUCHY NA APELE

Wydawcy prasy domagają się zmiany w tej sprawie od dawna. Prosimi o interwencję Rzecznika Praw Obywatelskich. I jeszcze w 2016 r. Adam Bodnar jako RPO wystąpił do Ministerstwa Kultury

i Dziedzictwa Narodowego oraz do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów w sprawie wydawania „prasy” przez władze samorządowe.

„[...] samorząd może wydawać swoje pismo w oderwaniu od zasad rynkowych, z pomocą środków publicznych oraz przy wsparciu zatrudnionych urzędników, którzy redagują jego treść w ramach obowiązków służbowych. Wydawana przez jednostki samorządu terytorialnego prasa jest często rozprawiana bezpłatnie, a zatem jest pozbawiona ważnego – standardowego dla prasy prywatnej – źródła finansowania, które jest uzupełniane ze środków publicznych. Niezależnie od powyższego, bardzo niepokojący – z punktu widzenia zasady społecznej gospodarki rynkowej – jest udział prasy samorządowej w rynku reklamowym, który niejednokrotnie warunkuje funkcjonowanie prywatnej prasy lokalnej” – czytamy w tamtym piśmie RPO do ministra kultury.

Rzecznik Praw Obywatelskich przytoczył też bardzo konkretne zarzuty Regionalnej Izby Obrachunkowej we Wrocławiu, która w 2014 r. stwierdziła, że „wolność prasy gminnej może istnieć tylko w granicach tej treści, która zaspokaja zbiorowe potrzeby mieszkańców. Tego warunku nie spełniają publikacje o charakterze politycznym, tym bardziej jednostronne. Współnota samorządowa z natury swej jest różnorodna. Mieszkańcy różnią się między sobą poglądami. Ukazywanie opozycji w negatywnym świetle zaspokaja potrzeby wyłącznie ich przeciwników politycznych. Co więcej, dokonywane jest za pieniądze, które – jako publiczne – są pieniędzmi także tej opozycji. Takie publikacje powodują, że wydawanie gazety przestaje się mieścić w zadaniach własnych gminy”.

Kolegium RIO wskazało jednocześnie, że zamieszczanie w „gazecie” prowadzonej przez samorząd reklam i ogłoszeń oznacza prowadzenie działalności gospodarczej, a to już nie mieści się w granicach prawa! W dodatku jest to nieuczciwa konkurencja dla prasy prywatnej.

Rzecznik Praw Obywatelskich nie jednak nie wskórał. Choć ponownie interweniował w tej sprawie do ministerstwa w 2018 r. Resort odpowiedział wówczas, że nowelizacja Prawa prasowego nie należy do jego priorytetów, więc debata o samorządowych mediach nie była jeszcze prowadzona. Dodano też, że ministerstwo uważa tę kwestię za „niezwykle delikatną”. Dlaczego? „Ograniczenie prawa jednostek samorządu terytorialnego do wydawania prasy mogłoby zostać odebrane jako ograniczenie swobody wypowiedzi organów jednostek samorządu terytorialnego”.

Sprawą zainteresowali się m.in. posłowie Kukiz'15, którzy w 2018 r. złożyli do marszałka Sejmu projekt nowelizacji Prawa prasowego – wprowadzał on zakaz wydawania tytułów prasowych samorządom. Pomysł Kukiz'15 nie uzyskał jednak szerszego politycznego poparcia.

Po raz kolejny w tej sprawie interweniował w resorcie kultury następca Bodnara na stanowisku RPO – Marcin

Wiącek. Podnosił dokładnie to samo: że wydawanie przez lokalne władze „prasy” to ryzyko zakłócenia funkcji mediów w społeczeństwie, która polega na kontroli władzy; że to zaburzenie konkurencji na rynku mediów.

Tym razem w odpowiedzi resortu z 20 września 2022 r., opublikowanej na stronie RPO, wskazano, że ograniczenie samorządom możliwości wydawania „prasy” mogłoby być niezgodne z konstytucją: „[...] żaden artykuł konstytucji nie ogranicza jednostkom samorządu terytorialnego prawa do zakładania i prowadzenia działalności wydawnictwa prasy lokalnej. Tym samym nawet ograniczona ingerencja w prawo do prowadzenia przez jednostki samorządu terytorialnego działalności wydawnictwa prasy lokalnej może budzić wątpliwości w zakresie zgodności z konstytucją”.

SKARGA WYDAWCY

Niechęć polityków w tej sprawie wydaje się zrozumiała – wielu z nich ma partyjnych kolegów w samorządach, wielu z nich po nieudanych startach w wyborach

parlamentarnych trafia też na samorządowe posady.

Być może jednak sprawę uda się przełamać z innej strony. W ubiegłym tygodniu własną skargę do UOKiK złożył bowiem Łukasz Religa, wydawca Portalu Kujawskiego. Zarzucił w niej, że bydgoski urząd miejski, wydając portal i pismo „Bydgoszcz Informuje”, stwarza nieuczciwą konkurencję dla regionalnych mediów niezależnych. Wytykał m.in. fakt, że relacja z sesji rady przez człowieka zatrudnianego przez prezydenta nie może być obiektywna. – Chciałbym swoją skargą osiągnąć choćby tyle, aby UOKiK wyznaczył samorządom jasne granice ingerencji w rynek lokalnych mediów – tłumaczył portalowi WirtualneMedia.pl Łukasz Religa. Jego skargę poparły wszystkie duże media niezależne z Bydgoszczy.

To o tyle nowa droga, że być może ostatecznie w tej sprawie wypowie się sąd. Jeśli nawet bowiem UOKiK rozłoży ręce, to od jego decyzji Religa będzie mógł się odwołać do Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Rzecznik Finansowy

Codziennie na straży Twoich finansów!

www.rf.gov.pl

Jak Rzecznik Finansowy pomaga klientom?

- **Poradnictwo:** udzielamy porad mailowych i telefonicznych
- **Postępowania interwencyjne:** stajemy po stronie klienta po odrzuceniu reklamacji przez podmiot rynku finansowego
- **Postępowania polubowne** prowadzone przez bezstronnych i niezależnych ekspertów z zachowaniem poufności
- **Istotne poglądy** na etapie postępowania sądowego
- **Wnioski o uchwałę Sądu Najwyższego** w razie dostrzeżenia istotnych rozbieżności w orzecznictwie
- **Działania systemowe** w przypadku problemu na rynku, który powtarza się i dotyczy wielu osób





Z Tomaszem Potkajem, dziennikarzem i pisarzem
rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Związek inżynierów

KRZYSZTOF MASŁOŃ I TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Pana książka „Akwarium. Opowieść o Związku Literatów Polskich z PRL-u” idealnie trafiła w swój czas, gdyż jesteśmy świadkami kolejnej odsłony walki o Dom Literatury w Warszawie. Do narodzin tego miejsca – tak silnie osadzonego w stołecznym krajobrazie od ponad siedmiu dekad – rzeczywiście przyczynili się pisarze?

TOMASZ POTKAJ: Prawda miesza się tu z legendą. Kiedy po drugiej wojnie światowej podjęto decyzję o rekonstrukcji Traktu Królewskiego i sprecyzowano

adres nowej siedziby Związku Literatów Polskich, pośród jego członków istotnie przeprowadzono zbiórkę na ten cel. Nie wydaje się jednak możliwe, aby z mizeryjnych datków ludzi pióra, którzy jak większość Polaków tamtych czasów byli biedni, niczym myszy kościelne, odbudowano dwa duże gmachy. W znacznym stopniu je zresztą modernizując, bo przecież kamienicę Johna poszerzono i pozbawiono piwnic – ich miejsce zajęła przestrzeń, gdzie usytuowano pierwsze w Warszawie

schody ruchome łączące nowo powstałą Trasę W-Z z placem Zamkowym. Natomiast front kamienicy Prażmowskich odtworzono na podstawie XVIII-wiecznych sztychów malarskich Canaletta. Koszt tych inwestycji bez wątpienia wyraźnie przekraczał możliwości finansowe literatów. Głównym płatnikiem było więc państwo.

Dom Literatury służył nie tylko zebraniom i spotkaniom autorskim. Przychodzono tam też coś zjeść i wypić. Miał nawet lokatorów...

Otwarcie III Zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich, który obradował w dniach 17–20 listopada 1947 r. Przemawia Stanisław Albrecht FOT. PAP



tuowane w niezwykle prestiżowym miejscu miasta. Nic zatem dziwnego, że stały się obiektem marzeń wielu pisarzy. Najślawniejszą lokatorką była niewątpliwie Zofia Nałkowska. Zacumowała tam w roku 1949, po przeprowadzce z Łodzi. Będąc posłanką, mogła skorzystać z mieszkaniowej puli sejmowej, ale wolała ten adres, zapewne bliższy jej sercu. Otrzymała najelegantszy lokal, który po jej śmierci przejął Robert Stiller.

Najbardziej uciążliwy lokator Domu Literatury...

Pieniacz, to po pierwsze, a po drugie człowiek w jakimś sensie chyba zaburzony, co nie przeszkodziło mu być Tajnym Współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. To, że pozostawił ślady po sobie w licznych archiwach, pozwoliło mi pieczołowicie odtworzyć historię człowieka, któremu przydzielono mieszkanie, a który potem sukcesywnie odmawiał wyprowadzki, kiedy zarządca – czyli ZLP – miał wobec lokalu inne plany. Wielokrotnie i bezskutecznie nakazując Stillerowi opuszczenie mieszkania.

Pańska wnikliwa kwerenda ujawniła rzeczy nie zawsze chwalebne. Dajmy na to donos brata naszego noblisty.

Andrzej Miłosz w roku 1955 zawiadomił Zarząd Główny ZLP, że należący do związku pisarz Władysław Lubecki, po swych spotkaniach autorskich w Zakopanem, gdzie mieszkał w tzw. Domu Pracy Twórczej, pobierał od publiczności opłaty. Miłoszowi wydało się niestosowne, by członek ZLP tak postępował, toteż skierował odpowiednie pismo do zarzą-

du głównego. Ów po zbadaniu sprawy relegował Lubeckiego ze związku, i to w sposób łamiący statut organizacji, bo nie był władny podejmować takich decyzji. Tym sposobem człowieka pozbawiono praw do obiadów w stołówce Domu Literatury, stypendiów, zapomogi... Niebawem podupał na zdrowiu i umarł.

O tej wstydlivej sprawie zapewne nigdy byśmy się nie dowiedzieli, gdyby wdowa po Lubeckim nie pojawiła się na zjeździe ZLP w Katowicach (rok 1960). Czy udało się jej przemówić z tribuny czy też nagłośniła incydent podczas rozmów kularowych, nie wiem. Interweniował jednak sam prezes Jarosław Iwaszkiewicz. Nakazał powołanie specjalnej komisji do zbadania sytuacji i wkrótce okazało się, że Lubeckiego usunięto z ZLP bezprawnie. Zmarłemu przywrócono sprawiedliwość, a wdowa – być może – dostała jakieś świadczenia.

À propos zjazdów. Przypomina pan, że ZLP organizował je częściej niż Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego!

W początkowych latach Polski Ludowej odbywały się rokrocznie. Potem co trzy lata, obecnie co cztery. Decydowały o funkcjonowaniu ZLP. O prezesa nie mówię, ponieważ przez dwudziestolecie stanowisko to piastował Jarosław Iwaszkiewicz. Poza jednym zjazdem – w Łodzi w roku 1972, kiedy w szranki o fotel prezesa stanął z nim Igor Newerly, oczywiście przegrywając – nie miał kontrkandydatów. Powiedzmy sobie jednak otwarcie, że wybór szefa ZLP

Ostatnią była Hanna Ożogowska mieszkająca tam do swej śmierci w połowie lat 90. W Domu Literatury zlokalizowano osiem mieszkań. O ich przydziałach decydował Zarząd Główny ZLP. Ustawiała się po nie długie kolejki oczekujących kwaterunku. Prześcigano się w pisemnych podaniach, przedstawiając swą sytuację bytową w jak najczarniejszych kolorach, żeby tylko zmieścić serca decydentów.

Lokale były rozmaitej wielkości, wszystkie z tzw. wygodami, no i usy-

■ kontrolowała PZPR. Jedynie raz – pod koniec „gorącego” politycznie roku 1956 – kierującego związkiem obwołano bez konsultacji z partią. Został nim Antoni Słonimski, aczkolwiek pierwszym wskazaniem środowiska była wówczas Maria Dąbrowska. Tyle że odmówiła, sugerując autora „Alarmu”. A gdy skończyła się jego kadencja, namaściła Iwaszkiewicza.

Zjazdy odbywały się w różnych miastach, trwały po kilka dni, brała w nich udział ponad setka delegatów. Mogli zaistnieć, przemawiać, konferować, o aspektach gastronomicznych nie wspominając. W auli, zwłaszcza w kuluarach, załatwiano liczne, niekiedy drażliwe kwestie. Pisząc książkę, dysponowałem materiałem bezcennym – stenogramami podsłuchów Służby Bezpieczeństwa. Obrazuje to olbrzymi stopień infiltracji ZLP i przekonuje, jak bardzo istotne dla najwyższych czynników państwa było środowisko pisarskie.

Obcując z esbeckim podsłuchem z łódzkiego zjazdu ZLP, odniosłem wrażenie, jakbym stał za zamkniętymi drzwiami sali, gdzie toczono dyskusje poufne. Obfitujące w polemiki, partykularyzmy, małostkowości, intrygi oraz... epitety.

Zatarg pomiędzy Leonem Pasternakiem a Stanisławem Jerzym Lecom rozstrzygnęła Temida?

Nie wiem, czy doszło do rozprawy sądowej, ale poróżniła ich kwestia dziś dosyć błaha, choć wtedy dla zainteresowanych zapewne fundamentalna. Rzeczą miała miejsce jesienią roku 1944 w Lublinie, podczas pierwszego zjazdu ZLP. Przybyły z „berlingowcami” Pasternak, który większość drugiej wojny światowej spędził w Związku Sowieckim, zażartował, że Lec wyszedł z lasu (część okupacji spędził w partyzantce), dysponując dużą ilością gotówki. Pojawiło się pytanie, skąd ją miał, i sprawa trafiła do sądu koleżeńskiego. Niestety, dokumenty się nie zachowały. O tym konflikcie wiemy dzięki zapiskom zawartym w niepublikowanych dziennikach Jerzego Kornackiego pt. „Kamieniołomy”. Jego żona, Helena Boguszewska, zasiadała bowiem wówczas w tym sądowym gremium. Wspominała, że adwersarze obrzucali się inwektywami, a emocje brały górę nad racjami.

Sąd koleżeński ZLP okazał się kompletnie niekoleżeński w sprawie zdecydowanie bardziej znanego pisarza Władysława Jana Grabskiego,

swoją drogą występując jakoby w obronie innego pisarza – Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Związkowy sąd zarzucił Grabskiemu „ciężkie naruszenie dobrych obyczajów koleżeńskich”. Po śmierci Gałczyńskiego napisał on poemat nazwany „balladą katolicką”, w którym skonfrontował pochówek sławnego autora – świecki, bez modlitwy – ze złożeniem do grobu zmarłej w tym samym czasie zwykłej kobiety, niejakej Konstancji z Nawrockich Kłosińskiej. Wiedział, że na druk utworu nie ma szans, pokazywał go tylko i czytał kolegom, a w końcu niebacznie udostępnił wdowie po twórcy „Kolczyków Izoldy”. Sprawą zainteresował się Stanisław Ryszard Dobrowolski, który zamierzał się z Natalią Gałczyńską ożenić, i to on rozpętał piekło. W 1954 r. skreślono Grabskiego z listy członków ZLP, przywracając mu prawa członkowskie dopiero na fali przemian roku 1956. Potem nawet wszedł do zarządu oddziału warszawskiego Związku.

Niezależnie od wybieranych władz w ZLP jakoś zawsze nie brakowało osób, które miały do powiedzenia więcej niż inni, mogły bardzo wiele, a – bywało – bano się ich niezmiennie. Choćby takiego Grzegorza Lasotę, dziś pamiętanego jako twórcę filmów dokumentalnych, szefa cenionego telewizyjnego „Pegaza”, co przyćmiło jego wcześniejszą działalność.

Tę doskonale zapamiętał Jarosław Abramow-Newerly, od którego pozyskałem wiele informacji o ludziach i sprawach z dawnych lat. W tym wypadku – z okresu stalinowskiego, kiedy to Lasotę, panoszącego się na zebraniach sekcji związkowych i or-

ganizacji partyjnej, w redakcji „Nowej Kultury”, a i w stołówce literackiej, taki np. Julian Przyboś nazywał „terroretikiem”. Bo i rzeczywiście jednoosobowo decydował, co jest słuszne, a co nie, jego sądy miały moc wyroków, starych, zasłużonych pisarzy ustawiał do pionu, a ci kłaniali mu się uniżenie i tylko po cichu jego zebrane w tom teksty zatytułowane „Kierunek natarcia” nazywali „kierunkiem podarcia”.

Iwaszkiewiczowski Związek, pomimo takich czy innych zastrzeżeń, w powszechnej opinii uchodził za – na ile to było możliwe – względnie niezależne zrzeszenie, niekiedy zdobywające się nawet na gesty nieposłuszeństwa. Gorzej bywało wcześniej, gdy usuwano z ZLP pisarzy nie za to, co pisali, ale za to, co myśleli i, nie daj Boże, mówili.

Mógł się o tym przekonać Tadeusz Hołuj, kiedy relegowano go zarówno ze związku, jak i z partii, rzekomo za wydaną w czasie okupacji broszurę „Rozmowy bawarskie”, w której namawiał do wyjazdu na roboty do Trzeciej Rzeszy. Prokuratura umorzyła śledztwo; pisarz chciał uchronić przed represjami swojego krewnego, który zresztą i tak, gdy te „Rozmowy...” się ukazały, był już w Auschwitz. Wiedza o tym nie była niczym nowym i jakoś nikomu wcześniej nie przeszkadzała ani w organizacji partyjnej, gdy Hołuj wstępował do PPR, ani wśród literatów. Fakt stał się naganny z chwilą, w której przypisano mu tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i krytykę Kominformu, z którą się nie krył.

Związek Literatów Polskich stawał się dla władzy komunistycznej szczególnie ważny w momentach kryzysowych, jak po Liście 34 czy w marcu 1968 r. Swoją drogą jednym z ciekawszych fragmentów pańskiej pracy jest ustęp poświęcony Eugeniuszowi Żytomirskiemu, emigrantowi marcowemu, z zupełnie innych jednak powodów niż można by sądzić.

Ten tłumacz z rosyjskiego, autor sztuk scenicznych i piosenek nie był pochodzenia żydowskiego. Nie był też prześladowany z powodów politycznych dopóty, dopóki nie doniosła na niego żona, powodowana zemstą osobistą, wdał się bowiem w romans z inną kobietą. Tymczasem małżonka ujawniała wiadomym służbom, że współpracował z londyńskimi „Wiadomościami”, gdzie



Wizyta Czesława Miłosza w Polsce w siedzibie Związku Literatów Polskich w czerwcu 1981 r. FOT. TOMASZ ABRAMOWICZ/PAP



TOMASZ POTKAJ
„AKWARIUM. OPOWIEŚĆ
O ZWIĄZKU LITERATÓW
POLSKICH W PRL-U”
WYD. CZARNE 2022

publikował pod pseudonimem, utrzymywał też kontakt z Jerzym Giedroyciem. Sprawę pomógł zatuszować nowy teść Żytomirskiego, znany łódzki działacz partyjny. Opowiadał mi o tym obdarzony fenomenalną pamięcią Józef Hen...

99-letni...

Kiedy rozmawiałem z nim na potrzeby książki, miał 97 lat, a sprawę, o której mówimy, znał bardzo dobrze. Żytomirski w gruncie rzeczy wykorzystał sytuację 1968 r. i z nową żoną wyjechał z Polski na zawsze. Do Izraela, dokąd deklarował wyjazd, nie dojechał, na pewien czas zatrzymał się w Wiedniu, nawiązał współpracę z Radiem Wolna Europa, by w końcu zakotwiczyć w Kanadzie, gdzie zmarł w połowie lat 70.

Z pańskiej książki dowiadujemy się, że ćwierć wieku wcześniej tłumaczył się ze swojej okupacyjnej pracy w niemieckim kasynie.

Wyjaśniał, że zatrudnił się tam – w charakterze krupiera – z polecenia Podziemia.

Roman Bratny w „Kolumbach” ukazuje, w bardzo negatywnym świetle, takiego właśnie współpracownika hitlerowskiego, po wojnie nadgorliwego stalinowca. Nazwiskiem Żaboklicki.

Tak, to ta sama postać. Józef Hen mówił mi, że w środowisku o tym wiadano.

Do czego byli władzy potrzebni agenci w środowisku literackim, te wszystkie podsłuchy, przecież mieli Związek pod kontrolą?

W historii ZLP wyczuwa się pewien dualizm. Z jednej strony, podobnie jak i inne stowarzyszenia istniejące w PRL, był przez partię kontrolowany. Z drugiej strony jednak, władza liczyła się ze środowiskiem pisarskim, któremu przypisywała Bóg raczy wiedzieć jakie znaczenie, uważając, że ma wyraźny wpływ na opinię publiczną, na poglądy i zachowania ludzi. I że podporządkowując sobie literatów czy odpowiednio kształtując ich myślenie, uniknąć będzie można niepożądanych działań społecznych. A to była mrzonka.

Związek w swoim apogeum liczył ponad 2,5 tys. członków, sam oddział warszawski grupował 800 osób. Gdy pisarze jechali na swe zjazdy, to stolica wysyłała 70 delegatów, bo obowiąz-

wała zasada, że jeden delegat przypadał na 10 członków ZLP. Jak ich wszystkich można było skontrolować? Poprzez organizacje partyjne to się nie udawało, gdyż skupiały one nie więcej niż 30 proc. pisarzy. Ręczne sterowanie związkiem nie przynosiło skutków, o czym przekonali się i Jerzy Putrament, i Zbigniew Żałuski. Zawierano więc różne koalicje z wewnątrzwiązkową opozycją, tak traktowano choćby grupę skupioną wokół Antoniego Słonimskiego. Szczególnie było to widoczne przy wyborach do władz związkowych, gdy zgadzano się na, powiedzmy, niewygodnych kandydatów za cenę akceptacji osób wskazanych przez organizację partyjną. Swoje znaczenie miało też środowiskowe zaufanie do ludzi uważanych za przyzwoitych czy też przydatnych w konkretnych działaniach, np. rozmaitych komisji związkowych, często o charakterze socjalnym.

Biurokracja też ma swoje wymagania, choć mieszane uczucia budzi przywoływana przez pana opinią Jarosława Iwaszkiewicza, niesłuchanie zadowolonego z Jana Marii Gisgesa, wieloletniego sekretarza zarządu głównego, sprawującego na co dzień rządy w Domu Literatury – zasłużonego współpracownika Służby Bezpieczeństwa.

Odciażał go w wielu obowiązkach; Gisges w Domu Literatury był codziennie, Iwaszkiewicz miał wiele innych zadań, poselskich, redakcyjnych, twórczych. Od literackich problemów był Gisges, a mógł bardzo wiele; pisarze wiedzieli, że jego akceptacja załatwiała sprawę, odmowa zaś ją zamykała, oznaczała, że nic z tego nie będzie. To on decydował w zasadniczych dla ludzi pióra kwestiach bytowych, pisarsko zaś wyżywał się w regularnie sporządzanych informacjach na potrzeby SB, co wiemy m.in. z książki Joanny Siedleckiej.

Mówimy i piszemy o Iwaszkiewiczowskim Związku Literatów Polskich, podkreślając to, jak długo był on jego prezesem, nie zauważając, że w końcu ZLP funkcjonuje nadal, a kieruje nim – od 2003 r. – Marek Wawrzekiewicz. Wprawdzie prze-

ciętny Polak nigdy o nim nie słyszał, ale prezesowski staż w ZLP ma niemal tak samo długi jak jego sławny poprzednik.

Pięć razy był już wybierany na prezesa, toteż zapewne cieszy się zaufaniem podwładnych.

W „Akwarium” cytuje pan ciekawy artykuł Leopolda Tyrmanda z paryskiej „Kultury” z 1967 r. W tych „Porachunkach osobistych” pisał m.in.: „Krwiożerczy opozycjonista Kott mieszka w tym samym domu co premier Cyrankiewicz, podpisuje protesty 34, unicestwia Gomułkę i politykę kulturalną, dostaje paszport zagraniczny i drukuje, co chce. A jeśli raz odmówi mu się paszportu i druku, do walki rusza rodzinno-towarzysko-partyjna rakietą [...]. Kawiarnie warszawskie huczą cierpieniami Kotta, wołając o pomstę do nieba, i w dwa tygodnie opinia publiczna wywojuje to, co skonfiskowane, zatrzymane etc.”. To wszystko prawda, ale poza literatami najwyżej stojącymi w hierarchii środowiskowej była cała masa ludzi pióra klepiących PRL-owską biedę i dobrze się stało, że i ich sprawy uwzględnił pan w swojej książce, choć pewnie przydałby się jej drugi tom, obejmujący to, co się działo w oddziałach związkowych.

Z konieczności skupiłem się na zarządzie głównym związku, na oddziale warszawskim, w mniejszym stopniu krakowskim czy łódzkim, a rzeczywistość sprawy tzw. prowincji literackiej są nie mniej interesujące, lecz inna była ich skala i miały bohaterów o mniej głośnych nazwiskach.

Niemniej to właśnie szef oddziału rzeszowskiego w 2009 r. uznał, że nie chce należeć do związku, którym kierują byli agenci, i zażądał ich ustąpienia, a gdy to nie nastąpiło, zrezygnował z funkcji. Podobnie postąpił prezes katowicki i cały oddział ZLP w Ciechanowie.

I te sprawy, i cała historia oddziałów Związku czeka na swoich autorów. To przebogaty materiał. I bynajmniej nie oczywisty.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Potkaj – dziennikarz i pisarz, z wykształcenia historyk. Autor książek: „Kres. Wołyni. Historie dzieci ocalonych z pogromu” (z Konradem Piską), „Krzysztof Klenczon. Historia jednej znajomości” (z Alicją Klenczon), „Przekrój« Eilego” i najnowszej „Akwarium. Opowieść o Związku Literatów Polskich w PRL-u”.

Serce głupka



FOT. MATERIAL PRASOWE



Piotr Gociek

Nagrodzone Złotym Globem „Duchy Inisherin” trafiają do polskich kin. W tej czarnej tragikomedii od humoru i politycznej metafory ważniejsze okazuje się ewangeliczne napomnienie

Zastanówcie się na początek nad szerokim gronem własnych znajomych i pomyślcie, czy nie ma wśród nich takiej postaci. Kogoś, kto może nie jest największym przyjacielem od serca, ale po prostu kumplem, z którym w miarę upływu lat przestaliście rozmawiać. Nie z powodu przeprowadzki, rodzinnej tragedii, politycznych sporów czy epifanii wyrastających z teorii spiskowych. Ale po prostu: bo tak jakoś wyszło, bo w pewnym momencie odkryliście, że znacie ich jak wnętrze własnej rękawiczki, doskonale wiecie, co będzie ich radować przy pierwszym

piwie, a na co narzekać będą po trzecim. Zawsze. Po prostu zawsze. W efekcie za którymś razem nasza dłoń wyciągnięta, by zadzwonić i umówić się na kolejne rytualne wspominki przy kielichu, zawisa w powietrzu. Znowu to samo? Może już dosyć? Jest w życiu parę innych, ciekawszych rzeczy do zrobienia.

O RACJĘ MOJSZĄ NIŻ TWOJSZĄ

Martin McDonagh nie pokazuje nam w filmie „Duchy Inisherin” („The Banshees of Inisherin”), jak wcześniej wyglądała przyjaźń Pádraica i Colma. Czy w ogóle była to przyjaźń czy może ze strony starszego i mądrzejszego wyraz uprzejmości, a z młodszego – rozpaczliwe poszukiwanie figury ojca? Zaczyna od punktu zwrotnego: starzejący się muzykant Colm oznajmia pewnego dnia zdumionemu Pádraicowi, że ma już go dość i że nie chce. Ten zaś zrozumieć nie może. Obraził czymś starego druha? Nagadał mu po pijaku? A może to żart? Tak, z pewnością żart, myślimy i my, w chwili, gdy Pádraic odkrywa, że właśnie minął 1 kwietnia. Prima aprilis, April Fools’ Day. Jednak kartki w kalendarzu się zmieniają, ale nastrój Colma pozostaje ten sam: nieprzy-

siadalny. Przynajmniej dla Pádraica, bo dla innych wiejski skrzypek znajduje czas i uśmiech. „Może cię już nie lubi?” – żartuje Siobhán, siostra Pádraica. To dopiero wprawia nieszczęśnika w prawdziwy niepokój: ale jak, dlaczego, od kiedy?

Zmęczonym przyjaźnią Colmem jest Brendan Gleeson, zaskoczzonego jego niełaską niezbyt lotnego Pádraica gra Colin Farrell. Tym samym powraca irlandzki reżyser i scenarzysta do duetu, który widzieliśmy na ekranie w jego debiucie filmowym („In Bruges”, 2008, w Polsce zabity koszmarnym tytułem „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj”, który raczej odstraszał, niż przyciągał). Siobhán gra z kolei Kerry Condon, którą pamiętaacie z głośnych seriali – była Oktawią w „Rzymie” oraz córką Mike’a Ehrmantrauta w „Zadzwon do Saula”). Nie znajduję ani jednej fałszywej nuty w grze tego tercetu. Tercet zamienia się w kwartet, gdy na scenie pojawia się jeszcze uważany za miejscowego głupka Dominic (Barry Keoghan), który „nie zwraca uwagi na wojnę, bo jest przeciw: wojnom i mydłu”.

Cóż to za wojna? Mamy rok 1923, na nieodległym lądzie słysząc wystrzały



REŻ. MARTIN MCDONAGH
„DUCH INISHERIN”
 IRLANDIA, USA,
 WIELKA BRYTANIA 2022

armatnie i karabinowe, wolni Irlandczycy polują na żołnierzy Irlandzkiej Armii Republikańskiej, ciężko się w tym wszystkim połapać, bo „łatwiej było, kiedy razem tłukliśmy Anglików” – mówi policjant z Inisherin (ojciec Dominika), któremu jednocześnie obojętne jest, kto wygrywa i kto kogo rozstrzeliwuje, bo „za sześc szylingów i darmowy obiad wziąłbym udział i w twojej egzekucji” – wyznaje pewnego wieczoru Colmowi w knajpie. Po prostu bardzo lubi egzekucje. Owo tło historyczne od razu przesuwając film McDonagha w kierunku politycznej metafory, zwłaszcza że złowieszcze odgłosy wojny służą czasem do podbicia dramatyczności wypadków na wyspie Inisherin. Tym tropem idzie też część recenzentów: absurdalny spór Pádraica i Colma miałyby być w mikroświecie odbiciem absurdalnej wojny domowej w świecie makro. Polski recenzent dopowiedziałby, za Markiem Koterskim, idolem podupadłych inteligentów III RP, że to tylko głupi, krwawy spór o rację mojszą niż twojszą.

ŻYCIOWA KOTWICA

Przestrzegalbym przed pokładaniem nadmiernej wiary w taką interpretację. Po pierwsze, wojny domowe też wybuchają z jakiegoś powodu i są o coś – współczując ofiarom po obu stronach i oplakując rozdarte serce Irlandii, musimy zauważyć, że był to przede wszystkim spór między tymi, którzy zgodzili się na częściowy sukces wojny o niepodległość, a tymi, którzy chcieli walkę kontynuować dopóty, dopóki cały kraj nie stanie się wolny i zjednoczony. Niezależnie od zwyrodnień, jakich kształt ta walka przybrała – zwłaszcza w drugiej połowie XX w. – nie jest to rzecz błaha. Po drugie, czy spór Pádraica i Colma jest tak absurdalny?

McDonagh trzyma nas w niepewności tylko do pewnego momentu, Colm wyjaśnia wreszcie, że towarzystwo Pádraica znudziło go ostatecznie, gdyż jest osobnikiem nudnym, który dwie godziny potrafi rozprawić o tym, co znalazł w odchodach swojego ukochanego miniaturowego osiołka. Colm tymczasem, świadom upływu lat, postanowił spożytkować czas, który mu pozostał, w nieco mądrzejszy sposób: grając i komponując (m.in. melodię, której dał tytuł, od którego zatytułowano i film: „Duchy

Inisherin”). Stary muzykant walczy więc o prawo decydowania samemu o własnej przyszłości i własnej osobności, walczy o miejsce w ludzkiej pamięci i po swojej śmierci. A że komuś wyda się niemiły? Cóż, nikt nie pamięta żadnego z rówieśników Mozarta z tego powodu, że był miły. Za to melodie Mozarta pamiętają wszyscy.

Pádraic walczy nie tylko o ocalenie przyjaźni. Walczy o uratowanie życiowej kotwicy, jaką jest jego relacja z Colmem. Wraz z siostrą są sierotami, Siobhán zresztą ma już dosyć życia w dziurze zabitej dechami i wkrótce to życie porzuci. Pádraic zostanie sam ze swoim osiołkiem, z bydłem, które wypasa, z poczuciem krzywdy i nowym wizerunkiem, który wcale mu się nie podoba – mała społeczność szybko dochodzi do wniosku, że skoro człowiek tak zacny jak Colm ze znajomości z Pádraicem zrezygnował, to musi być z tym ostatnim coś nie w porządku. Może faktycznie jest nudny i głupi? Spragniony ludzkiego towarzystwa Pádraic sam pogłębia to wrażenie, bo pozwala, by autentyczny wioskowski głupek (wspomniany już Dominic) nie tylko stał się jego nowym druhem, lecz także podpowiadał mu pomysły na wyjście z sytuacji; pomysły idiotyczne, których wprowadzenie w życie prowadzić będzie do skutków katastrofalnych.

McDonagh, nim zabrał się za kręcenie filmów, stał się jedną z najważniejszych figur współczesnej dramaturgii irlandzkiej, zresztą jego sztuki wystawiane były i w Polsce. Jest wyborem znawcą charakterów i świetnie konstruuje swoje postacie, co w „Duchach Inisherin” doskonale widać w tym, jak często zmieniamy swoje sympatie wobec wcale nie tak jednoznacznych bohaterów. Każdy ma swoje racje i w różnych chwilach opowieści rozmaitym racjom kibicujemy. Jednocześnie pięknie na naszych oczach los postaci się odmienia – irytujący wioskowy głupek staje się postacią najbardziej tragiczną, dobroduszny Pádraic najbardziej mściwą i okrutną, a melancholijny Colm nabiera cech pyszałka i samoluba.

Wszystko to opowiedziane jest w cudownej scenerii zielonej, smaganej morskimi wiatrami irlandzkiej wyspy,

którą autor zdjęć, Ben Davis, pokazuje kadrami podpatrzonymi u Johna Forda. Opowieść jest irlandzka tak bardzo, że już bardziej nie można, są więc pub, piwo, kamienne celtyckie krzyże; są kościół i tłuściutki ksiądz wtrącający się w każdą sferę życia swoich parafian. Jest wojna domowa w tle (Irlandia wciąż jest podzielona, wojna wciąż trwa, wspomnijmy zamachy w Belfaście), jest policjant zbyt ochoczo używający pięści (a czasem i czajnika). Czy zatem historia nakręcającej się spirali wrogości między dawnymi przyjaciółmi miałyby być jednak przede wszystkim politycznym oskarżeniem, czymś w rodzaju „irlandzkość to nienormalność”?

Na szczęście nie. McDonagh daje nam lekcję dużo mądrzejszą. Kluczem do odczytania „Duchów Inisherin” jest moim zdaniem scena pod koniec filmu, kiedy to Colm spowiada się z nieumyślnego przyczynienia się do śmierci zwierzęcia. „Myślisz, że Boga obchodzą osiołki?” – pyta zirytowany tym wyznaniem ksiądz w konfesjonale. „Obawiam się, że nie – odpowiada strapiiony Colm – boję się, że nie”. I dodaje: „I boję się, że przez to wszystko się popsuło”.

Nie jest to manifest bojowników o prawa zwierząt, ale ważna metafora, chwila, w której Colm mówi nam, że najpocziwsze, najgłupsze, najmniej ciekawe stworzenie boże musi zaskłgiwać na jego uwagę i troskę, inaczej wszystko nie ma sensu. Każdy jest ich godzien: również wioskowski głupcy, nudni przyjaciele, nieciekawi sąsiedzi. Stwórca, który zapomina o swoich dzieciach, lekceważy najbardziej lichy z nich, nie jest godzien szacunku. Sam Colm, figura patriarchy w wyspy Inisherin, zgrzeszył pychą i zaniechaniem nie dlatego, że marzył o nieśmiertelności i wybrał sztukę zamiast przyjaźni, ale dlatego, że zapomniał o tym, że każdy godzien jest miłosierdzia i współczucia, każdy ma swoją godność. Mieszkańcom Inisherin niby przypomina o tym widywana każdego dnia na rozdrożu wielka figura Matki Boskiej, ale Colm jakoś o tym zapomniał. „Będziesz miłował bliźniego jak siebie samego”. Inaczej wszystko się zepsuje.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Serce mroku



★★★★★
REŻ. SCOTT COOPER
„BIELMO”
(„THE PALE BLUE EYE”)
USA 2022

wyst. Christian Bale, Harry Melling, Lucy Boynton

Powieść Louisa Bayarda jest świetna (właśnie ukazuje się po polsku nakładem Zysk i S-ka), jej ekranizacja – poprawna, choć godna uwagi ze względu na dobrą aktorską robotę. Oto mistrz dedukcji Augustus Landor (Christian Bale) najęty zostaje przez władze militarnej akademii, by wyjaśnić sprawę szokującego zabójstwa (ofierze wycięto serce). Jednym z kadetów – i nieoczekiwanym partnerem w śledztwie – jest młody Edgar Allan Poe (Harry Melling, którego w młodszej wersji pamiętamy jako Dudleya Dursleya z serii filmów „Harry Potter”). Zimowe pejzaże potęgują atmosferę chłodu, niepokoju i depresji, oto prawdziwy „northern gothic”, szczególnie w chwili, gdy intryga wzbogacona zostaje o wątki trącające sprawami nadnaturalnymi.

Film w miarę wiernie oddaje fabułę książki, jednak dużo mniej miejsca poświęca relacji między starym detektywem a młodym poetą – zarówno w powieści, jak i na ekranie są to zdecydowanie najlepsze fragmenty opowieści. Melling jako Poe jest znakomity – trochę bufonowaty, niesłychanie bystry, zdecydowanie nadwrażliwy i robiący wrażenie żyjącego jednocześnie w dwóch światach: materialnym i niematerialnym. Bale jest intrygujący, szkoda, że jego bohaterowi nie poświęcono więcej miejsca (może lepszy byłby miniserial?), zwłaszcza że traumy Landora są kluczem do zrozumienia wszystkich wydarzeń. Zaskakuje Gillian Anderson jako matrona rodziny Marquis, żona lekarza wojskowej akademii (którego gra solidny jak zawsze Toby Jones).

Bale i Scott Cooper spotykają się nie pierwszy raz, pracowali razem przy filmach „Zrodzony w ogniu” i antywesternie „Hostiles”. Cooper to reżyser dobry, ale nie wybitny, jego debiutanckie „Szalone serce” zdobyło dwa Oscary, ale „Pakt z diabłem” – w roli głównej Johnny Depp – rozczarowywał. W „Bielmie” pokazuje talent, opowiada zręcznie, pewną ręką prowadzi aktorów, strona wizualna jest bez zarzutu. To, że film okazuje się mniej satysfakcjonujący od książki, kładę na karb przeciwnego scenariusza, w którym zrezygnowano zarówno z nadmiernej makabry, jak i psychologicznych akcentów, dzięki którym czytelnicy traktowali mocno nieprawdopodobną intrygę jako historię godną zawieszenia niewiarly. ©©



NOWE SERIALE: „NAIWNIAK”

Julio Lopez wciąż żyje z mamą i babcią w swoim rodzinnym domu. Żaden z niego latynoski macho, eksdziewczyna wykorzystuje go bez skrępowań (acz z wdziękiem). Realizuje się jednak jako działacz w placówce przyuczającej do normalnego życia byłych gangsterów. Kłopot w tym, że jednym z nich

jest jego kuzyn, mający go za mięczaka. Wątki społeczne i rodzinne zręcznie się ze sobą łączą, zamówiono już drugi sezon tego sympatycznego serialu komediowego. ©©

Piotr Gociek

• sezon 1 „Naiwniak” („This Fool”),
 USA 2022



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 1 „The Last of Us”



• sezon 1 „Różowe lata 90.”
 („That 90's Show”), USA 2023



• sezon 3 „Truth Be Told”, USA



Brzmienie dolara

VOD
MDAG.PL

Historia i teraźniejszość amerykańskiej muzyki filmowej w skondensowanej formie. Z ekranu pada tyle nazwisk, że nawet Mozart miałby problem z ich zapamiętaniem. Film tak naprawdę nigdy nie był niemy. Chcąc zagłuszyć szum projektora, kiniarze zatrudniali taperów i sprawdzali organy, na których grano partytury improwizowane lub stworzone dla konkretnego tytułu. Na premierę „King Konga” ściągnięto całą orkiestrę. Bez niej opowieść o wielkiej małpie, terroryzującej Nowy Jork, mogła się wydać publiczności śmieszna i głupia. Moda zmieniała się mniej więcej co dekadę: po erze big-bandów i jazzu przyszło zachęcenie elektroniki, a potem renesans symfonicznego

brzmienia. Obecnie żyjemy w epoce Hansa Zimmera. Dokument oddaje hołd klasykom, ale najbardziej dopieszcza kompozytorów, którym udało się wypracować własny styl. Dowiadujemy się, że hojnie opłacani autorzy ścieżek dźwiękowych to pasjonaci, którzy działając pod presją czasu i wymagań nie zawsze okrzyszanych reżyserów i producentów, prowadzą nas za rękę do muzycznego raju. Tylko dzięki nim istnieją jeszcze orkiestry (!)



★★★★★
REŻ. MATT SCHRADER
„SCORE”
USA 2016

No cóż, „Score” jest apoteozą, więc nikt nie zająknie się, że twórcy soundtracków są przede wszystkim trybikami w maszynie amerykańskiego show-biznesu i na zlecenie hollywoodzkich księgowych manipulują emocjami widzowi. ©©

Wiesław Chełmniak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „SZYBOWCOWA '87”

Biurowy Nowych Technologii IPN funkcjonuje od września 2021 r., powstało z myślą o tym, by dotrzeć z przekazem historycznym do młodego pokolenia. Czyni to także za sprawą gier, co jest moim zdaniem jedną z najlepszych dróg. Ale nie jest

wcale drogą łatwą. Pierwsza produkcja IPN („Gra szyfrów”) była nie najgorsza, ale czuć było, że jest to produkcja niskobudżetowa. „Szybownica '87” to produkcja VR pozwalająca rozejrzeć się po mieszkaniu z lat 80., w którym ulokowano tajną drukarnię Solidarno-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ści Walczącej. Raczej wirtualny spacer niż gra, ale to chyba nawet lepiej. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** VR
- **Platforma:** PC (Steam)
- **Producent, wydawca:** Pictureworks, IPN

PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

HBO
max



★★★★★
REŻ. ROB REINER
„NARZECZONA DLA KSIĘCIA”
(„THE PRINCESS BRIDE”)
USA 1987

wyst. Cary Elwes, Robin Wright, Mandy Patinkin

Dobra zabawa dla widza od lat siedmiu do stu. „Naręczona dla księcia” wzorem Monty Pythona dekonstruuje mit średniowiecza, nie naruszając jego fundamentów i nie staczając się do poziomu płaskiej szydery. Akcja rozgrywa się w świecie pełnym zagrożeń w postaci piszczących węgorzy, pionowych skał, ognistych bagien zamieszanych przez Niespotykane Duże Gryzonie tudzież skończonych drani, takich jak sześciopalczasty zabójca czy Straszny Pirat Roberts. Myśl techniczna, zamiast sprzyjać idei postępu, służy do konstruowania wymyślnych narzędzi tortur. Najgorsze zaś, że nie można polegać na rządzących. Na szczęście prawdziwa miłość zdoła pokonać wszystkie te przeszkody. William Goldman nie był w tak dobrej formie od czasu, gdy popchnął scenariusz westernu „Butch Cassidy i Sundance Kid”. Fraza o maskach, które kiedyś będą się cieszyć wielkim wzięciem, okazała się wręcz prorocza. ©©

IKAR W MELONIKU

► NINATEKA



★★★★★
REŻ. JAN LENICA
„LABIRYNT”
POLSKA 1962

Walerian Borowczyk i Jan Lenica, dwaj graficy z Wielkopolski, chcieli robić „kino niekonwencjonalne” i zostali pionierami animacji dla dorosłych. Partia nie od razu dostrzegła zagrożenie, jakimi są krótkie, surrealistyczne filmy, pozbawione fabularnego kręgosłupa, lecz gdy Gomułka poczuł się pewniej w fotelu pierwszego sekretarza, towarzysze przystąpili do porządkowania artystycznego ogródka. Pierwszy wyemigrował Borowczyk. Lenica, zanim poszedł w jego ślady, zdążył jeszcze nakręcić „Nowego Janka Muzykanta” i „Labirynt”. Bohater noweli Sienkiewicza skrzypce zamienia na fortepian i dobrze na tym wychodzi, lecz w secesyjnej metropolii czas biegnie wstecz, a uskrzydłonej jednostce w każdej chwili grozi utrata wolności. Na eklektycznym w formie i metaforycznym w treści „Labiryncie” lepiej zakończyć urodzinowy przegląd animacji Lenicy, gdyż „Wyspa R.O.” z 2001 r. jest o dwie klasy gorsza. ©©

Wiesław Chełmniak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Wiara i wina

Jeśli dziś się pisze o Stanisławie Brzozowskim, to najczęściej jako o tym, który był albo i nie był agentem carskiej ochrony. Starsi wiekiem mają go za marksistę, najstarsi może nawet czytali „Płomień”, „pierwszą polską powieść intelektualną”, czyli zbójecką księgę potencjalnych rewolucjonistów, wszyscy coś tam słyszeli o „Legendzie Młodej Polski” i o niechęci jej autora do Sienkiewicza, a niektórzy zaznajomili się z „Człowiekiem wśród skorpionów” Miłosza i może nawet zapamiętali, że noblista utrzymywał, jakoby Brzozowski „górował nad wszystkimi sławami swego czasu”. Co przyjmują za wiarę, ale – odwołując się do filmu Barei – tylko ci wierzący.

Owszem, wydawany był Brzozowski w wyborach, pisywali o nim m.in. Henryk Markiewicz i Andrzej Mencwel, utrwalając jednak wyłącznie lewy profil tego filozofa i krytyka. Edycji „Dzieł wszystkich” twórcy „Polski dziecięciniały” rozpoczętej w 1936 r. nigdy nie dokończono i nie zanoszą się, by uczyniono to kiedykolwiek, po części dlatego, że napisał on nieskończenie wiele.

A zwolennikiem socjalizmu, który miał rzekomo podle zdradzić, uczyniono go zdecydowanie na wyrost. Z wiekiem pogłębiała się w nim – pisze prof. Maciej Urbanowski we wstępie do wydanego właśnie, najnowszego wyboru pism Brzozowskiego, zatytułowanego „Wiara” – „niechęć do tych, którzy chcą [...] »wieczną immanentną tkaninę życia« zniszczyć i rozerwać. A więc do wszelkiej maści rewolucjonistów romantyków, katastrofistów i subiektywistów w jednym, którzy utracili wiarę w wartość konkretnego, codziennego życia i chcą od niego uciekać, a nawet je burzyć: »Cała romantyka i mistyka rewolucyjna trzymają się w nas



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

na poczuciu, że są w nas rzeczy wymagające zniszczenia, a my ich z własnego istnienia w y p r u ć już nie umiemy». Szczególne słowa w ustach kogoś, kto był i wciąż bywa patronem rewolucjonistów!”.

Tu warto pamiętać, że nawet w czasie, gdy fascynacja Brzozowskiego marksizmem czy – szerzej rzecz rozpatrując – materializmem sięgała zenitu, nie obejmowała ona krytyki Kościoła, stąd mówienie o jego konwersji jest nieporozumieniem. W listach do przyjaciół, pomieszczonych w „Wierze”, akcentował, „że specjalnie w Polsce idzie o to, by jedność narodową zlać z wiarą, by wiarę uczynić wszechobecną i czynną, by odzyskać nasze dziejowe stanowisko przez nawrót do wielkiej tradycji historycznej, która polega na utożsamieniu sprawy katolicyzmu i kultury zachodniej na Wschodzie z naszym narodowym istnieniem”. Wyznaje też: „Nigdy nie zrywałem związku z Kościołem jako żywym zrzeszeniem duchów”.

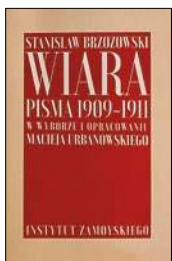
W „Pamiętniku” stwierdzał znów dobitnie, że „zwrot od katolicyzmu do jakiegokolwiek ze znanych mi form myśli i czucia jest upadkiem: zarówno buddyzm, jak spinozizm, heglizm czy comtyzm. Lista perpetua [nieskończona]. To

jest bezwzględne, ale oprócz katolicyzmu kultury jest katolicyzm: droga do świata nadprzyrodzonego. I ta jest dla mnie zamknięta”.

A jednak zdecydował się na jej otwarcie. „Przeczuwając zbliżającą się śmierć – cytuję przedmowę »Wiary« – Brzozowski poprosił o księdza, spowiadał się głośno w pełni władz umysłowych i prosił o wiatyk. [...] Modląc się żarliwie, jak gdyby nie czuł swych boleści, przygotowywał się do komunii, którą przyjął prawie jednocześnie z ostatnim namaszczeniem. [...] powtarzał: »Panie! Jestem przygotowany, jestem gotów«”. Zdaniem włoskiej szarytki Teresy Tarchi-Sarcoli był to „zgon świątobliwego”. Pochowany został na cmentarzu Trespiano we Florencji. Do trumny włożono mu fotografię żony i „Boską komedię” Dantego. Zmarł 30 kwietnia 1911 r. Dożył wieku Chrystusowego. Zaledwie.

Do swojego wyboru prof. Urbanowski włączył teksty autora „Głosów wśród nocy” z ostatniego okresu jego życia. Namętne, pełne pasji, odnoszące się tak do kwestii wiecznych, jak doczesnych i doraźnych. Także do suwerenności Polski i Polaków. „Brzozowski – powiada w posłowie Krzysztof Tyszcza-Drozdowski – diagnozuje rozszczępienie polskiej psychiki. Jedną jej połowę wchłania zachodnią kulturę w szerokim znaczeniu słowa, »wytwarzając w sobie pewien pozahistoryczny stan posiadania«. Drugą złączoną jest bezpośrednio z krajem i nie utrzymuje kontaktu z tamtą połową – żadna lekcja, żaden wgląd, który nabyliśmy w zetknięciu ze światem zewnętrznym, nie znajduje swojego przełożenia na ojczystym gruncie”.

To nieprawdopodobnie aktualna książka. Nic się przez 110 lat Stanisław Brzozowski nie zestarzał. Nic a nic. ©©



★★★★★

**STANISŁAW
BRZozowski**
**„WIARA.
PISMA
1909–1911
W WYBORZE
I OPRACOWANIU
MACIEJA URBA-
NOWSKIEGO”**
INSTYTUT
ZAMOYSKIEGO,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Być jak Tomek

Nie tylko „marzeń” i nie tylko „sprzedawca”, jeśli mogą od razu odnieść się do tytułu książki Jarosława Molendy. Alfred Szklarski dawał nam – przynajmniej mojemu pokoleniu – oprócz niezwykle przygody w formie świetnie napisanych książek także lekcję narodowej dumy. Nasi potrafili, nasi dotrą wszędzie – od dżungli Nowej Gwiney do zaginionych miast Amazonii. A że są ludźmi szlachetnymi, przyjaznymi i po prostu dobrymi, znajdą łatwo wspólny język zarówno z mieszkańcami Tybetu, jak i z Indianami Ameryki Północnej.

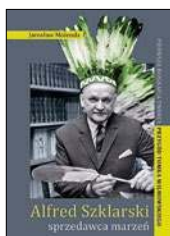
Seria o Tomku Wilnowskim jest dziś ponoć marstwa, twierdzą eksperci. Nie dlatego, że autor nie żyje od ponad 30 lat, ale dlatego, że książki to ramoty, bo przepełnione szczegółowymi opisami egzotycznych miejsc, niedostępnych mieszkańcom PRL. Nie zgadzam się, jest w nich wciąż urok, jest pasja, a najważniejsze, że nie zestarzały się, moim zdaniem, bohaterowie. Każdy chciałby mieć takiego ojca jak Andrzej Wilnowski, takiego przyjaciela jak bosman Nowicki, taki wzór do naśladowania jak Jan Smuga, taką narzeczoną jak Sally.

Biograficzna opowieść Molendy miesza dwa porządki – pracy naukowej

oraz subiektywnej gawędy. Niepotrzebnie, lepiej było się zdecydować albo – albo. Nie zmienia to faktu, że to książka ciekawa i bardzo potrzebna. Skarbnica wiedzy na temat niełatwej biografii pisarza – z jednej strony żołnierza AK i uczestnika powstania warszawskiego, z drugiej autora powieści drukowanych w polskojęzycznej prasie niemieckiego okupanta. Najbardziej zacięła mnie jednak część poświęcona losom Szklarskiego przed rokiem 1939 – całkiem ciekawy kawałek życia, od Chicago do Warszawy.

Na minus zapisuję nadmierną „tomkocentryczność”, gdy rzecz jest nie tylko o życiorysie, lecz także dziełach Szklarskiego. Nie można pomniejszać roli indiańskiej trylogii „Złoto Gór Czarnych” – to najwybitniejsze dokonanie pisarskie autora (napisane wspólnie z żoną Krystyną), a w warunkach

PRL wręcz istny cud, bo do dziś pozostaje lepsza i ciekawsza od niej jednej amerykańskiej pozycji na temat wojen indiańskich. Zaczniemy zatem nową przygodę ze Szklarskim od dostrzeżenia i lektury książki Molendy, czekając jednocześnie na tych, którzy pójdą jego śladem, ale w nieco innych kierunkach. Twórca „Sobowtóra profesora Rawy” jest tego wart. ©©



★★★★★
**JAROSŁAW
MOLENDY**
**„ALFRED
SZKLARSKI.
SPRZEDAWCA
MARZEŃ”**
IPN 2022

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Morskie dzieje świata – od ginących w pomroce dziejów pierwszych prób podejmowanych przez mieszkańców Oceanii, przez długie dzieje cywilizacji Morza Śródziemnego, do Chin i imperiów kolonialnych. Fascynująca lektura.



LINCOLN PAINE
**„MORZE
I CYWILIZACJA”**
PIW

Tom pierwszy intrygującej i zaskakującej ujęciem tematu pracy (handlowo-gospodarcze dzieje Polski) opowiadał o tym, co wydarzyło się do roku 1572, teraz Wozinski omawia okres po roku 1795, do upadku I Rzeczypospolitej.



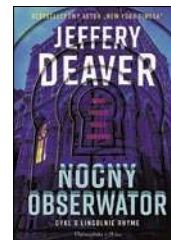
JAKUB WOZINSKI
**„OD UJŚCIA
WISŁY PO MORZE
CZARNE”, TOM III**
PROHIBITA

Klasyczna praca amerykańskiego psychoterapeuty i filozofa, autora własnego systemu terapii. Wydana po polsku po raz pierwszy w 1998 r., wznowiona w 2012, teraz znajdzie z pewnością nowych czytelników. Jest tego warta.



**STEPHEN M.
JOHNSON**
**„STYLE
CHARAKTERU”**
ZYSK I S-KA

Lincoln Rhyme i Amelia Sachs powracają w 15. tomie popularnej serii rozpoczętej „Kolekcjonerem kości”. Tym razem obiektem łowów detektywów jest geniusz włamań i neutralizowania systemów bezpieczeństwa.



JEFFERY DEAVER
**„NOCNY
OBSERWATOR”**
PRÓSZYŃSKI
I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „KOMIKS I MY” – RETRO

Spośród licznych komiksowych przedsięwzięć, w które zaangażowany jest scenarzysta Alejandro Jodorowsky, „Screaming Planet” wyróżnia się jako praca zbiorowa i trochę hold – oto twórcy z różnych krajów dają się ponieść wyobraźni słynnego awangardzisty, który każdy kolejny rozdział swojej szar-



AUTORZY RÓŻNI
**„SCREAMING
PLANET”**
SCREAM 2022

lonej galaktyczno-ekologicznej historii daje do opowiedzenia innemu twórcy. Efekt robi wrażenie, nawet jeśli przesłanie pozostaje nieco mętne. ©©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Fotograficzne igły

Prognoza pogody” Jana Bortkiewicza nie napawa optymizmem. Pod warstwą ironii, puszczając do widza oko, artysta tworzy „fotografie-igły, przekuwające balon kolejnych ideologii i politycznych poprawności – starego, siermiężnego Sierpa i Młota i nowszej, tak ślicznie opakowanej, błękitnej pigułki szczęścia”. Absurd, duchowa próżnia, szyderstwo i kpina tam, gdzie – zdawać by się

mogło – jest miejsce wyłącznie na powagę i zadumę.

Na największej jak do tej pory w Polsce wystawie fotografii Bortkiewicza pokazane są prace powstałe od lat 80. do zdjęć komentujących współczesną rzeczywistość (choćby „5000 hełmów”). „Święty biskup Mikołaj zamieniony w żałosnego pajaca – »mikołajka« z hipermarketowej imprezy. Język pokazany świętym teraz symbolom. [...] Kompaktowa gilotynka, wedle oryginalnego wzoru z rewolucji francuskiej – zabawa czy groza? Imperialne centrum Europy pomniejszone do (właściwej?) wielkości znaczka pocztowego. Takie tylko przykłady ukłuć migawki”. ©©

GDZIE? Centrum Sztuki Współczesnej
Zamek Ujazdowski
KIEDY? do 26 marca



FOT. CENTRUM SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ / ZAMEK UJAZDOWSKI



FOT. GALERIA MIEJSCE PRZY MIEJSCU

SZKIEŁKA ZE STRYCHU

Przed 26 laty na strychu w Dębicy odnaleziono skarb – zapis minionego świata z międzywojnia dokonany przez Stefanię Gurdową na 1,2 tys. szklanych negatywach. Od tamtego czasu zdjęcia urodzonej w 1888 r. w Bochni fotografiki, która fachu uczyła się m.in. w Lwowie, pokazywane są w galeriach całej Polski. Niestety, zachował się tylko ułamek prac. Po śmierci artystki w 1968 r. ogromne archiwum fotograficzne zostało wywiezione na śmietnik. ©©

GDZIE? Wrocław,
galeria Miejsce przy Miejsu
KIEDY? do 16 lutego



GRZEGORZ
BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Hasła z grochem

Ta pierwsza niemiecka punkowa osiągnęła w latach 80. nawet chwilową popularność w USA. Jako 66-latką, po 11-letniej przerwie, powróciła w światła reflektorów wraz ze swym 16. albumem.

Hagen, jeszcze jako Catharina, urodziła się w Berlinie Wschodnim w artystycznej rodzinie niemieckich Żydów. Na początku lat 70. przebywała w Polsce, gdzie przyjaźniła się m.in. z Korą i Ryszardem Terleckim. W 1976 r. wyemigrowała z matką do Niemiec Zachodnich, gdzie założyła Nina Hagen Band. Debiutancka płyta grupy osiągnęła ćwierćmilionowy nakład.

Nina zasłynęła jako złośliwa i gniewna piosenkarka, która swą karierę napędzała skandalami

i artystycznymi prowokacjami. Na „Unity” walczy mniej lub bardziej groteskowo ze społecznymi nierównościami i zagrożeniem atomowym. Za to muzycznie jest różnorodnie i momentami bardzo ciekawie. Z jednej strony Hagen sięgnęła po dawne przeboje Brooka Bentona, Merle Travisa i Sheryl Crow oraz zaśpiewała „Blowin’ in the Wind” Boba Dylana po niemiecku, a z drugiej napisała piosenki z Lizą Mitchell (Boney M.), Leną Lovich i George’em Clintonem. Do tego finałową balladę „It Doesn’t Matter Now” Nina zaśpiewała w duecie z Bobem Geldofem. Trochę jest to groch z kapustą, ale dzięki produkcji mieszkającego w Berlinie Amerykanina, Warnera Polanda, słucha się płyty z przyjemnością. ©©



★★★★★
NINA HAGEN
„UNITY”
GRÖNLAND



★★★★★
HELLUM
„ONE WAY TO DEAD
END”
HELLIU

Panowie nieprzyjaźnie spozierają, a muzyka nieźle telepie po mózgowicy. Turbowcy, Wojciech Hoffman i Marcin Białożyk, z nowymi kumplami nagrali wybrane numery z dwóch anglojęzycznych albumów grupy Turbo z lat 90. Dla wytrzymałych.



★★★★★
THIN LIZZY
„LIVE AND
DANGEROUS – SUPER
DELUXE EDITION”
UMC

Jeden z najlepszych koncertowych, rockowych albumów lat 70. Ponieważ taśmy były ulepszone w studiu, dostajemy siedem „niepoprawianych” koncertów zarejestrowanych między listopadem ’76 a marcem ’78, z których wybrano nagrania na legendarny album. ©©



Krzysztof Masłoń

Jak na mój gust, niedostępnym echem odbiło się wydarzenie z samego końca minionego roku, a mianowicie pierdyknięcie meteorytu w dom na Sadybie, w wyniku czego jego mieszkańcy, odwieczni bohaterowie „Klanu”, najdłuższego serialu w historii Telewizji Polskiej, państwo Chojniczy, zmuszeni zostali przenieść się do sąsiadów. Żałuję wprawdzie, że nie wynieśli się na Madagaskar, który – jak dowiedziałem się w Nowy Rok z National Geographic – zamieszkują m.in. tenreki zwyczajne, gatunek, który przetrwał uderzenie meteorytu właśnie. Elżbieta z całą pewnością zaprzyjaźniłaby się z nimi, zaraz też założyłaby na afrykańskiej wyspie aptekę, ściągnęła Jasia i jego mamusię do pomocy, Jerzy zająłby się deweloperką, zatrudniając sprowadzone z kraju wszystkie kochanki synalka, a na koniec Moni z Felim otworzyliby w Antananarywie filię Rosso, Czesia wychowywałaby tam miejscowe przedszkolaki, a Maciuś wymieniałby prele na kokosy. I tak w ślady Maurycego Beniowskiego, a i Mieczysława Lepeckiego podążyliby Chojniczy, Lubicze i Kazunie.

Poza tym woda się leje, wręcz przelewa. I to dosłownie. Niby nic nowego, bo czego jak czego, ale wody na szklanym ekranie nigdy nie brakowało, ostatnio jednak zdecydowanie jej przybyło, i to na Odrze, bo i gdzie indziej, a to za sprawą serialu TVP „Dom pod Dwoma Orłami” i Netflixowego przeboju „Wielka woda”, odnoszących się do powodzi z roku 1997. O dziwo, oba serie są dobre.

Jaki był sylwester, widział każdy, a jak nie widział, to

śłyszał. O tym samym, a jednak inaczej. Bo gdy jedna telewizja eksponowała pozdrowienia wyjść z hip-hopowego zespołu Black Eyed Peas dla wspaniałego narodu polskiego, tak otwierającego serca i umysły dla napadniętych przez rosyjskich imperialistów Ukraińców, druga zachłystywała się ze szczęścia, że will.i.am, Taboo i apl.de.ap (o matko!) nałożyli opaski wyrażające solidarność ansamblu z prześladowanymi społecznościami żydowskimi, afrykańskimi i LGBT. Co prawda, nie mówili, że prześladowania te mają miejsce na zakopiańskich Krupówkach, ale to się rozumie samo przez się, nieprawdaż? Prawdaż.

Przełom roku to też czas balów, z Balem Mistrzów Sportu na czele. Najwytrwalsi tańczyli do rana, czyli do tradycyjnej jajecznicy, za niektórych nagrody odebrali bliscy (za Iłę Świątek – tata, za Roberta Lewandowskiego – mama), zwyciężczyni, czyli „gówniara

z paletkom”, wyraziła nadzieję, że i w nowym sezonie dostarczy miłośnikom tenisa emocji (co po części sprawdziło się już w United Cup), a dziewczęta w głosowaniu Paweł Fajdek zwyciężył balowiczom, by się dobrze bawili, na pewno lepiej niż on. Przy okazji zasugerował, że może przestanie już wygrywać, bo im częściej wygrywa (w minionym roku mistrzem świata został po raz piąty), tym bardziej spada w plebiscytowym rankingu.

Cóż, gdyby z równym powodzeniem jak rzuca kawałem żelaza – nie wiadomo, dlaczego nazywanego młotem – wstrzeliwał on piłeczki do wykopanych przez krety dołków, byłby bardziej doceniony, o czym przekonuje siódme miejsce w plebiscycie Adriana Meronka, o którym wielu usłyszało tego dnia po raz pierwszy, a ponoć golfista to wybitny. Także pływaczka Katarzyna Wasick (miejsce ósme) wcześniej była raczej bliżej nieznana.

Ale jak demokracja, to demokracja, w sporcie również. Jeszcze doczekamy się championatu w snookerze czy darcie i wtedy plebiscytowe wyniki będą jeszcze bardziej zaskakujące, może nawet bardziej od rezultatów wyborów politycznych, bo te od pewnego czasu uznawane są tylko przez połowę głosujących. Druga połowa z góry uważa je za sfałszowane.

W polityce – i krajowej, i międzynarodowej – trwa stan wojenny. Zbroimy się w związku z tym nieprzerwanie i czekam tylko, kiedy minister Błaszczak zapewnić będzie nas mógł ze szklanego ekranu, że nie oddamy nikomu ani płaszcza, ani guzika od niego. Tyle że jakoś między prezentacją kolejnych patriotów i abramsów przypomniła mi się znana zagadka, zadana dawno temu przez pisarza Iredyńskiego w, nomen omen, „Manipulacji”: Co to za zabawka: dwie kulki i armatka? © ©



FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

Wojenni podżegacze



Łukasz Warzecha

Nie ma wątpliwości, że przeważająca część polskiej opinii publicznej, nastawiona niezmiennie bojowo, wciąż nie zdaje sobie sprawy, czym faktycznie jest wojna i co oznaczałoby wejście do niej naszego kraju

Blisko rok od wybuchu wojny na Ukrainie niewiele zmieniło się w polskiej debacie. W dalszym ciągu najgłośniejsi są w niej ci, którzy chcieliby kontynuowania jak najgłębszego polskiego zaangażowania, a nawet – wydawałoby się – wejścia Polski do tego konfliktu. Odmienne stanowisko ciągle oznacza, że ryzykujemy ściągnięcie na siebie oskarżeń o „rezonowanie rosyjskiej propagandy”. Przede wszystkim jednak nie istnieje dyskusja o innych wariantach zakończenia wojny niż niedookreślone „zwycięstwo Ukrainy”. Dziennikarze, zamiast zapraszać do rozmowy gości o różnych spojrzeniach i na chłodno konfrontować punkty widzenia, pozmieniali się w gorliwych propagandystów wojennych, forsujących brutalnie jedynie słuszną wersję. Pora to zmienić.

Gdyby chcieć podliczyć, ile już razy – zgodnie z oficjalnym i jedynie słusznym przekazem – Władimir Putin umierał lub przynajmniej stał na krawędzi śmierci, ile już razy Rosjanom kończyła się amunicja, w tym raketowa, ile razy mieli się zbuntować powoływani do wojska mieszkańcy odległych republik Federacji Rosyjskiej oraz ile razy rosyjskie wojska traciły grunt pod nogami, nie starczyłoby tego tekstu, żeby wszystkie te przypadki wymienić.

ZAKLINANIE RZECZYWISTOŚCI

„Putin nie dożyje Bożego Narodzenia” – przewidywał w marcu w Polsat News

autor słynnego „Akwarium” Wiktor Suworow. Co prawda, nie sprecyzował, o które Boże Narodzenie w którym roku mu chodzi. Putin ma raka trzustki – informowały w czerwcu ukraińska agencja UNIAN i amerykański „Newsweek”. Kilka dni temu ukraiński wywiad oznajmił, że Putin nie doczeka końca wojny. Inna sprawa, że tej prognozie nie towarzyszyła informacja, jak długo wojna miałaby jeszcze potrwać.

W połowie marca gen. Ben Hodges, były dowódca amerykańskich wojsk lądowych, orzekł, że Rosjanom amunicja i ludzie skończą się w ciągu 10 dni. Trochę straszno pomyśleć, że ktoś w takich zdolnościach analitycznych dowodził kluczową częścią armii USA. We wrześniu „Die Welt” pisał, że według amerykańskiego wywiadu Rosjanom amunicji wystarczy do końca roku. Mamy połowę stycznia, a Rosjanie właśnie opanowali część Sołedaru i poważnie zagrażają Bachmutowi. Na początku listopada bardzo często cytowany w Polsce Instytut Badań nad Wojną (Institute for the Study of War, prywatny think tank działający od 2007 r.) stwierdzał, że Rosjanom zaczyna brakować amunicji, a w związku z tym ich uderzenia, zwłaszcza raketowe, będą coraz mniej precyzyjne. W październiku w serwisie Defence24 mogliśmy przeczytać: „Wszystko to nie zmienia faktu, że zapasy pocisków balistycznych krótkiego zasięgu i manewrujących są więc już dzisiaj niewystarczające dla Rosji i świadczy o tym chociażby osłabienie ostrzałów

ukraińskich miast na tyłach w ostatnich tygodniach. Uderzenie z 10 października było raczej wyjątkiem od reguły, bowiem nie ma czegoś takiego jak wzmożenie takich ostrzałów”. Ale jak zwykle najlepszy w tej konkurencji był ukraiński wywiad, którego przedstawiciel Wadym Skybycki pod koniec sierpnia oznajmił, że według szacunków tejsze instytucji Rosjanom właśnie kończą się niektóre rodzaje amunicji. I tak dalej, i tak dalej.

Żadna z opisanych wyżej przepowiedni się jak dotąd nie spełniła, ale ciągle pojawiają się nowe. Momentami wygląda to już naprawdę groteskowo, bo niemal dosłownie powtarzane są frazy, które widzieliśmy w wiadomościach dwa, trzy, dziesięć miesięcy temu.

Jak wiadomo, pierwszą ofiarą wojny jest prawda – i w przypadku wojny na Ukrainie widać to najlepiej. Niestety, w polskiej debacie przyjęło się całkowicie wycinać propagandę rosyjską – czy słusznie pozbawiono nas dostępu do rosyjskich źródeł poprzez odcięcie tamtejszych mediów to temat na inną dyskusję – za to traktować źródła ukraińskie jako w pełni wiarygodne. A przecież jasne jest, że Ukraińcy również wypuszczają propagandowe informacje czy filmy, z kolei „prognozy” firmowane przez ukraiński wywiad mają taką samą wartość jak przewidywanie pogody za dwa lata. Wciąż jesteśmy też informowani o ogromnych rosyjskich stratach – nikt nie jest w stanie tych danych rzetelnie

zweryfikować – za to nic niemal nie wiemy o stratach strony ukraińskiej. Jak w takich warunkach polska opinia publiczna ma sobie wyrobić racjonalne podejście do wojny? Jednak takie właśnie informacje dominują w głównym przekazie medialnym, wypierając rzeczową dyskusję o przebiegu konfliktu i możliwościach jego dalszego rozwoju, w tym jego rozlania się na Polskę. Jeśli ktoś normalnie żyjący się oficjalnym przekazem sięgnie do rzetelnych źródeł – nawet tych polskich, ale niszowych, choćby do codziennych raportów wojennych Ośrodka Studiów Wschodnich – to może przeżyć szok, dowiedziawszy się nagle, że sytuacja na ukraińskim froncie wcale nie jest tak wspaniała, jak mógł sądzić.

Nie ma wątpliwości, że przeważająca część polskiej opinii publicznej, nastawiona niezmierznie bojowo, wciąż nie zdaje sobie sprawy, czym faktycznie jest wojna i co oznaczałoby wejście do niej naszego kraju. Strona ukraińska – bo to głównie ona jest źródłem pokazywanych w oficjalnym obiegu materiałów – bardzo dba o to, żeby prezentować wysterylizowane oblicze konfliktu. To zrozumiałe: Kijów musi nieustannie balansować pomiędzy epatowaniem faktycznie strasznymi skutkami wojny dla Ukrainy i jej obywateli a takim nastraszaniem Zachodu, które skłoni do kontynuowania pomocy, natomiast nie zaowocuje naciskiem społeczeństw na doprowadzenie do rychłego zakończenia działań. Nieuchronnie jakimś kosztem dla Ukrainy.

Widzimy więc filmy pokazujące dziś już sporadyczne ataki ukraińskimi dronami, na których nie widać tylko żołnierzy rosyjskich, i to tylko do momentu uderzenia. Rozerwanych, pokrwawionych zwłok oczywiście już się nam nie pokazuje. Widzimy uśmiechniętych ukraińskich żołnierzy na TikToku, widzimy też zakrwawione ofiary rosyjskich ataków. Ale nie pokazuje się nam brutalności frontu, urwanych rąk czy nóg żołnierzy, którzy dopiero co byli nauczycielami, kierowcami, informatykami. Ukraińcy są przedstawiani jako rycerze bez skazy, choć ze zwykłej statystyki wynika, że nie może to być prawda.

Można odnieść wrażenie, że wojna utkwiła w miejscu – choć Rosjanie poczynili postępy we wspomnianym regionie Bachmutu i Sołedaru; jest bardzo prawdopodobne, że miasta te zostaną stracone, a ukraińskie siły znajdą się w okrążeniu.

W każdym razie dotychczas nie zrealizował się szczęśliwie żaden ze scenariuszy dalszej eskalacji działań ze strony Moskwy, a wybory w USA nie spowodowały gwałtownego odwrótu od Ukrainy, którego wielu się obawiało w przypadku wygranej republikanów. To wydaje się sprzawiać, że po okresie pewnego stłumienia ponownie zaczęły się w Polsce odzywać głosy jeśli nie wprost, to między wierszami wzywające do włączenia się naszego kraju do wojny.

Szczególnym echem odbił się twitterowy wpis dr. Jacka Bartosiaka, gwiazdora polskiej geopolityki, związanego m.in. z Nową Konfederacją, twórcy think tanku Strategy & Future. Bartosiak pod koniec grudnia komentował wpis przywołujący słowa rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, Siergieja Ławrowa: „Warunki Rosji lepiej spełnić po dobroci, inaczej działać będzie rosyjska armia”. Szef Strategy & Future napisał: „Chyba że zostanie pobita w polu. I wtedy nie trzeba liczyć się już z polityką i sprawczością rosyjską. Tyle w temacie. I to trzeba zrobić i wystawić wojsko polskie do tego zadania. Inaczej trzeci pośrednicy będą nas co rusz namawiać, by ustąpić Rosji to tu, to tam... Proste i jasne”.

Choć wpis był nieco enigmatyczny, to mimo to został powszechnie odebrany jako wezwanie, aby w przyszłości – w teoretycznie sprzyjających okolicznościach – polskie wojsko włączyło się aktywnie do wojny, żeby „wykończyć Rosję” (to również określenie Bartosiaka, pojawiające się w różnych jego wypowiedziach). W odpowiedzi ekspertka ds. bezpieczeństwa Beata Górka-Winter słusznie zwróciła Bartosiakowi uwagę, aby powstrzymał się od takich deklaracji lub przynajmniej uściślił, co ma na myśli, bo w przeciwnym razie jego słowa zostaną wykorzystane przez rosyjską propagandę. Bartosiak odpowiedział: „Obudź się Beato. Jeśli jesteś silny nikt Ci nie narzuca woli, jeśli słaby (masz np. słabe wojsko) wtedy narzuca lub inni namawiają cię by spełnić jego wolę. Wtedy zapomnij o elektrowni atomowej, gazoporcie, Azotach, autostradach i portach, to na początek” [pisownia oryginalna – przyp. Ł.W.].

Problem w tym, że Bartosiak nie umieścił na Twitterze wpisu o tym, że Polska powinna mieć po prostu silną armię – to nie jest w najmniejszym stopniu kontrowersyjne i z tym zgadzają się praktycznie

wszyscy uczestnicy debaty publicznej. Jego wpis został sformułowany inaczej i trudno przypuszczać, żeby ta wieloznaczność nie była zamierzona. A trzeba przypomnieć, że gdybyśmy z jakiegoś powodu postanowili działać na Ukrainie za pomocą naszych sił zbrojnych, niezaatakowani wcześniej przez Rosję, nie moglibyśmy liczyć na sojusz północnoatlantycki. Jego gwarancje – nie zakładające zresztą wcale automatycznego rozpoczęcia działań w obronie napadniętego państwa NATO – dotyczą bowiem jedynie sytuacji, gdy któryś ze sprzymierzonych padnie ofiarą napaści.

POLACY NA FRONCIE?

Warto też zwrócić uwagę na projekt ustawy złożony w Sejmie 20 grudnia. Firmowany wspólnie przez posłów z PiS, Lewicy, KO, Koalicji Polskiej oraz Polski 2050 projekt wyłącza odpowiedzialność karną za zaciągnięcie się do sił zbrojnych Ukrainy bez wymaganej zgody po 20 lutego ubiegłego roku. Generalna zasada jest bowiem taka, że polski obywatel, który chciałby służyć w obcej armii, musi mieć na to zgodę ministra obrony. Uzasadnienie projektu posługuje się utartym i oklepanym zestawem argumentów, wspominając o poparciu obywateli dla walczącej Ukrainy czy o odruchu solidarności. Projekt wygląda niewinnie, jednak można się zastanawiać, jakie skutki dla polskiego bezpieczeństwa miałyby znalezienie się w ukraińskim wojsku większej grupy Polaków. Wystarczy sobie wyobrazić, jak wzięcie polskiego obywatela do niewoli wykorzystałaby rosyjska propaganda.

W uzasadnieniu projektu czytamy, że w wielu państwach Zachodu zgoda szefa MON nie jest konieczna, jeśli tylko armia, do której wstępuje obywatel danego państwa, nie toczy z tym państwem wojny, względnie nie toczy jej z krajem sojusznikiem. Tyle że przywoływane przez wnioskodawców Holandia czy Kanada są w całkiem innej sytuacji strategicznej niż Polska.

Właśnie tej szczególności naszego położenia zwolennicy utrzymania maksymalnie asertywnego kursu wydają się nie dostrzegać. Lub też wyciągają z niego błędne i niebezpieczne wnioski. Tymczasem bliskość teatru działań na Ukrainie powinna nas skłaniać do wyjątkowej ostrożności i ważenia każdego słowa oraz decyzji.

W okopach Prawdy



Marek Jurek

Znaczenie prawdy jest niezastąpione, nigdy nie wolno jej zaprzeczać, nigdy też nie wolno jej omijać. Szczególnie ważne jest, aby „Wygnanie Melchizedeka” czytali wszyscy ludzie obdarzeni autorytetem i władzą w Kościele; aby czytali tę książkę w świadomości naturalnego obowiązku „szukania prawdy” oraz „przyjęcia i zachowania” znalezionej

Choć minęło wiele lat od dnia, kiedy Czesław Miłosz uznał Pawła Lisickiego za „najwybitniejszego po drugiej wojnie światowej polskiego eseistę metafizycznego”, to swą wybitną pozycję autor „Punktu oparcia” pewnie potwierdza kolejnymi książkami. Z pewnością – bo jest to paradoks pozorny – pisarstwo uprawiane z epikurejską melancholią, uciekające w wewnętrzny ogród przed zgiełkiem świata, mogłoby zdobyć większy poklask. Wzbudzałoby mniej kontrowersji niż eseje



hadzie i samozagładzie Zachodu”, ciągle pojawiają się w ogniu argumentów takie perły religijnej literatury, jak równoległe opisy drogi Chrystusa ku Męce i śmierci Mahometa. W ten sposób – kontemplując i broniąc tego, co kontempluje – pisze zawsze.

„Wygnanie Melchizedeka”, nowa książka Pawła Lisickiego, kontynuuje wątek współczesnego doktrynalnego kryzysu Kościoła, podjęty w poprzedniej, w „Dogmacie i tiarze”. W pewnym sensie obie te prace tworzą całość. Niezależnie od warstwy polemicznej są apologią wyznawanego w prawdziwej religii potrójnego prymatu Boga. Boga, który w sposób pewny, poprzez dogmaty, pewniki wiary, pozwala Kościołowi wyjaśniać (i chronić przed błędami) przekazane ludzkości Objawienie. Boga, który ustanowił Kościół powszechny, budując go na Piotrze, swym wikariuszu, noszącym (przede wszystkim duchowo, choć niegdyś również fizycznie) potrójną koronę: rządów nad duszami, Kościołem i narodami katolickimi. I wreszcie – bo to jest przedmiot wydanej właśnie książki – Boga, ku któremu kieruje się cała liturgia, kult Kościoła. Święta liturgia, która jest obecnością Emmanuela, Boga-Człowieka, który jest z nami, Jego „Męki, Zmartwychwstania i Wniebowstąpienia”.

KRYZYS NAJGORSZY OD DZIEWIĘTNASTU WIEKÓW

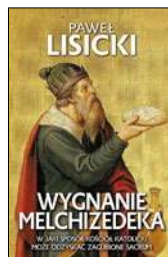
Odchodzenie od tego potrójnego prymatu Boga – w kulcie, w nauczaniu, w społeczeństwie – jest miarą współczesnego kryzysu katolicyzmu. Niektórzy wybitni ludzie Kościoła – abp Lefebvre, bp Schneider, kard. Müller – porównują często współczesny kryzys do ariańskiego. W tamtym czasie herezja negująca Bóstwo Chrystusa zdobyła przychylną władzę polityczną i mogła się szerzyć, skoro nawet papież i większość biskupów starali się raczej ominąć istotę problemu, szukając czysto werbalnej pośredniej drogi doktrynalnej, która i wiernym ortodoksji pozwoliłaby wyznawać wiarę w Bóstwo Zbawiciela, i tych, którzy w to wątpią, zwolniłaby od afirmacji wątpliwej dla

Kryzys współczesny przypomina zapomniany, wcześniej przezwyciężony, kryzys gnostycki, który w II w. zagroził nie tyle treści wiary, ile wierze jako takiej

nich dogmatu. Na szczęście męstwu św. Atanazego i pustelników zawdzięczamy to, że z wiarą możemy wyznawać przekazane nam Credo, które co niedzielę śpiewamy czy recytujemy w naszych kościołach.

Diagnoza Pawła Lisickiego wydaje się iść dalej. Oczywiście kryzys ariański zawiera wiele uderzających podobieństw do współczesnego, przede wszystkim jednak socjologicznych. Dziś bowiem mamy do czynienia z czymś więcej niż negacją jednej kluczowej prawdy wiary, ze sporem błędu (który jednak nie narusza paradygmatu prawdy, po prostu myli się w jej określeniu) z Prawdą po prostu. Dotknięty więc jest raczej sam rdzeń, Objawienie i misja jego przekazywania przez Kościół, realizowana od dwóch tysięcy lat. Począwszy od praw najważniejszych – porządku stworzenia, które „było bardzo dobre” (Rdz 1, 31), przez jedyną Zbawienia dokonane w Chrystusie i przez Chrystusa, do nadprzyrodzonego i wiecznego celu człowieka (nie jako „przeznaczenia”, które spełnia się bezwiednie, ale jako realnego kierunku naszego życia już tu, na ziemi).

Kryzys współczesny przypomina więc raczej zapomniany, bo wcześniej przezwyciężony, kryzys gnostycki, który w II w. zagroził nie tyle treści wiary, ile wierze jako takiej. Współczesna gnoza przenieść chce zainteresowanie Kościoła z dążenia do Zbawienia na odkrycie nowego humanizmu, gwarantującego harmonię doczesną i zbawiającego ludzkość od chaosu historii. Prawdy wiary traktuje jako wyraz głębszych niewyraźnych treści, przybierających analogiczne (a często i wzbogacające) formy w innych religiach. Wreszcie sama liturgia



**PAWEŁ LISICKI
„WYGNANIE
MELCHIZEDEKA.
W JAKI SPOSÓB
KOŚCIÓŁ
KATOLICKI MOŻE
ODZYSKAĆ
ZGUBIONE
SACRUM”
FRONDA 2022**

zaangażowane. Lisicki uznaje jednak, że Pustynia jest właściwszym od Ogródu miejscem duchowej medytacji. Stamtąd więc, chroniąc suwerenność swego sądu, rzuca wyzwanie panującym opiniom i występuje jako rzecznik ogłuszonych przez nie ludzi. Taki trudny wybór jedynie wzmacnia powagę i znaczenie jego pisarstwa. Myliłby się ktoś, kto kolejne książki Pawła Lisickiego uznawałby przede wszystkim za erudycyjne pamflety. W najbardziej polemicznych, jak w „Dzi-

■ w tym kształcie staje się raczej miejscem urzeczywistnienia wspólnoty razem medytującej o życiu niż aktem kultu w ścisłym tego słowa znaczeniu, uobecniającym Ofiarę, którą Zbawiciel samotnie składa Ojcu dla naszego zbawienia.

Gnoza jest bardziej dialektyką niż systemem. Jednoczy przeciwieństwa, uchylając – konieczny dla afirmacji prawdy – wymóg odrzucania błędów. Sama bowiem bardziej „reinterpretuje”, niż neguje. Negując wartość widzialnego świata, rozstrzuwa mgłę, w której prawda po prostu ginie.

ANTYLITURGICZNA PUŁAPKA

Wielki XIX-wieczny odnowiciel życia monastycznego, Dom Prosper Guéranger, zarejestrował postępujące zjawisko lekceważenia dla liturgii, którego nie wahał się nazwać herezją antyliturgiczną. Zasadniczą przesłanką tego błędu był duszpasterski pragmatyzm, chcący usunąć – na ile można – to, co utrudnia „kontakt z ludźmi”, traktujący religię, niczym lord Acton, jeden z doktorów katolicyzmu liberalnego, jako gorset krępujący porywy moralności.

Z tej perspektywy liturgia to jedynie zwyczajowy sposób gromadzenia ludu chrześcijańskiego na modlitwę, konieczny w swym sakramentalnym i odwiecznym charakterze, ale będący przede wszystkim okazją do nauczania, również na bardzo doraźne tematy. Pokusa ta jest zresztą jakoś zrozumiała, bo łączy się z konieczną funkcją życia chrześcijańskiego. Tłumaczy ją też okoliczności. Zdechrystianizowany świat (bo taki ma być w ramach osławionego „rozdzięcia Kościoła i państwa”) wypiera kulturę chrześcijańską, ta chroni się więc w świątyniach, ścierając się z tym, co w pełnym tego słowa znaczeniu sakralne. Ilekroć widzieliśmy to choćby w latach 80., w czasach stanu wojennego.

Mentalność ta przejawia się również w przekonaniu – tak często spotykanym w argumentacji, kierowanej przeciw obronie tradycyjnej liturgii – że liturgia jest czymś nieistotnym, na co nie warto zwracać uwagi, do czego nie warto się przywiązywać i czego nie warto szczególnie bronić. Jest zewnętrznym, w istocie mało istotnym, okryciem kultu, po prostu okazją do przyjmowania we wspólnocie sakramentu Eucharystii.

Jeśli jednak liturgia staje się głównie okazją osobistego życia duchowego

Paweł Lisicki skupia się na stronie doktrynalnej i na tym polega wartość książki

i autorefleksji, to na plan dalszy schodzą sama treść wiary i kontemplacja, przekonanie, że najważniejsze się już dokonało, a jednocześnie trwa, że żyjemy w kontekście zbawczych wydarzeń, które naszemu życiu nadają prawdziwy sens.

KANON SZWAJCARSKI

Dowolność liturgiczna nie jest problemem teoretycznym i nie chodzi jedynie o indywidualne nadużycia. Co więcej, nie chodzi wyłącznie o jednorazowo dokonaną zmianę za pontyfikatu Pawła VI, ale o uruchomiony wówczas proces, który trwa.

Jego jaskrawą ilustracją może być V modlitwa eucharystyczna, bardzo dziś popularna w kościołach, w każdym razie znacznie bardziej niż najbardziej klasyczna modlitwa I, więc nieco zmieniony Kanon Rzymski. Ów kanon szwajcarski, w odróżnieniu od „oryginalnych” posoborowych modlitw eucharystycznych, nie ma źródeł archeologicznych, nie aspiruje do „powrotu do źródeł”, nie próbuje rekonstrukcji zaginionych form pierwotnego Kościoła. Został napisany w 1974 r., na użytek narodowego Synodu szwajcarskiego, dla wyrażenia „wiary człowieka współczesnego”. Jako taki został zaakceptowany przez Rzym i zaczął rozszerzać się na cały Kościół.

W kanonie tym nie ma już (obecnej ciągle w II, III i IV modlitwie eucharystycznej Mszału Pawła VI) prośby „fiant”, aby ofiarowane materie stały się Ciałem i Krwią Pana. Kanon szwajcarski tej przedkonsekracyjnej, definiującej intencję Ofiary, formuły nie zawiera. I to pominięcie jest wyraźnym naruszeniem tego, co Kościół przekazał.

Zamiast tego mówi o medytacji, o tym, że Chrystus „wyjaśnia nam Pisma”, i zawiera prośbę, by Zbawiciel „stał się obecny wśród nas w swoim Ciele i w swojej Krwi”. Jest jednak różnica między tym, że ofiarowane materie stają się Ciałem i Krwią Pana, że je nadal po Mszy adorujemy, a obecnością „wśród nas”. Bo czy po

rozesłaniu, jak się już rozejdziemy, Zbawiciel nadal będzie, już bez nas, obecny w świątyni w swoim Ciele i w swojej Krwi? Msza katolicka czy Wieczerza luterńska? I dlaczego ten osobliwy kanon stał się tak popularny, choć w Mszału Pawła VI są i inne? Pewien ksiądz z rozbrajającą szczerością wyjaśnił mi, że nie musi się nad tym zastanawiać, skoro ten kanon w Mszału jest, a poza tym bardzo lubi zawarte w nim wspomnienie spotkania zmartwychwstałego Pana z uczniami w Emaus. Zaufanie jednak powinno być świadome, jak wiara właśnie, a sympatyczny akcent to za mało, by (nazwijmy rzecz po imieniu) tyleż lekko, co w tej lekkości brutalnie ignorować argumenty czy zastrzeżenia zobowiązujące do religijnej refleksji.

WIARA WYWRÓCONA

Dla autora „Wygnań Melchizedeka” rejestracja kryzysu liturgii to jedynie punkt wyjścia do opisu, jak rutyna korodująca życie katolickie może być wykorzystana do zanegowania samej wiary. Zmiany form prowadzą do zmiany treści. Tę prostą zasadę („the medium is the message”) nieprzypadkowo w XX w. sformułował katolicki myśliciel. Marshall McLuhan był ojcem współczesnej mediologii, ale jego najbardziej znana formuła to naturalne potwierdzenie starej zasady, dotyczącej życia nadprzyrodzonego: *lex credendi – lex orandi*.

Centralnym zagadnieniem „Wygnań Melchizedeka” jest jeden z czterech aspektów Mszy Świętej. Msza katolicka jest bowiem Ofiarą – chwałą, dziękczynieniem, prośby i prześlągania. Ten ostatni aspekt Mszy stał się przedmiotem ataków już w czasach Lutra, dziś się jeszcze wzmożł. Dla Lutra prześlągalny charakter Mszy pomniejszał jedynność Ofiary Chrystusa. Dla współczesnej kultury, zainfekowanej gnozą, stał się w ogóle skandalem. Cierpiący człowiek nie ma powodu czuć się winny, to raczej on ma powody rościć pretensje o charakter swojej kondycji.

Wiara mówi, że żyjemy w dobrym świecie, który grzech psuje od czasu upadku naszych pierwszych rodziców. Gnoza mówi, że żyjemy w złym świecie, który człowiek naprawia poprzez bunt Prometeusza i wszystkie kolejne rewolucje.

Wiara każe zachowywać ład moralny, co już czynili poganie, i wydoskonalać

go w duchu Ewangelii. Gnoza mówi, że każda forma widzialnej sprawiedliwości, z cywilizacją chrześcijańską na czele, jest tylko profanacją tego, co duchowe, i co musi pozostać oddzielone od widzialnego świata.

Wiara przede wszystkim jest Łaską, której Bóg bezinteresownie udziela ludziom. Wiara nowoczesnych, zdeformowana przez gnozę, jest łaską, którą człowiek robi Bogu. Jest ewentualnie dodatkiem do życia, potrzebnym ludziom mniej „duchowym”, którzy nie potrafią się bez niej obejść.

Wiara mówi, że Boga musimy prosić o przebaczenie naszych własnych grzechów i tych, które uwarunkowały nasze życie. Gnoza mówi, że to człowiek ma „prawo” żywić pretensje do swego Stwórcy.

TENDENCJE NOWOCZESNOŚCI

W najnowszej książce Pawła Lisickiego go znajduje się spory ustęp poświęcony rozmowie, jaką już po abdykacji przeprowadził z Benedyktem XVI o. Jacques Servais SJ. Autor „Wygnań Melchizedeka” ma żal do papieża emeryta, gdy ten, opisując obecny stan wiary, mówi o kulturowych tendencjach właśnie, które wpływają na ewangelizację. Zwraca uwagę na niebezpieczeństwo zawarte w samym koncepcie „tendencji”. Pisz o skłonności poheglowskiej filozofii niemieckiej do „przedstawiania przemian świadomości” niczym samoczynnie dokonujących się zjawisk natury, działających niezależnie od ludzkiej woli. Taka naturalizacja „ducha” może łatwo usprawiedliwiać (i dziś widzimy, jak przerażająco usprawiedliwia) kulturowy determinizm, niszcząc i paraliżując ludzką odpowiedzialność. Kościół musi mieć tego świadomość, bo „religijność czysta” wymaga zachowania się „od wpływów świata” (por. Jk 1, 27). Aby się jednak przed wpływami tymi bronić – trzeba je znać. Apologię katolicyzm uprawiał od zawsze.

Kardynał Ratzinger (i później Benedykt XVI) nigdy tych „wpływów” nie usprawiedliwiał. Wręcz przeciwnie, właśnie tendencje współczesnej kultury zachodniej wskazywał jako zasadnicze źródło kryzysu Kościoła po Soborze Watykańskim II. Biografowie w ogóle szok rewolucji 1968 r., przyjrzenie się z bliska niszczącej mocy Człowieka Współczesnego, uznają za przełomowy moment w życiu Josepha Ratzingera.

W wywiadzie z o. Servais papież mówi o gnostycyzujących współczesnych teologiach, w pierwszym rzędzie o Karlu Rahnerze, który „redukuje chrześcijaństwo do czysto świadomego przedstawienia tego, czym istota ludzka jest sama w sobie”, co w praktyce „pomija dramat przemiany i odnowy, centralny dla chrześcijaństwa”. I także o „jeszcze mniej akceptowalnych rozwiązaniach zaproponowanych przez pluralistyczne teorie religii”. Oby tym podejściom papież emeryt jasno przeciwstawia „krytykę różnych religii – taką, jaką uprawiano w Starym Testamencie, Nowym Testamencie i wczesnym Kościele”. Papież emeryt rejestruje tendencję współczesnej kultury, strukturalnie (bo zarówno w planie intelektualnym, jak i moralnym) negującej potrzebę nawrócenia, ale po to, by tę tendencję odrzucić.

Owszem, dla Josepha Ratzingera od zawsze, przynajmniej od czasu, gdy był młodym profesorem, kluczowym problemem była obecność chrześcijaństwa w niechrześcijańskim świecie. Dlatego (i to widoczne jest w tym wywiadzie) skłonny był nawet stanowiskom, które odrzucał, przypisywać rangę „mało akceptowalnych rozwiązań”. Istotnie, nie jest to język klasyczny. I na pewno ofiarą pesymizmu papieża padała również klasyczna teologia polityczna. Choć z pewnością dzięki jego wkładowi odniesienia do niej znajdowały się w Katechizmie św. Jana Pawła II czy w „Veritatis splendor”. Papież chciał, by dokumenty katolickiej teologii politycznej czytać, ale przypominał tę teologię bardzo rzadko. Czasem jednak to robił, np. gdy w przemówieniu do korpusu dyplomatycznego przypominał o suwerennej władzy Boga.

Owszem, dla Josepha Ratzingera od zawsze, przynajmniej od czasu, gdy był młodym profesorem, kluczowym problemem była obecność chrześcijaństwa w niechrześcijańskim świecie. Dlatego (i to widoczne jest w tym wywiadzie) skłonny był nawet stanowiskom, które odrzucał, przypisywać rangę „mało akceptowalnych rozwiązań”. Istotnie, nie jest to język klasyczny. I na pewno ofiarą pesymizmu papieża padała również klasyczna teologia polityczna. Choć z pewnością dzięki jego wkładowi odniesienia do niej znajdowały się w Katechizmie św. Jana Pawła II czy w „Veritatis splendor”. Papież chciał, by dokumenty katolickiej teologii politycznej czytać, ale przypominał tę teologię bardzo rzadko. Czasem jednak to robił, np. gdy w przemówieniu do korpusu dyplomatycznego przypominał o suwerennej władzy Boga.

SENSUS FIDEI

Paweł Lisicki skupia się na stronie doktrynalnej i na tym polega wartość jego książki. Prawda ma charakter zobowiązujący. Ale prawda nie ma jednak charakteru wyłącznie teoretycznego, opisującego. Zawarta i przekazywana jest również w praktycznym życiu katolickim. Kościół zachowuje swą wiarę w kryzysie przez świadomy opór wobec deformacji i błędów, ale również przez codzienne

życie, kierowane „zmysłem wiary” (pojęcie to, choć analogiczne, dotyczy jednak realnego, przekazywanego na chrzcie, charyzmatu). Czytając „Wygnań Melchizedeka”, warto o tym pamiętać.

Paweł Lisicki z wielkim uznaniem pisze o dziele prof. Klausa Gambera, jednego z największych współczesnych liturgistów. Utożsamia się zarówno z jego ustaleniami historycznymi, jak i z krytyczną analizą współczesnych zmian liturgicznych. Nie może jednak pojąć, jak uczony i ksiądz o takiej jasności widzenia mógł jednocześnie pisać ze zrozumieniem o „odważnych i pobożnych kapłanach”, którzy „przyjęli nowe teksty liturgiczne jedynie w akcie posłuszeństwa wobec Ojca Świętego”. Tyle że prętał Gamber nie czyni z aprobaty dla zmian aktu „odwagi i pobożności”, ale pisze, że wielu kapłanów „odważnych i pobożnych” je przyjmowało w zaufaniu do Kościoła. To fakt, tak było. To np. przypadek błogosławionego ks. Jerzego, który odprawiając Mszę, miał przed oczyma (leżący, nie stojący) krucyfiks, a Ofiarę Mszy dopełnił ofiarą własnego życia.

Przytaczam ten przykład, bo ks. Jerzy nie cytował na każdym kazaniu antykomunistycznego nauczania „Divini Redemptoris” (nie wiem, czy w ogóle mógł tę encyklikę przeczytać), a jednak potrafił tylu ludzi natchnąć do duchowego i społecznego oporu wobec komunizmu. Kościół walczący żyje niekiedy jako Kościół milczenia, a czasami – nawet w mroku – prowadzi go właśnie sensus fidei. Co nie zmienia faktu, że zmysł wiary ożywia właśnie wiara, świadomie przyjęta prawda. Gdy traci treść, również jej zmysł przestaje działać.

Znaczenie prawdy jest więc niezastąpione, nigdy nie wolno jej zaprzeczać, nigdy też nie wolno jej omijać. Szczególnie ważne jest, aby „Wygnań Melchizedeka” czytali wszyscy ludzie obdarzeni autorytetem i władzą w Kościele; aby czytali tę książkę w świadomości naturalnego (i przecież podkreślonego przez ostatni Sobór powszechny) obowiązku „szukania prawdy” oraz „przyjęcia i zachowania” znalezionej. Nie chodzi o to, by zgodzić się ze wszystkimi tezami autora, ale by je rozważać, a uznane przyjmować intelektem i wolą.

Krucjata Pawła Lisickiego trwa.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Antysemityzm w „Wyborczej” podnosi zwierzęcy pysk



Dariusz Wieronieczny

W opublikowanym niedawno w „Gazecie Wyborczej” wywiadzie prof. Zbigniew Mikołajko przedstawił tezy, pod którymi podpisać by się mogli liczni ideolodzy niemieckiego nazizmu

Zdumiewający tekst ukazał się niedawno na łamach „Gazety Wyborczej”. Mam na myśli wielostopniowy wywiad z prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Zbigniewem Mikołajką. Wywiad ten zatytułowany został: „Żle, że młodzi wolą mieć zwierzęta zamiast dziecka? To patriarchalne spojrzenie”. Profesor Mikołajko jest autorem znanym z kuriozalnych, jawnie prowokacyjnych wobec zdrowego rozsądku wypowiedzi. Tym razem filozof z Uniwersytetu Warszawskiego poszedł jednak w swoich prowokacjach dalej niż zwykle, pozwalając sobie na głoszenie idei otwarcie nawiązujących do ideologii nazistowskiej – oraz sformułowań jawnie antysemickich.

W ostro meandrującym wywodzie, spytany o cierpienia hodowanych w klatkach kur, odpowiedział: „Coś jednak musimy jeść – i to jest nierozwiązywalny problem. Ograniczamy holokaust zwierząt, ale przy miliardach ludzi będzie o rzeczą konieczną”. Następnie przedstawił tezy, pod którymi podpisać by się mogli liczni ideolodzy niemieckiego nazizmu.

„RODZICIELSTWO MIĘDZYGATUNKOWE”

W lutym roku 2003 r. amerykańska organizacja People for the Ethical Treat-



W tym wywiadzie dla „GW” filozof poszedł w swoich prowokacjach dalej niż zwykle

FOT. ŁUKASZ ZBORALSKI

ment of Animals (PETA) ogłosiła kampanię reklamową zatytułowaną „Holokaust na talerzu” („Holocaust on Your Plate”). Podobnie jak wywody prof. Mikołajki, dotyczyła ona kur, a ściślej bojkotu sieci restauracji KFC. Kampania spotkała się z uzasadnionym oburzeniem ogromnej większości Amerykanów. Zrozumiały wściekłością zareagowały na użycie terminu „holokaust” dla opisanego zabijania kurczaków organizacje żydowskie. Abraham Foxman, dyrektor żydowskiej organizacji Liga przeciw Zniesławieniom (Anti-Defamation League), nazwał kampanię „oburzającą” i przekonująco wyjaśnił dlaczego: „Okrutne traktowanie zwierząt powinno spotykać się ze sprzeciwem, ale nie powinno i nie może być porównywane do Holokaustu. Wyjątkowość ludzkiego życia jest moralnym fundamentem dla ludzi, którzy sprzeciwiali się nienawiści nazistów, a dziś stawiają opór zbrodni-

rom, gotowym do popełnienia ludobójstwa także w naszych czasach”.

W roku 2009 Sąd Najwyższy w Niemczech zakazał używania hasła „Holokaust na talerzu” w całym kraju, uznając je za wykraczające poza ramy akceptowalnego dyskursu, pomimo argumentów odwołujących się do obowiązującej jakoby w Niemczech wolności słowa.

Dla prof. Mikołajki utożsamienie Holocaustu, czyli masowego mordu na Żydach, z losem zabijanych kurcząt nie stanowi żadnego problemu. Słowa te padły i, co ciekawe, nie spotkały się z jakkolwiek reakcją prowadzącej wywiad dziennikarki „Gazety Wyborczej”. Co najważniejsze, nie jest to sformułowanie przypadkowe, przeciwnie, wynika ono z pokrętnego wprowadzenia, ale możliwego do prześledzenia wywodu lewicowego filozofa. Nie tylko mówi on o zwierzętach jako członkach własnej rodziny,

lecz także namawia innych do czegoś, co nazywa „rodzicielstwem międzygatunkowym”. W odpowiedzi na pytanie „Czy nie jest wygodą, że młodzi wolą mieć zwierzęta zamiast dziecka?” stwierdza: „To patriarchalne spojrzenie z wnętrza tradycyjnej rodziny i bardzo archaicznego podziału świata, w którym zwierzęta mają być człowiekowi »poddane«, jak powiada Księga Rodzaju. Tymczasem młodsze pokolenia odrzucają taką hierarchiczność i taki sztuczny podział. I bardziej niż starsze rozumieją zasadniczą jedność wszystkiego, co żyje. I to, że istnienie zwierzęce nie jest gorsze, tylko inne od nas, a równocześnie dopełniające nasze istnienie. Zwierzę może nam bowiem dawać to, czego nie dostajemy od drugiego człowieka”.

W tym miejscu należy przypomnieć słowa znakomitego amerykańskiego historyka pochodzenia żydowskiego, urodzonego w Niemczech Gerharda Weinberga. Jako 10-latek opuścił on Niemcy w roku 1938, lecz znaczna część jego rodziny padła ofiarą hitlerowców. Weinberg jest jednym z najznakomitszych badaczy hitlerowskiego systemu politycznego. Pisał on: „Kluczowym aspektem hitlerowskiej doktryny rasowej było odrzucenie przez nią biblijnego rozróżnienia pomiędzy człowiekiem a resztą stworzeń”. Profesor Mikołajko, idąc śladami nazistów, także odrzuca to rozróżnienie, dywagując zarazem o „holokaucie” zabijanych kurczaków. Pamiętać trzeba, że zapamiętali w mordowaniu „bezwartościowych ras ludzkich” Niemcy przykładali ogromną wagę do troski o dobro zwierząt. Jak pisze inny amerykański uczonec, profesor historii na kalifornijskim Uniwersytecie Stanowym, Richard Weikart: „Ze względu na wyjątkową troskę o dobro zwierząt Hitler był wegetarianinem, Himmler sprzeciwiał się wiwisekcjom, a władza nazistowska wprowadziła restrykcyjne prawodawstwo dotyczące ochrony przyrody i zwierząt. Jednakże, dbając o ochronę zwierząt, nazis ci wierzyli, że ludzie i zwierzęta są tak bardzo do siebie podobni, iż dopuszczalne jest traktowanie ludzi jak zwierząt. PETA (organizacja stojąca za hasłem „Holokaust na talerzu”) dokonuje tego zrównania, wychodząc od drugiej strony, proponując traktowanie zwierząt, jak ludzi”.

Jasne jest że wygłaszający tyrady o „międzygatunkowym rodzicielstwie”

prof. Mikołajko nie zamierza respektować ani biblijnych rozróżnień, ani wskazań Księgi Rodzaju. Przypomnijmy mu zatem maksymę Heraklita z Efezu, że „droga w górę i droga w dół są tą samą drogą”. Ci, którzy podnoszą dziś zwierzęta do poziomu i godności istot ludzkich, pamiętać powinni szlak, który przeszli uczeni, sprowadzający istoty ludzkie, zgodnie z teorią Karola Darwina, do poziomu jednego z gatunków zwierząt. W roku 2005 w londyńskim ogrodzie zoologicznym można było podziwiać grupę ludzi w kostiumach kąpielowych, w ramach czterodniowej wystawy przedstawiającej gatunek *homo sapiens*. Rzecznik prasowy londyńskiego zoo wyjaśniał: „Oglądanie ludzi w odmiennym otoczeniu, pomiędzy innymi zwierzętami, uczy zwiedzających, że człowiek jest tylko jednym ze ssaków naczelnych”.

Niemal identyczne przemyslenia przedstawiła dyrekcja zoo w nowojorskim Bronxie, w roku 1906. Umieściła ona w klatce, w pawilonie z małpami, afrykańskiego Pigmeja imieniem Ota Benga. Wielu uczonych profesorów, kochających zwierzęta nie mniej niż prof. Mikołajko, uważało wtedy Pigmejów za gatunek stojący niżej od ludzi na drabinie ewolucyjnej, jednakowoż część „wspólnoty równych” w wielkiej rodzinie człekokształtnych. Gdy protestowała przeciw takim szaleństwom grupa afroamerykańskich duchownych, dyrektor nowojorskiego zoo odpowiedział im, oburzony, iż Benga jest doskonale zadbany i odżywiony, dysponując też „jedną z najwygodniejszych klatek w pawilonie naczelnych”.

Czym skończyło się takie pojmowanie ciągłości pomiędzy zwierzętami, Afrykanami i Żydami, uczy cała XX-wieczna historia ludzkości.

CYTUJĄC FASZYSTĘ

Profesor Zbigniew Mikołajko lubi jednak prowokacje idące jeszcze dalej. Cytujać wzruszający, jego zdaniem, fragment prozy pewnego włoskiego pisarza, dotyczący traktowania zwierząt w laboratoriach medycznych, porównuje cierpienia poddane go eksperymentom psa z cierpieniami... Jezusa Chrystusa. „»Febus« – powiedziałem cicho. A Febus patrzył na mnie z cudowną słodyczą w oczach. Widziałem w nim Chrystusa, widziałem w nim Chrystusa ukrzy-

żowanego, widziałem Chrystusa patrzącego na mnie oczami pełnymi cudownej słodyczy. »Febus« – powiedziałem niskim głosem, pochylając się nad nim, głaszcząc go po czole. Febus pocałował mnie w rękę i nie wydał z siebie żadnego jęku”.

I znowu warto zwrócić uwagę na zaskakujące sympatie literackie warszawskiego profesora. Cytowany opis wyszedł spod pióra Kurta Ericha Suckerta, znanego pod pseudonimem literackim Curzio Malaparte. Był to członek Narodowej Partii Faszystowskiej i uczestnik marszu na Rzym. W czasie drugiej wojny światowej Malaparte był oficjalnym korespondentem wojennym prasy włoskiej na froncie wschodnim. Przebywał także w Polsce, gdy miały tu miejsce eksperymenty medyczne, dokonywane przez Niemców na ludziach.

Czy używanie frazy „holokaust zwierząt”, a następnie cytowanie bluźnierczych wywodów faszystowskiego literata kogokolwiek w „Gazecie Wyborczej” oburzyło? Wątpię

Ten literacki ulubieniec prof. Mikołajki, tak czuły na cierpienia psa Febusa, nie opisał, niestety, męczeństwa żydowskich i polskich dzieci, na których swoje eksperymenty prowadzili równie wrażliwi wobec cierpienia zwierząt niemieccy nazis ci.

WYMOWNA CISZA

Czy używanie frazy „holokaust zwierząt”, a następnie cytowanie bluźnierczych wywodów faszystowskiego literata (po zwycięstwie aliantów Malaparte, jak wielu współczesnych faszystów, przemienił się w komunistę i maoistę) kogokolwiek w „Gazecie Wyborczej” oburzyło? Wątpię. Tak się składa, że środowisko polityczne, któremu „Wyborcza” przewodzi, poza radykalnym ekologizmem, ma też w Polsce nieformalny monopol na tropienie wypowiedzi antysemickich. Kiedy antysemickie, bliskie nazistom frazy otwarcie głosi prozwierzęcy wegetarianin i ekolog, wybiera ono dyplomatyczne milczenie. Cisza bywa głośniejsza niż bijące na trwogę dzwony.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Jamesem A. Lindsayem, współautorem książki „Cyniczne teorie” i założycielem portalu New Discourses rozmawia Jakub Zgierski

Lewactwo jest jak sekta



W latach 2017–2018 trzej amerykańscy naukowcy, Helen Pluckrose, James A. Lindsay oraz Peter Boghossian, próbowali powtórzyć słynny eksperyment Sokala z 1996 r. Przygotowali 21 projektów artykułów, które wysłali do publikacji w renomowanych czasopismach z obszaru nauk społecznych i humanistycznych. Cztery prace zostały opublikowane, trzy przyjęto do publikacji, a siedem pozostało na etapie recenzji i oceny. Wszystkie poruszały absurdalne tematy, lecz i tak w wielu przypadkach recenzenci nie ukrywali swojego entuzjazmu – np. publikacja omawiająca zależność między homofobią a postawą wobec homoseksualnych zbliżeń psów uzyskała wyróżnienie czasopisma „Gender, Place and Culture”. Jednym z efektów tzw. Grievance Studies jest książka „Cyniczne teorie”, której autorami są Helen Pluckrose oraz James A. Lindsay.

JAKUB ZGIERSKI: Jest pan wraz z Helen Pluckrose współautorem książki „Cyniczne teorie”. W pewnym sensie publikacja stanowi efekt słynnej afery Grievance Studies. Dlaczego zdecydował się pan na tę intelektualną prowokację?

JAMES A. LINDSAY: Peter Boghossian, Helen Pluckrose i ja postanowiliśmy wcielić w życie projekt Grievance Studies, ponieważ próbowaliśmy skrytykować problem,

który widzieliśmy w środowisku akademickim, ale nie mogliśmy sprawić, by ludzie nas wysłuchali lub nam uwierzyli. Ciągłe nam mówiono, że nie jesteśmy ekspertami w dziedzinach akademickich, które krytykowaliśmy, takich jak gender studies, krytyczna teoria rasy, teoria feministyczna itd. Czy jest lepszy sposób na udowodnienie, że wiesz, o czym mówisz w odniesieniu do tekstów naukowych, niż samodzielne opublikowanie niektórych z nich?

Ponadto uznaliśmy, że problem w środowisku akademickim – ta korupcja polityczna – nie może się sam naprawić. Jedyną opcją w takim przypadku jest jego ujawnienie, a jednym z najlepszych narzędzi okazuje się akademicka prowokacja. Połączenie tych motywacji skłoniło nas do utworzenia projektu Grievance Studies Affair. „Cyniczne teorie”, które są czytane na całym świecie w ok. 18 językach, powstały z potrzeby przekazania tego, czego się nauczyliśmy, zwłaszcza po tym, gdy zdaliśmy sobie sprawę, jak niepokojący jest to problem. Mniej więcej w połowie pisania prac w ramach Grievance Studies otrzymaliśmy informację zwrotną od recenzentów z czasopisma naukowego „Hypatia”. Napisaliśmy artykuł, w którym twierdziliśmy, że szkoły powinny źle traktować „uprzywilejowanych” uczniów, aby

nauczyć ich o opresji, by mogli przezwyciężyć swój przywilej, ale powinno się to odbywać przy zachowaniu współczucia. Recenzentom podobał się pomysł złego traktowania uczniów, ale powiedzieli, że używanie współczucia grozi „ponownym skoncentrowaniem się na potrzebach jednostek uprzywilejowanych”. Radzili, by zamiast tego stosować tzw. pedagogikę dyskomfortu. Po tym zapytałem żonę, czy mogłbym rzucić pracę, aby studiować i demaskować tę ideologię w pełnym wymiarze godzin, ponieważ wydawała się ona tak niebezpieczna i szkodliwa. „Cyniczne teorie” były pierwszym dużym dziełem z tego zakresu, które kontynuuję do dziś na mojej własnej platformie New Discourses.

Dlaczego postmodernizm jest tak popularny w zachodnim świecie akademickim? Szczególnie interesują mnie jego związki z marksizmem czy tzw. marksizmem kulturowym.

Postmodernizm jest popularny w zachodnim świecie akademickim wyłącznie z jednego powodu: pewien typ feministek, zwykle na wydziałach anglistyki, uznał go za bardzo przydatny do dekonstrukcji idei ról płciowych i oddzielenia płci biologicznej od tożsamości płciowej. Należą do nich przede wszystkim Gayle Rubin, Eve Sedgwick i Judith Butler.



FOT. YOUTUBE.COM/@NEWSDISCOURSES

kim jesteśmy jako ludzie, zostało uwarunkowane przez struktury władzy i opresji, które dzielą i definiują społeczeństwo. Był to pogląd szkoły frankfurckiej, która rozwinęła teorię krytyczną właśnie dlatego, że wierzyła, iż nie jest możliwe opisanie lepszego społeczeństwa w kategoriach obecnego społeczeństwa, więc wszystko, co możemy zrobić, to krytykować „dehumanizujące” (z perspektywy marksistowskiej) aspekty społeczeństwa, które im się nie podobają.

Wspólnym mechanizmem teorii krytycznych jest więc uczenie ludzi dostrzegania tych rzekomych systemów władzy, które się czają za każdym zjawiskiem. Gdy „struktury opresyjne” zostaną uwidocznione, mechanizm polega wówczas na ich „krytyce”, stąd nazywanie ich „teoriami krytycznymi”.

W praktyce oznacza to dwie rzeczy. Po pierwsze, ponowne zdefiniowanie istotnych pojęć określających daną kwestię tak, aby były one rozumiane w świetle domniemych struktur władzy. Po drugie, potępienie istniejącego rozumienia i sposobu pracy z daną kwestią, dopóty, dopóki nie zostanie ona poddana władzy krytyki. Z tego podejścia wywodzi się krytyczna teoria rasy, krytyczna teoria płci, (krytyczna) teoria queer i tak dalej, podobnie jak pedagogika krytyczna czy krytyczna teoria wychowania i nauczania. Wszystkie one polegają na tym „negatywnym myśleniu” w podejściu do krytyki, która ostatecznie wywodzi się z instrukcji Karola Marksa: „Bezwzględna krytyka wszystkiego, co istnieje”, którą w rzeczywistości zaczerpnął z postaci Mefistofelesa z „Fausta” Goethego, który powiedział: „Wszystko, co istnieje, zasługuje na śmierć”.

Czy po opublikowaniu książki spotkali się państwo z jakimiś szykanami i problemami ze strony środowisk lewicowych? Od dawna wiadomo, że w ich ideologii można tolerować tylko to, co postępowe i rewolucyjne. Konserwatyzm zasługuje wyłącznie na zniszczenie.

Na szczęście nie. Być może dzięki temu, że celowo pisaliśmy „Cyniczne teorie” z lewicowej perspektywy. Było to nie tyle posunięcie strategiczne, ile wynikało z tego, że Helen, która jest główną autorką dzieła, ma poglądy lewicowe. To, co było najbliższe

problemom po wydaniu książki, to fakt, że podczas gdy sprzedaż była dość wysoka, zwłaszcza w pierwszym tygodniu, a książka znalazła się na kilku znaczących listach bestsellerów, „New York Times” nie zamieścił jej na swojej liście (sprzedaż w pierwszym tygodniu była ponad trzy razy wyższa niż dwie ostatnie książki na liście w tym samym tygodniu). Kiedy zapytaliśmy ich o przyczynę, powiedzieli, że nie wierzą, iż liczby sprzedaży odzwierciedlają rzeczywiste zakupy. Innymi słowy, stwierdzili, że są przekonani, iż pravicowe instytucje kupiły dużą liczbę kopii, aby książka wyglądała na bardziej popularną, niż była w rzeczywistości. To oczywiście nie była prawda, ale „New York Times” jest teraz w zasadzie komunistyczną gazetą. Czego zatem innego mogliśmy się spodziewać?

Czy z działaczami lewicowymi można się w ogóle porozumieć? Proszę o jakieś rady dla polskiego społeczeństwa, bo coraz częściej musimy sobie radzić z tym ideologicznym szaleństwem.

W moim odczuciu trzeba zrozumieć, że lewactwo, gdy się w pełni uaktywni, jest jak sekta. Jest to właściwie religia, która postrzega świat i człowieka w zupełnie inny sposób niż większość, oddziela ludzi od rzeczywistości i ich społecznego otoczenia. To sprawa, że rozmowa z działaczami lewicowymi czy nawet normalnymi ludźmi, którzy dali się wciągnąć w lewackie poglądy, jest prawie niemożliwa. Są wewnątrz sekty. Sekta pracuje tak ciężko, jak tylko może, aby się upewnić, że nikt jej nie opuści, że nie spotka się z ludźmi lub ideami, które mogłyby kogokolwiek z niej wyciągnąć. Ludzie w sektach muszą być traktowani z wielką troską i współ-

czuciem, ponieważ odczuwają ogromny strach przed tym, że ich tożsamość i kręgi społeczne całkowicie się rozpadną, jeśli opuszczą sektę, i mają prawo tak myśleć. Wiedzą też, że będą atakowani przez ludzi, którzy nadal są w sekcie. Musimy ciągle próbować z nimi rozmawiać, pokazywać im rzeczywistość. Jedynym sposobem jest jednak wielokrotne pokazywanie dowodów, a następnie pozostawienie ich z nimi. Nie ma co się z nimi kłócić. To tylko sprawi, że się zaciętrzewią.



HELEN PLUCKROSE, JAMES LINDSAY
„CYNICZNE TEORIE”
WYDAWNICTWO WEI 2022

Inni, jak David Halperin, poszli za ciosem i napisali hagiografię postmodernisty Michela Foucaulta, zatytułowaną „Saint Foucault” (1995), pomagając wepchnąć myśl postmodernistyczną głęboko w centrum nowo powstającej teorii queer, która następnie wykorzystwała ją do zniszczenia feminizmu [teoria queer wywołała konflikt w obozie feministek, spychając na boczny tor tzw. terfki, czyli aktywistki uważające, że kobietami są tylko kobiety – przyp. red.].

Poststrukturalistyczne feministki chciały wykorzystać postmodernizm do całkowitego zniesienia koncepcji płci, podobnie jak Marks chciał to zrobić z własnością prywatną. Oczywiście czyni go to bardzo użytecznym dla szerszego kulturowego – a dokładniej krytycznego – ruchu marksistowskiego, który w latach 70. i 80. przywiązał się do polityki tożsamościowej.

Jaki jest wspólny mechanizm wszystkich teorii krytycznych, np. krytycznej teorii rasy czy krytycznej teorii gender? Na pewno warto zauważyć, że w swoich nazwach odwołują się one do teorii krytycznej, czyli do ideologicznego produktu marksistowskiej szkoły frankfurckiej.

Wspólnym założeniem wszystkich teorii krytycznych jest upieranie się, że nasze doświadczenie społeczne, a więc nawet to,



Lukasz Czarnecki

Media raz po raz obiegają informacje o narastającym napięciu między Chinami a Tajwanem. Przewodniczący Xi Jinping co jakiś czas odgraża się siłową aneksją krnąbrnej wyspy, uznawanej przez jego reżim za część Państwa Środka, a Tajwańczycy przekornie odpowiadają, strasząc oficjalnym ogłoszeniem niepodległości i całkowitym zerwaniem więzów łączących ich kraj z Chinami

Ludzi mieszkających po obu stronach Cieśniny Tajwańskiej łączą silne kulturalne więzy, ale pod względem politycznym rozciąga się między nimi przepaść. Tajwan jest w końcu chroniącą prawa człowieka demokracją, podczas gdy Chińska Republika Ludowa to brutalnie gwałcąca owe prawa autokracja, która jeszcze niedawno była ludobójczym totalitaryzmem. Nowe pokolenia mieszkańców Pięknej Wyspy coraz mniej utożsamiają się z Państwem Środka, określając swoją tożsamość jako tajwańską.

Pekin i Tajpej dzieli więc coraz więcej i wszystko wskazuje na to, że ów proces będzie narastał. Istnieją jednak punkty wspólne w tradycji obu państw, z tym że ich interpretacja po obu stronach Cieśniny Tajwańskiej bywa diametralnie odmienna. Tak jest w przypadku bohatera tego artykułu – Zhenga Chenggonga (1624–1662) – szerzej znanego jako Koxinga. Zarówno dla Chińczyków z kontynentu, jak i mieszkańców Tajwanu jest on bohaterem narodowym, ba, zarówno na wyspie, jak i w prowincji Fujien czci się go wręcz jako boga! Szkopuł w tym, że o ile Pekin odwołuje się do tej postaci, by uprawomocnić pretensje do władzy nad Piękną Wyspą, o tyle wyspiarze robią to samo celem udowodnienia niepodległościowych tradycji swej

Chiński król piratów



Portret Zhenga Chenggonga (1624–1662) – szerzej znanego jako Koxinga

FOT. DOMENA PUBLICZNA/NATIONAL TAIWAN MUSEUM

ojczyzny i jej odrębności od Chin kontynentalnych. Jakby tego było mało, do Koxingi przyznają się też Japończycy!

JAKI OJCIEC – TAKI SYN

Kim właściwie był człowiek, którego na sztandary po równi biorą skrajnie wrogie sobie stronnictwa? Najprościej rzecz ujmując – piratem. Tyle że nie byle jakim! Koxinga znacząco różnił się od morskich rozbójników z Karaibów. Podczas gdy najślawniejszy z nich – Czarnobrody – w chwili największej prosperity dowodził czterema okrętami, jego dalekowschodni kolega po fachu miewał ich pod swoją komendą... nawet tysiąc. Prywatna flota Koxingi była liczniejsza niż wszystkie połączone ze sobą hiszpańskie czy holenderskie armady. Chociaż Koxinga wielokrotnie dowodził w trakcie swej kariery militarnej i politycznego geniuszu, to morskiej potęgi nie zbudował sam, lecz odziedziczył ją po swym ojcu Zheng Zilongu. Ten awanturnik z Na'nanu ojczystą prowincję Fujien opuścił pośpiesznie w roku 1604, gdy ojciec nakrył go na łózkowych figlach z ojcowską konkubiną. Młody Zheng rozpoczął życie pełne przygód, pracując kolejno w portugalskim Makao, na holenderskim Tajwanie i w japońskim Hirado. W tym ostatnim mieście poszczęściło mu się najbardziej, bo wszedł w spółkę z wszechpotężnym kupcem (a także piratem – obie aktywności na morzach Dalekiego Wschodu zwykle szły w parze) Li Danem oraz ożenił się z Japonką z samurajskiego rodu Tagawą Matsu, która w lipcu roku 1624 wydała mężowi na świat syna, Zhenga Chenggonga, zwanego później Koxingą. Właśnie z racji pochodzenia matki mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni zgłaszać mieli w przyszłości pretensje do postaci króla chińskich piratów.

Zilong z czasem przeniósł się z powrotem do Makao, gdzie zainteresował się katolicyzmem i ochrzcił, przyjmując imię Mikołaja. Konwersja nie przeszkodziła mu we wzięciu sobie po powrocie do ojczystych stron drugiej żony, a gdy zmarł Li Dan, neofita odziedziczył po nim flotę liczącą ponad 800 okrętów. Na jej czele rozwinął działalność piracką na taką skalę, że wkrótce stał się prawdziwym władcą prowincji Fujien.

Niemogący sobie z nim poradzić rząd w Pekinie problem rzucającego wyzwanie mu pirata rozwiązał w końcu w roku 1626... mianując go cesarskim admirałem!

POD CESARSKIM SZTANDAREM

W 1631 r. siedmioletni Koxinga opuścił Japonię i dołączył do ojca w Chinach. Kilka lat później ukończył z najwyższymi notami szkołę uczącą młodzież tradycji konfucjańskich, co umożliwiło mu w roku 1644 studia na uniwersytecie w Nankinie. Później zdał egzaminy urzędnicze i oficjalnie został mandarynem.

Tymczasem w Państwie Środka źle się działo. Przeżarte korupcją cesarstwo dynastii Ming waliło się pod swoim ciężarem. W kwietniu 1644 r. pod murami Pekinu stanęły hordy chińskich buntowników pod wodzą krwiożerczego watażki Li Zichenga. Niewidzając możliwości obrony cesarz Chongzhen powiesił się w pałacowym ogrodzie. Następnego dnia rebelianci

Pekin i Tajpej dzieli coraz więcej i wiele wskazuje na to, że ów proces będzie narastał. Istnieją jednak punkty wspólne w tradycji obu państw

weszli do miasta, rozpoczynając orgię grabieży, gwałtu i morderstw. Wśród ofiar rzezi była rodzina dowodzącego oddziałami strzegącymi Wielkiego Muru generała Wu Sangui. Gdy ten dowiedział się o losie swych bliskich od zbiegłej na północ konkubiny ojca (jego własną nałożnicę Li Zicheng ponoć osobiście zgwałcił), rozwścieczony otworzył mury twierdzy przed czającymi się po drugiej stronie fortyfikacji Mandżurami, którym zaoferował sojusz. Barbarzyńcy wpadli przez bramy Wielkiego Muru i jak burza przeszli przez północne prowincje Państwa Środka. Siły Li Zichenga zostały rozbite, a mandżurscy zwycięzcy zainstalowali w Pekinie własnego cesarza, ogłaszając początek rządów dynastii Qing.

Nowych panów nie uznały Chiny Południowe, gdzie schroniły się niedobitki dawnej dynastii. Miały one jeszcze długo walczyć przeciwko najeźdźcom pod

wodzą cesarzy pretendentów, z których najślawniejszy jest Yongli. Zapisał się on nawet w historii... Polski, wysyłając do papieża jako posła naszego rodaka – Michała Boyma, by ten prosił Ojca Świętego o zorganizowanie krucjaty przeciw Mandżurom. Warto tu podkreślić, że sam Yongli był katechumenem, a jego żona i syn przyjęli chrzest, a z nim imiona Heleny i Konstantyna.

Ojciec Koxingi dołączył do mingowskich lojalistów, służąc sprawie obalonej dynastii potęgą swej floty oraz bogactwem, za które najał siejące grozę wśród Mandżurów oddziały czarnych najemników z Mozambiku. W roku 1645 zmienił jednak front i wraz z przyrodniymi braćmi naszego bohatera poddał się nowemu reżimowi, który obiecał mu w zamian arystokratyczny tytuł. W Pekinie jednak zamiast w pałacu stary Zheng wyładował w lochu. Koxingę zdrada ojca oburzyła do żywego. On sam pozostał wierny sprawie Yongli i rychło miał stać się jej najważniejszym szermierzem. Wpływ na jego życiowe wybory miała osobista tragedia – w roku 1646 mandżurskie wojska zajęły miasto Anhai, gdzie przebywała matka naszego bohatera. Rozbestwieni żołdacy zgwałcili kobietę, a ona jak na samurajską córkę przystało popełniła samobójstwo, rzucając się z miejskich murów. Miasto wkrótce zostało odbite przez lojalistów, na których czele stał właśnie Koxinga. Gdy dowiedział się o losach Tagawy Matsu, odnalazł jej ciało wśród zalegających stosów trupów i urządził matce uroczysty pogrzeb. Przed złożeniem ciała do trumny dobył wedle legendy miecza i rozciął rodzicielce łono, by oczyścić je z nasienia gwałcicieli. Potem w lokalnej świątyni Konfucjusza młodzieniec spalił swe szaty mandaryna i oficjalnie zrywając tym samym ze spokojnym życiem uczonego, poprzysiągł Mandżurom wieczną nienawiść i straszliwą zemstę.

Młody Zheng stał teraz na czele liczącej tysiąc okrętów floty. Jego dżonki błyskawicznie przerzucały na kolejne fronty wojny lojalistycznych żołnierzy. Siły Qingów szybko przekonały się, jak trudno jest walczyć armią złożoną z kawalerii przeciwko wrogowi, który opiera swoją strategię na uderzeniach z morza. Król piratów stał się tak ważnym sojusznikiem dla ostatniego z Mingów, że ten mianował go generalissimusem, przyjął oficjalnie do cesarskiego klanu i nadał honorowe

■ imię Guoxingye, znaczące Ojciec Narodu. Miano to Japończycy odczytywali jako Kokuseny, co Holendrzy przekręcili na Koxingę i pod tym imieniem admirał ostatecznie stał się znany na Zachodzie.

Jako generalissimus nasz bohater zyskał wpływ na politykę zagraniczną reżimu, czego wyraz dał, wysyłając kilka poselstw do Japonii z propozycją zawarcia sojuszu. Szogunat prosił o dołączenie do walki z Mandżurami jednak odrzucił. Koxinga poprowadził też największą operację zbrojną wojny, gdy w roku 1659 na czele swej floty pożeglował w górę Jangcy i wziął w oblężenie Nankin. Wydawało się, że tradycyjna stolica południowych Chin zostanie zdobyta przez lojalistów, niestety, Ojciec Narodu popełnił bodajże jedyny błąd taktyczny w swojej karierze – gdy w trakcie oblężenia wypadły jego urodziny, pozwolił swoim ludziom uczcić je potężną hulanką. Kiedy następnego dnia żołnierze lojalistów leżeli jeszcze na wpół pijani lub walczyli z kacem, mandżurski garnizon dokonał wypadu i dokonał rzezi wrogiej armii. Koxinga i jego ludzie zostali zmuszeni do powrotu na pokłady dżonek i ucieczki. Na wieść o tej klęsce Yongli wraz z rodziną ewakuował się do Birmy. Nie oznaczało to jednak końca wojny – rok później, 17 czerwca, pod Amoy generalissimus posłał na dno olbrzymią mandżurską flotę stworzoną tylko po to, by rzucić mu wyzwanie na morzu.

TAJWAN NIE DLA HOLENDRÓW!

Niemogący sobie poradzić z Koxingą pekiński reżim w końcu poszedł po rozum do głowy. Króla piratów postanowiono zagłodzić. Mieszkańców nadmorskich miejscowości prowincji Fujien, którzy dostarczali flocie lojalistów zapasów, przesiedlono w głąb lądu, a ich domy i pola zniszczono. Wzdłuż wybrzeża powstał szeroki na 25 km pas wypalanej ziemi.

Tymczasem do Koxingi zaczęło docierać, że walczy w przegranej sprawie. Cesarz uciekł, jego zwolennicy się rozbiegli, a mimo dotychczasowych zwycięstw flota generalissimusa skurczyła się o połowę, licząc już tylko (sic!) 500 okrętów. W końcu zdecydował, że czas zadbać o własne interesy. Dotychczas był królem piratów, teraz zapragnął prawdziwej korony. Jego oczy padły na leżący u chińskich wybrzeży, lecz niekontrolowany dotychczas nigdy przez Państwo Środka Tajwan. To tu Koxinga

Oczyściwszy Piękną Wyspę z Europejczyków, piracki admirał proklamował powstanie Królestwa Tungning

postanowił wykroić sobie własne królestwo. Wyspa była w owym czasie kolonią holenderską. Nederlandzki garnizon liczył jednak tylko 1,2 tys. żołnierzy skupionych w fortach Provintii i Zeelandii, a nad przybyszami z Europy licznie górowali zarówno aborygeni, jak i sprowadzeni przez Holendrów do pracy na polach chińscy farmerzy. Ci ostatni nie pałali miłością do swych panów i Koxinga mógł liczyć na ich wsparcie w dziele podboju.

30 kwietnia 1661 r. potężna flota generalissimusa ruszyła w kierunku wyspy. Płynącym przeciwko nim 500 dżonkom Holendrzy mogli przeciwstawić... jeden okręt wojenny i trzy mniejsze jednostki. Wyniku stoczony na morzu bitwy łatwo się zatem domyślić. Chińczycy bez przeszkód dokonali desantu. Byli wśród nich nie tylko żołnierze, lecz także robotnicy, rolnicy i wszelkiej maści specjaliści. Gdy 4 maja w ręce Koxingi wpadła Provintia, jego ludzie natychmiast rozpoczęli budowę miasta, które miało stać się stolicą przyszłego królestwa. Chińscy farmerzy gremialnie opowiedzieli się po stronie rodaków. Holendrzy pod wodzą gubernatora Fredericka Coyetta utrzymali się tylko w Zeelandii. Król piratów wysłał im poprzez wziętego do niewoli kalwińskiego pastora Anthoniusa Hambroeka żądanie kapitulacji. Gdy posłowie wrócili z odmowną odpowiedzią, wściekły Koxinga pofolgował kontrreformacyjnym resentymentom, w których duchu go wychowano (pamiętajmy, że katolikiem był jego ojciec), i... ściał protestanckiego duchownego, a jego córkę zgwałcił i zamknął w swoim haremie. Podobny los spotkał większość mężczyzn z Provintii, a kobiety z ich rodzin oficerowie generalissimusa podzieliли między siebie.

Oblężenie Zeelandii trwać miało do końca stycznia 1662 r. Morale obrońców było fatalne i wkrótce zaczęła się plaga dezercji. W końcu niemiecki sierżant, który zbiegł do chińskiego obozu, pokazał Chińczykom

najślabszy odcinek murów. Szturm nań przyniósł efekty i 1 lutego flaga Koxingi załopotała nad zdobytym fortem. Tym razem zwycięzca okazał pokonanym łaskę i puścił ich wolno, pozwalając zabrać osobiste rzeczy – skarbiec Kompanii Wschodnioindyjskiej został jednak zarekwirowany.

Oczyściwszy Piękną Wyspę z Europejczyków, piracki admirał proklamował powstanie Królestwa Tungning. Miały to być mingowskie Chiny w miniaturze. Posady w administracji objęli zbiegli z kontynentu mandaryni, a ideologią państwową został konfucjanizm. Nowo koronowany król rychło zaczął szykować się do poszerzenia swych włości. Za cel kolejnej inwazji obrał Filipiny – zdobycie tych wysp miało być zemstą za dokonaną przez rządzących nimi Hiszpanów masakrę tamtejszej chińskiej ludności. Na władze kolonii padł błąd strach, nie miały bowiem najmniejszych wątpliwości co do wyniku potencjalnej inwazji.

Tymczasem z Chin na Tajwan zaczęły dochodzić złe wieści. Ojca i braci naszego bohatera w Pekinie zamęczono na śmierć, a cesarz pretendent Yongli dostał się w ręce Mandżurów i został wraz z całą rodziną uduszony cięciwą z łuku. Katem, który własnoręcznie wykonał wyrok na ostatnich Mingach, był nie kto inny, jak gen. Wu Sangui. 23 czerwca 1662 r. Koxinga podążył na tamten świat w ślady monarchy, któremu służył. Okoliczności jego śmierci owiane są tajemnicą, najprawdopodobniej został otruty przez zdrajcę. Tron odziedziczyli po nim kolejno syn i wnuk. Za rządów tego ostatniego w 1683 r. na Tajwan przeprawiła się flota dynastii Qing, która podbiła wyspę. Ostatniego władcę Królestwa Tungning przewieziono do Pekinu, gdzie spędził resztę życia w luksusowym areszcie domowym. Po raz pierwszy w dziejach Tajwan znalazł się w granicach cesarstwa chińskiego. Kiedy pod koniec XIX w. zaczęli doń zgłaszać pretensje Japończycy, rząd w Pekinie przypominał sobie o Koxindze i ku chichotowi historii dynastia, przeciwko której walczył król piratów, chcąc umocnić swoje prawa do Pięknej Wyspy, oficjalnie ogłosiła go bogiem. W tajwańskim mieście Tainan do dziś działa jego świątynia – w jej wnętrzu zasiada wielki drewniany posąg pirata, króla, a w końcu i boga, który zdaje się dumać nad tym, jak bardzo skomplikowane mogą być losy ludzi i narodów.

© 2016 Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Virtuti czy Grunwald?

Najwyższe polskie odznaczenie wojskowe, Order Virtuti Militari, ma skomplikowaną historię. Zależnie od losów Polski był plugawiony przez zaborców, władcy polskiej ziemi rozdawali go na lewo i prawo swoim urzędnikom i kolaborantom.

Wznowiony w 1919 r., miał świecić dawnym blaskiem. Ale już podczas wojny, gdy powstało polskie wojsko w Sowietach pod nominalnym dowództwem zdrajcy Z. Berlinga, był tam rozdawany obficie, aby „zrównoważyć” jego nadawanie w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie oraz w Polskim Państwie Podziemnym. Po zdobyciu władzy w Polsce przez komunistów rozpoczęły się dekoracje wprost groteskowe. Obficie dekorowani byli zwłaszcza „sojusznicy”, czyli nasi okupanci. Owego zaszczytu dostąpił nawet sekretarz generalny kompartii sowieckiej, czyli towarzysz Leonid Breżniew.

Jest też „odwrotna” strona historii VM. Otóż w listopadzie 1943 r. sowiecka agentura na ziemiach polskich, czyli PPR i GL, wymyśliła odpowiednik polskiego orderu, który miał całkowicie zastąpić VM jako odznaczenie „reakcyjnej Polski”. Był to Krzyż Grunwaldu (o dziwo krzyż, a nie np. motyw pięciopalcuszy, czerwonej gwiazdy). I rozpoczęło się jego pośpieszne rozdawanie zasłużonym towarzyszom, często metodą łapu-capu, to temu, to innemu. Istnym curiosum był np. wniosek

z 2 maja 1944 r. o odznaczenie KG niejakiego Zygmunta Bieszczanina... „medalem pod Grunwaldem”. Okazją do odznaczenia było „święto 1 maja” oraz... imieniny! Widocznie innych zasług Bieszczanin nie miał. Jak widać, nawet zagorzali komuniści nie wiedzieli, z czym mają do czynienia, a wniosek podpisał m.in. „komendant NKWD” w tej grupie AL, towarzysz Marian Borycki. Odznaczonemu podwładni życzyli, aby działał „aż do przewrótowania ustroju burżuazyjnego i zbudowania nowej Polski Robotniczo-Chłopskiej”.

Z racji zawiłości z nadawaniem VM w wojsku Berlinga w Polsce Ludowej order ten nie został zniesiony. Komuniści jednak cenili sobie bardziej KG niż VM, choć i tym nie gardzili. Wojciech Jaruzelski nadał sobie VM dopiero w 1966 r., gdy był już szefem Sztabu Generalnego „I” WP. Zarówno VM, jak i KG dostawali bandyci i mordercy Żydów, o ile byli przydatni władzy komunistycznej (tak było w przypadku Stefana Kilanowicza vel Grzegorza Korczyńskiego).

W III RP nie nadawano już VM, określając warunki na przyszłość: tylko w czasie wojny lub nie później niż pięć lat od zakończenia wojny. Nadawanie KG zakończono dopiero w 1992 r., ale żadnej z osób niegodnych nie pozbawiono owego „orderu”. Trudno zrozumieć, dlaczego przez trzy dekady nie usunięto go z wystroju Grobu Nieznanego Żołnierza! Tam komuna nadal trzyma się mocno. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki „Polityki”

Tygodnik słusznie uchodził za najważniejsze czasopismo epoki PRL. Wprawdzie oficjalnie popierano linię PZPR, ale z odcieniem polemiki. Bywały też sytuacje, kiedy pismo przechodziło do niemal jawnej opozycji, co redakcji groziło nieobliczalnymi konsekwencjami. Jego dzien-

glanca”, ale przyznawał, że był „ostatnim komunistą nietypowym”. Czasami zresztą zarzuty wobec Rakowskiego były rozmówieniami, jak w przypadku genezy imienia jego pierwszego syna. Opowiadano, że nadał imię chłopcu na cześć Lenina, podczas gdy żona Rakowskiego, skrzypaczka Wanda Wiłkomirska, wyjaśniała, że chodziło o Włodzimierza Horowitza.

„Kiedyś »Polityka« urządziła sylwestra w jakiejś leśniczówce w środku lasu – wspominał Jerzy Urban. – Zimno było tam niesłychanie, spaliliśmy pokotem na słomie. Rakowski zjechał przed samą północą, widocznie wcześniej musiał się bawić na jakimś ważniejszym przyjęciu w Warszawie. Ogromną weselość zespołu redakcyjnego wzbudził jego strój – ubrany był w smoking i koszulę z żabotami, plisami i koronkami, co w leśniczówce wyglądało śmiesznie. Wygłosił wtedy jedno z jego typowych, sentymentalnych przemówień”.

Małżeństwo z Wiłkomirską oznaczało dla MFR awans towarzyski. Skrzypaczka nadała mu szlif kulturalny, ogładę towarzyską, dzięki niej poznał sfery artystyczne stolicy. Pod jej wpływem nauczył się nawet śmiać. Wcześniej uważano go za „postać cokolwiek drętą, nieoszlifowaną, pozbawioną znajomości szerszego świata i poczucia humoru”. Jego „Dzienniki polityczne” ilustrują metamorfozę sztywnego aparatczyka w publicystę o wielkich ambicjach... ©©

Małżeństwo z Wiłkomirską oznaczało dla MFR niezwykły awans towarzyski

nikarze potrafili zachować się z godnością nawet w trudnych chwilach PRL.

Decyzję o powstaniu tygodnika podjęto 2 stycznia 1957 r. Początkowo na jego czele stał Stefan Żółkiewski, ale szybko dodano mu komisarza w osobie Mieczysława Rakowskiego, który niebawem został redaktorem naczelnym. Pozostał na stanowisku przez ponad ćwierć wieku, co nazywano erą MFR. Tak bowiem jej szef uwielbiał się podpisywać, czytelnie nawiązując do zachodnich wzorców.

Rakowski okazał się znakomitym redaktorem naczelnym, starannie dobierał zespół i specjalnie nie ingerował w jego pracę. MFR przez długie lata łączył dwie postawy: wierne aparatczyka i dziennikarza dla zespołu redakcyjnego. Stefan Kisielewski uważał go wprawdzie za „franta” i „mi-

Komuniści, dochodząc w 1944 r. do władzy, doskonale wiedzieli, że nie mogą w swojej narracji pominąć powstania styczniowego, jednego z najważniejszych zrywów narodowych, stanowiącego swoisty fundament polskiego patriotyzmu. Należało więc je jak najlepiej zaadaptować i ukazać społeczeństwu takie wątki, które wpisywały się w retorykę komunistów, a potem stopniowo, lecz skutecznie likwidować wszelkie obchody o charakterze masowym.

Nic zatem dziwnego, że jedna z tworzonych z ZSRS dywizji ludowego Wojska Polskiego otrzymała imię Romualda Traugutta, podobnie zresztą jak jeden z oddziałów komunistycznego Zgrupowania Partyzanckiego „Jeszcze Polska nie zginęła”, dowodzonego przez Roberta Satanowskiego.

W styczniu 1946 r. operacja sekowania obchodów powstania styczniowego jeszcze nie nabrała swojego tempa, gdyż w całym kraju zorganizowano 339 wieców dla jego uczczenia, co skrupulatnie odnotowywało Ministerstwo Informacji i Propagandy. Jak pisał Marcin Zaremba: „Nigdy później w dziejach PRL nie odbyło się tak wiele imprez w jednym czasie z okazji rocznicy właśnie tego powstania”. Z czasem powstanie styczniowe znika z mapy obchodów, staje się jednym ze zrywów przeciwko caratowi, omawianym na lekcji historii ze względu na swój postępowy charakter, kwestię uwłaszczenia chłopów oraz narodziny klasy robotniczej. Starano się sugestywnie dobierać bohaterów powstania, wpisując ich w portret rewolucjonisty-patrioty. W praktyce do obchodów stulecia powstania zniknęło ono z pola zainteresowań władz.

DEPREJONOWAĆ BURŻUAJĘ

Przygotowania do obchodów opisywał historyk Tadeusz Paweł Rutkowski: „W 1958 r. powołano Komitet Naukowy Obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego, a w jego ramach, pod egidą Frontu Jedności Narodu, powołano komisję ds. przygotowania obchodów setnej rocznicy Powstania Styczniowego, na czele której stanął prof. Henryk Jabłoński. Spośród składu komisji tylko dwóch historyków nie było członkami PZPR, mianowicie Stefan Kieniewicz i Stanisław Herbst”.

Potyczka oddziału
ks. A. Mackiewicza z Rosjanami,
epizod z powstania styczniowego
w 1863 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Przemilczane powstanie



Sebastian Ligarski

Od samego początku objęcia władzy w Polsce komuniści mieli problem z pamięcią o powstaniu styczniowym 1863–1864. Przez lata dokonywali jego reinterpretacji w taki sposób, aby jak najmniej było w nim opisów i odniesień do walki z Rosją (utożsamianej przez społeczeństwo w okresie PRL z ZSRS) oraz wywyższania i opisywania bohaterów tego zrywu narodowego

Według Marcina Zaremby przygotowania realizowane były w kierunku deprecjonowania dotychczasowych ustaleń w historiografii jako całkowicie fałszywych i mających burżuazyjny charakter. Selekcjonowano fakty i postaci, obalano dotychczas funkcjonujące mity, zastępując je nowymi i zgodnymi z wymogami ideologicznymi, gmatwając przyczyny, przebieg powstania i jego skutki, aby na koniec „uzyskać efekt w postaci »zgubienia« najważniejszego: przeciwko komu to powstanie wybuchło”.

Realizowano kampanię propagandową, której głównymi elementami były podkreślanie więzi Polski Ludowej

z walką narodowowyzwoleńczą przeciwko caratowi i zaborcy, z patriotycznymi i postępowymi tradycjami dziejów Polski; spopularyzowanie wiedzy o bojowym współdziałaniu powstańców z demokratami rosyjskimi, ukraińskimi i białoruskimi. Wskazywano, że powstanie spotkało się z poparciem Karola Marksa, Fryderyka Engelsa i I Międzynarodówki, co miało ukazywać solidarność socjalistycznego ruchu robotniczego z narodowowyzwoleńczą walką Polaków przeciwko zaborcom. Starano się ograniczyć jak najbardziej liczbę i masowość ewentualnych uroczystości, obawiając się antysowieckich wystąpień.

W dodatku – na co wskazuje Zaremba – zakazano publikacji w prasie artykułów na temat powstania do późnej jesieni 1962 r., a wszelkie imprezy o charakterze lokalnym musiały zyskać kontrasygnaty komitetu wojewódzkiego partii i zostać zaakceptowane przez centralę partyjną. Z obchodów wyłączone miały być szkoły, gdzie miano nie dopuścić do organizacji żadnych okolicznościowych uroczystości.

Wspomniany Tadeusz Paweł Rutkowski opisywał, że „22 stycznia 1963 roku została otwarta wystawa w Cytadeli Warszawskiej, z udziałem władz państwowych, I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki, przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego, premiera Józefa Cyrankiewicza, a także przedstawiciela ambasady Związku Sowieckiego. Wystawę przygotowano w ten sposób, by zawłaszczyć powstanie przez tradycję komunistyczną, to jest ruch powstańczy połączyć z ruchem z końca XIX wieku i doprowadzić w logicznym ciągu do Komunistycznej Partii Polski, i jednocześnie rozwodnić wymowę dokumentów świadczących o terrorze rosyjskim”.

Podczas uroczystości w Cytadeli przewodniczący rady Państwa, Aleksander Zawadzki, mówił, że powstanie styczniowe należało do postępowych tradycji w dziejach Polski i Europy, torujących drogę narodzinom „ruchu polskiej klasy robotniczej”, co było clou narracji władz w tamtym okresie. Po zakończeniu obchodów stulecia władze zadbały o rocznicę śmierci Romualda Traugutta w sierpniu 1964 r., składając kwiaty pod Bramą Straceń, uporządkowano też groby na Powązkach i zadbano o nie w całej Polsce.

Po dojściu do władzy Edwarda Gierka w grudniu 1970 r. nowy I sekretarz w przededniu kolejnej rocznicy powstania styczniowego, 19 stycznia 1971 r., ogłosił publicznie plan odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Inaczej „uczczono” rocznicę w Szczecinie. Tego dnia po raz kolejny strajk okupacyjny ogłosiła Stocznia im. Adolfa Warskiego i rozpoczęła protest, który zakończył się spektakularną debatą pomiędzy Edwardem Gierkiem a robotnikami w nocy z 24 na 25 stycznia tego roku. W 1981 r. Polskie Towarzystwo Archeologiczne i Numizmatyczne wydało medal pamiątkowy poświęcony powstaniu styczniowemu.

Po powstaniu NSZZ „Solidarność” w 1980 r. rocznica powstania styczniowego nie należała do tych, które były gremialnie obchodzone przez opozycję. Choć wielu z członków opozycji w swoich rodzinach miało przodków walczących w nim, warto wspomnieć choćby Kornela Morawieckiego.

W styczniu 1981 r. kolejna rocznica nałożyła się na konflikt o wolne soboty z władzami, co skutkowało strajkami, a potem kolejnymi rozmowami z władzami. Niewielkie rozmachem obchody tego roku zorganizowano w Warszawie. Natomiast Międzyzakładowy Komitet Założycielski w Piotrkowie Trybunalskim żądał od władz miasta „przywrócenia praw miejskich miejscowościom, które utraciły je wskutek represji po powstaniu styczniowym”.

ROZNICE WAŻNYCH WYDARZEŃ

Przy materialnych upamiętnieniach powstania styczniowego demonstrowano nie tylko w styczniu danego roku, lecz także organizowano uroczystości w rocznicę innych ważnych wydarzeń historycznych. Na przykład w Radomiu rocznicę tragicznego Grudnia 1970 r. uczczono przy pomniku płk. Dionizego Czachowskiego – bohatera powstania styczniowego. Jak pisali autorzy tekstu o NSZZ „Solidarność” Ziemi Radomskiej: „W ten sposób sugerowano, że walka przeciwko odwiecznemu wrogowi Polski – wówczas Rosji, teraz ZSRS – nie została zakończona i że Polska pozostaje pod radziecką okupacją”.

O powstaniu styczniowym szerzej przypomniano również w czerwcu 1983 r., do czego pretekstem była druga pielgrzymka Ojca Świętego Jana Pawła II do Polski. W trakcie jej trwania 22 czerwca 1983 r. na krakowskich Błoniach papież beatyfikował Rafała Kalinowskiego, karmelitę bosego, powstańca, Sybiraka.

Kornel Morawiecki pisał w „Biuletynie Dolnośląskim”: „Przed milionami ludzi, którzy nie czytają podziemnych gazetek, dla których perspektywy wyznaczała ciężka praca, rodzina i »DTV«, raptem otworzyły się nowe horyzonty. Usłyszeliśmy wszyscy, że ponad wmawianym nam ładem, porządkiem i spokojem stoją prawda, wolność i sprawiedliwość. Święci błogosławieni tu przez Papieża – Adam Chmielowski i Rafał Kalinowski – w imię

»bohaterskiej miłości [do] Ojczyzny« podnieśli oręż w powstaniu styczniowym i Sybirem, i kalectwem zaświadcanych »miłości, która daje życie za przyjaciół swoich«”.

Do przywołania powstania wykorzystano także dzień 31 sierpnia 1983 r. w Gdańsku, gdzie po zakończeniu mszy świętej były prezes KIK Zdzisław Nowicki odczytał modlitwę z okresu powstania styczniowego: „Przebaczymy naszym nieprzyjaciołom”, o czym wspominał historyk ks. Jarosław Wąsowicz.

W styczniu 1989 r. w Poznaniu w kościele oo. Jezuitów w rocznicę styczniowego zrywu narodowego działacze Konfederacji Polski Niepodległej oraz Solidarności Walczącej wygłosili przemówienia i przeszli pod ratusz. Tego samego dnia w Piotrkowie Trybunalskim po mszy św. w klasztorze oo. Jezuitów grupa ok. 650 osób przeszła na miejscowy cmentarz, gdzie umieszczony był pamiątkowy obelisk powstańców styczniowych. Jak pisano w raporcie SB, na czele tego pochodu szli działacze „Solidarności, którzy nieśli transparent »Solidarność Piotrków Trybunalski«, na cmentarzu odczytano apel dotyczący Powstańców, zaborów oraz 17 września 1939 r”.

W katedrze św. Jana przy ul. Świętojańskiej w Warszawie odbyła się również eucharystia poświęcona bohaterom z 1863 r. Po mszy św. ponad 200 osób ruszyło spod katedry przez plac Zamkowy i Krakowskie Przedmieście na plac Piłsudskiego, gdzie złożono wieńce przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Manifestacja została zorganizowana głównie przez działaczy Konfederacji Polski Niepodległej. W przededniu rocznicy powstania styczniowego, 21 stycznia 1989 r., tzw. nieznani sprawcy zamordowali nieustraszonego głosiciela prawdy o zbrodni katyńskiej ks. Stefana Niedzielaka.

Powstanie styczniowe z 1963 r. było także nieodłącznym elementem drugiego obiegu, szczególnie tzw. poczty obozowej. Eksponowano na nich przywódców powstania styczniowego czy błądzących z serią obrazów Artura Grottgera. Bez wątplenia nie cieszyło się ono jednak tak wielką estymą jak choćby powstanie warszawskie, na którego cześć wydano tysiące znaczków.

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Autor jest pracownikiem OBBH IPN w Szczecinie.



Jacek Przybylski

Żałosna próba nielegalnego „odzyskania władzy” przez sympatyków byłego prawicowego prezydenta Bolsonaro utrudni powrót do rządów konserwatystów nie tylko w Brazylii i da światowej lewicy nowy bat na prawicowych kandydatów

Gdy legendarny lewicowy przywódca Lula da Silva minimalną przewagą głosów pokonał jesienią ubiegłego roku nazywanego „Trumpem tropików” Jaira Bolsonaro, oddech wstrzymała nie tylko Brazylia, lecz także cała Ameryka Łacińska. Bolsonaro od dawna zapowiadał bowiem, że jeśli przegra, to nie uzna wyników wyborów.

W pierwszej turze, 2 października, Luiz Inácio Lula da Silva z lewicowej Partii Pracy (PT) otrzymał 48,43 proc. głosów, a walczący o reelekcję konserwatywny Jair Bolsonaro z Partii Liberalnej (PL) zyskał poparcie 43,2 proc. wyborców. Przedwyborcze sondaże przed drugą turą dawały Luli niewielkie prowadzenie nad Bolsonaro (średnio 47 proc. dla kandydata lewicy i 45 proc. dla lidera brazylijskiej prawicy). Ostateczne wyniki od tych prognoz różniły się nieznacznie. Oficjalnie Lula zdobył poparcie 50,9 proc. głosujących, a na Bolsonaro głosowało 49,1 proc. Zdaniem zwolenników lidera brazylijskiej prawicy odnotowanych incydentów przy urnach było na tyle dużo, że wybory powinny zostać unieważnione. On sam nie miał jednak wystarczających sił, aby zdecydować się na próbę przeprowadzenia zamachu stanu. W historii Brazylii nie było to co prawda nic nowego – w 1964 r. w wyniku przewrotu zbrojnego wojsko obaliło dążącego do wprowadzenia w kraju komunizmu prezydenta João Goularta, a władzę przejęli generałowie, ciesząc się dużym poparciem w kręgach Kościoła katolickiego. „Prześciowy” system rządów szybko się zmienił w wojskową dyktaturę, która rządziła Brazylią do roku 1985. Wybory prezydenckie w roku 2022

Koniec „Trumpa



budziły zaś największe emocje od czasu obalenia wojskowej dyktatury w latach 80. ubiegłego wieku.

NIEUDANA REWOLUCJA

Bolsonaro po przegranych wyborach prezydenckich publicznie puszczał, co prawda, oko do oficerów, mówiąc, jak dobrze było mu razem z nimi rządzić krajem, ale jego zwolennicy mieli świadomość, że były prezydent nie ma wystarczającego poparcia generacji, biznesmenów, duchownych oraz klasy średniej, aby zdecydować się na tak ryzykowne posunięcie. 3 listopada pokonany prezydent wezwał więc swoich zwolenników do zaniechania blokowania ulic i zaprzestania protestów, w których demonstranci oskarżali Lulę i jego ludzi

o oszustwa wyborcze. Mimo to eksperci i publiczność spodziewali się, że lider prawicy wzywający do walki z „neomarksistowskimi” siłami, które „ukradły mu zwycięstwo”, doprowadzi do powtórki ze scenariusza, który 6 stycznia 2021 r. wstrząsnął Ameryką, gdy zwolennicy Donalda Trumpa siłą wdarli się na Kapitol.

Jair Bolsonaro – świadom kłopotów, których po nieudanej próbie „powstania” doświadcza były republikański prezydent Stanów Zjednoczonych – wiedział jednak, że wprowadzić może nadal podburzać swoich sympatyków, ale absolutnie nie może jawnie stać na czele próby zmierzającej do odbicia władzy z rąk Silvy. Aby nie brać udziału w zaprzysiężeniu lewicowego przywódcy 1 stycznia, już 30 grudnia Bolsonaro wraz z żoną oraz z grupą

tropików”?



Według danych brazylijskiej policji w szturmie na budynki rządowe wzięło udział ok. 9 tys. zwolenników byłego prezydenta FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

najbliższych współpracowników opuścił Brazylię i udał się do Stanów Zjednoczonych, deklarując jednocześnie, że „niebawem wróci do kraju”. Wielu zwolenników konserwatywnego polityka, który obiecuje rozprawienie się zarówno z neomarksistami, jak i z potężnymi grupami przestępczymi, naprawdę uważa, że Lula zwyciężył w wyniku oszustwa. W niedzielę 8 stycznia – gdy lewicowy prezydent przebywał na południu kraju w stanie São Paulo – tysiące sympatyków Bolsonaro przedarło się przez policyjne kordony i wdarło do budynków administracji rządowej, Kongresu oraz pałacu prezydenckiego. Celem ataku ze strony radykalnych sympatyków byłego prezydenta – z których tysiące do stolicy przybyło autorami z całego kraju – była również siedziba Sądu Najwyższego.

Protestujący twierdzą – nie przedstawiając jednak na to żadnych dowodów – że październikowe wybory zostały sfałszowane, i wzywają siły zbrojne do przeprowadzenia zamachu stanu.

BEZ GRUBEJ KRESKI

Władzom udało się zapobiec zamachowi stanu. Policja po kilku godzinach odbiła budynki rządowe. Próba rewolty wzmocniła nowego lewicowego prezydenta, który błyskawicznie powrócił do stolicy Brazylii i zyskał międzynarodowe poparcie. Szturm sympatyków przegranego prezydenta jasno potępił amerykański prezydent Joe Biden oraz jego doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Jake Sullivan. „Demokracja nie jest doskonała. Bywa, że tylko 50 proc. + 1 wyborców

CHAOS W BRAZYLII

jest zadowolonych. Ale nic lepszego nie wymyślono, by zapewnić ludziom pomyślność. Stąd instytucje demokratyczne, w tym wybory, to świętość. Prezydent @LulaOficial wygrał i ma poparcie demokratycznego świata, w tym Polski!” – napisał w nocy z niedzieli na poniedziałek na Twitterze prezydent Andrzej Duda.

Atak na budynki administracji rządowej na Twitterze potępił w tym serwisie również sam były prezydent Brazylii Jair Bolsonaro. „Pokojowe manifestacje, w formie zgodnej z prawem, stanowią część demokracji. Jednak wtargnięcia do budynków publicznych, jakie miały miejsce dzisiaj, a także były praktykowane przez lewicę w 2013 r. i 2017 r., wymykają się tej regule” – podkreślił były brazylijski przywódca. Odrzucił jednocześnie insynuacje lewicowego prezydenta Luli, który zarzucił swemu poprzednikowi, iż ten przyczynił się do rebelii 8 stycznia, podkreślając, że to jedynie „oskarżenia bez dowodów”.

Według komunikatu policji w ataku na najważniejsze urzędy w państwie wzięło udział ponad 9 tys. osób. Co prawda, większość uczestników szturmów po interwencji służb bezpieczeństwa wycofała się i rozprzeczła po ulicach stolicy, ale wielu radykalnych sympatyków byłego prezydenta zatrzymano i wtrącono do cel. Wbrew nadziejom na brazylijską „grubą kreskę” nie mogą liczyć na łagodne traktowanie. Prezydent Lula nazwał uczestników szturmów na stolicę „wandalami i faszystami, którzy muszą ponieść karę”. Zgodnie z zapowiedziami władz akt oskarżenia ma być skierowany wobec ponad 1,2 tys. osób z 1,5 tys., które zostały aresztowane podczas niedzielnych zamieszek, a następnie przewieziono do akademii policyjnej w Brasílii. W środę w aresztach przebywało wciąż ponad pół tysiąca uczestników niedzielnych zamieszek. Nie było informacji o zabitych, choć nie obyło się bez rannych – w zamieszkach rany odniosło ok. 50 osób.

W poniedziałek 9 stycznia brazylijski dziennik „O Globo” poinformował, że Jair Bolsonaro trafił do szpitala w Orlando na Florydzie z powodu bólu brzucha (były prezydent ma regularnie kłopoty z zatorami w jelitach po tym, jak podczas kampanii prezydenckiej w roku 2018 został dźgnięty nożem). We wtorek 10 stycznia na Facebooku pojawiło się jednak nagranie, na którym Bolsonaro

■ otwarcie kwestionował zwycięstwo Luli w wyborach. „Lula nie został wybrany przez lud. Został wybrany przez Sąd Najwyższy” – ogłosił były prezydent, snując teorię spiskową, według której sady i komisje wyborcze sfałszowały wybory na korzyść Luli. I chociaż Bolsonaro usunął kontrowersyjne nagranie wideo, to część jego zwolenników zinterpretowała je jako jednoznaczne wezwanie do działania.

W obawie przed kolejnymi protestami na wielką skalę – o organizację „megademonstracji w celu odzyskania władzy” apelowali zwolennicy przegranego prezydenta – w ubiegłym tygodniu do stolicy ściągnięto ogromne siły bezpieczeństwa, w tym oddziały wojska. Żołnierze strzegli m.in. okolic pałacu prezydenckiego, a także brazylijskiego Kongresu. Odpowiedź zwolenników byłego prezydenta na jego apel była więc tym razem bardzo mierna. Na „megaprotestie” w największych miastach Brazylii zjawili się niewiele osób. A w niektórych miejscach, jak choćby na plaży Copacabana w Rio de Janeiro, protestujących było mniej niż relacjonujących to wydarzenie dziennikarzy.

Władze ukarały firmy, które wspierały działania demonstrantów, np. opłacając autokary dla demonstrantów, wymierzając im kary sięgające 100 tys. realów brazylijskich (równowartość ok. 85 tys. zł). Władze żądały również od administratorów działających w kraju mediów społecznościowych – Facebook, Twitter, TikTok – o blokowanie kont osób podejrzanych o działalność kryminalną i uprawiających „antydemokratyczną propagandę”.

Brazylijska prokuratura 11 stycznia wystosowała oficjalny wniosek do Trybunału Obrachunkowego o przejęcie wszystkich dóbr należących do byłego prezydenta. W tarapatkach znalazł się nie tylko Bolsonaro. Sędzia Sądu Najwyższego Alexandre de Moraes w niedzielę wieczorem zawiesił na 90 dni gubernatora stanu federalnego, w którym znajduje się stolica kraju Brasília – Ibaneisa Roche, zarzucając mu zaniedbania w dziedzinie bezpieczeństwa. Ostatecznie zarówno Rocha, jak i były sekretarz ds. bezpieczeństwa stanu Anderson Torres stracili stanowiska pod zarzutem „niedopełnienia obowiązków”. W przypadku obu urzędników prokuratura również wystąpiła z wnioskiem do



Bolsonaro (na zdjęciu) otwarcie zakwestionował zwycięstwo Luli w wyborach prezydenckich. FOT. S. LIMA/AFP/EAST NEWS

Trybunału Obrachunkowego o przejęcie osobistych majątków. Niewykluczone, że nie skończy się wyłącznie na konsekwencjach finansowych. Brazylijski Trybunał Obrachunkowy ma bowiem możliwość nie tylko nakazania pokrycia ogromnych strat spowodowanych przez atak na biurową administrację rządową, lecz także nałożenia na urzędników zakazu pełnienia funkcji publicznej aż do ośmiu lat.

Siłom bezpieczeństwa udało się również w ubiegłym tygodniu zlikwidować obozy zwolenników Bolsonaro przed bazami wojskowymi, a także odblokować większość dróg. Służby bezpieczeństwa postawiono na nogi nie tylko w stolicy, lecz także w innych brazylijskich miastach.

Według sondażu przeprowadzonego przez Atlas Intelligence, niemal 40 proc. ankietowanych nadal uważa, że Lula nie zdobył w wyborach więcej głosów niż Bolsonaro, mimo że wybory były monitorowane przez wielu międzynarodowych obserwatorów i zostały uznane za wolne i uczciwe.

Wielu przeciwników politycznych byłego prezydenta uważa, że zarzuty prokuratorskie powinien usłyszeć sam Bolsonaro. „Bolsonaro zamieścić wideo na swoim Facebooku, mówiąc otwarcie, że Lula NIE został wybrany przez naród. To był bezpośredni atak” – tłumaczył aktor, pisarz i youtuber Felipe Netto, cytowany przez „Financial Times”. Jak zauważa amerykańska publiczna rozgłośnia radiowa PBS, Joe Biden jest pod coraz większą presją, aby wydać z USA byłego prezydenta Brazylii. Dla lewicowego gospodarza Białego Domu wydalenie Bolsonaro może być politycznie opłacalne. Wzmocniłoby bowiem notowania Bidena nie tylko u Luli, lecz także u lewicowych liderów, którzy niedawno przejęli władzę w takich krajach jak Chile czy Kolumbia. Na razie Departament Stanu zauważył jedynie, że na wizie

A-1 Bolsonaro może przebywać w USA maksymalnie 30 dni.

WYSOKA INFLACJA I KOSZMARNY PRZESTĘPCZOŚĆ

Sytuacja w Brazylii – najludniejszym i największym państwie Ameryki Łacińskiej – jest trudna i bez prób dokonywania zamachu stanu. Podzielony politycznie kraj próbuje wykaraskać się z najgorszej recesji w swojej historii. Wzrost gospodarczy wciąż jest zbyt mały, za to inflacja nadal szaleje. Do tego – jak zauważyła działająca w Waszyngtonie organizacja Freedom House – pandemia COVID-19 doprowadziła do skokowego wzrostu bezrobocia, a ubóstwo i nierówności społeczne od 2014 r. wzrosły w Brazylii najbardziej ze wszystkich państw Ameryki Łacińskiej. Według autorów raportu Brazylijskiego Instytutu Geografii i Statystyki (IBGE) z grudnia ubiegłego roku ponad 62 mln. Brazylijczyków, czyli niemal co trzeci mieszkaniec tego kraju, żyje na skraju ubóstwa. Kraj wciąż boryka się z koszmarnie wysoką przestępczością: pod względem liczby morderstw na 100 tys. mieszkańców Brazylija zajmuje miejsce w pierwszej dwudziestce najbardziej niebezpiecznych państw świata. Utrapieniem są też napady z bronią w rękę, porwania dla okupu, a także panosząca się korupcja.

Niezadowolenie z „upadłych demokratycznych rządów” sprawia, że na ulicach wielkich miast rządzą lokalne mafie. Coraz więcej władzy jest również w rękach generałów, którzy od 2018 r. znów zasiadają m.in. na czołowych stanowiskach w resorcie obrony (wcześniej, po obaleniu wojskowej dyktatury, na ministrów obrony wyznaczani byli cywile).

Październikowe wybory prezydenckie były starciem dwóch zupełnie odmiennych wizji Brazylii. Niestety, lewica o włos wygrała tę bitwę. Zachowanie radykalnych zwolenników Bolsonaro, podobnie jak dwa lata wcześniej zachowanie radykalnych sympatyków Trumpa, nie ułatwia, lecz utrudnia odzyskanie władzy przez konserwatystów. Widać to choćby w USA, gdzie mimo kiepskich rządów Bidena, przez rozbudzone ambicje Trumpa, Partia Republikańska nie odzyskała Kongresu. Ataki na instytucje rządowe w USA i Brazylii w walce wyborczej lewicowi liderzy wykorzystywać zaś będą nie tylko w Ameryce, lecz także w Europie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jak Maroko ogrywa UE



Małgorzata Wołczyk

Macki dyplomacji marokańskiej nie są ani nowe, ani ograniczone do Europy, ale od ponad dekady rozprzestrzeniają się na inne kręgi władzy na całym świecie



Jak podpowiadają algorytmy wyszukiwarki, przeciętny Polak zainteresowany jest Marokiem zazwyczaj wtedy, gdy potrzebuje hasel do krzyżówki. Wysoka pozycja marokańskiej reprezentacji na mundialu obróciła oczy świata na ten mały i zdawałoby się niepozorny kraj. Czy rzeczywiście niepozorny? Nic bardziej mylnego – Maroko od dekad brawurowo rozgrywa Europę, jest pieszczochem USA, a geopolityczny spryt klanu Alawitów powinien zawstydzić nas, Polaków, którzy przywykliśmy głównie umierać za ojczyznę, zamiast żyć, umiając przy tym zmusić innych, aby szanowali nas i nasze miejsce na mapie.

Maroko jest najbardziej wysuniętym na zachód krajem arabskim i jest częścią regionu Maghrebu. Właśnie z tego szczególnego położenia geograficznego wywodzi się jego arabska nazwa al-Magrib, co oznacza: zachód. Kraj ma arabsko-afrykańskie korzenie i jest silnie związany ze swoimi tradycjami i religią (islam sunnicki), a jednak swoją politykę zagraniczną kieruje przede wszystkim ku Europie, nie wyrzekając się przy tym swojej kultury i zwyczajów. W opinii ekspertów jest to jeden z arabskich narodów wyznania muzułmańskiego, który najlepiej potrafi pogodzić islam z wymaganiami nowoczesnego społeczeństwa. Dobrym obrazkiem na potwierdzenie tych słów był skład reprezentacji Maroka, czyli najmniej narodowa drużyna na mundialu: aż 15 piłkarzy urodziło się poza granicami kraju (trzech w Belgii, trzech w Hiszpanii, trzech we Francji, czterech w Holandii, jeden we Włoszech i jeden w Kanadzie), a jednak wybrali barwy ojczyzny, bo tak silna jest identyfikacja z ziemią rodziców i tożsamością.

Chcąc lepiej zrozumieć Maroko, trzeba pamiętać, że obecny król, Muhammad VI, pochodzi z dynastii Alawitów, która uważa się za potomków Mahometa z linii jego córki Fatimy. Dlatego król domaga się publicznego uznania swojej rodziny za potomków proroka i spadkobierców kalifów, jest też zarówno przywódcą państwowym, jak i duchowym Maroka. To z nim spotkał się w 2019 r. papież Franciszek, aby rozmawiać o tolerancji i dialogu między islamem a katolicyzmem. Oprócz bajecznego majątku szacowanego na 5 mld euro Muhammad VI słynie z trybu życia, który przeczy

FOT. ANDRZEJ STOK

podstawowym nakazem jego religii. Jest jednym z najbogatszych monarchów, a magazyn „Forbes” zwykł umieszczać go w pierwszej dwudziestce najbogatszych ludzi świata, do czego – jak twierdzą moi znajomi Hiszpanie – dokładamy się także my, Polacy, i wszystkie kraje członkowskie Unii Europejskiej. W jaki sposób?

Najprościej zacytować „El Pais” z 15 sierpnia 2022 r.: „Maroko otrzyma więcej pieniędzy niż kiedykolwiek od UE na kontrolowanie swoich granic. Bruksela finalizuje pakiet o wartości co najmniej 500 mln euro, z którego zostanie pokryta część wysiłków Rabatu na powstrzymanie nielegalnej imigracji. Te nowe ramy finansowe, które obejmują lata 2021–2027, znacznie przekraczają (prawie o 50 proc.) 343 mln euro z poprzednich ram. [...] Negocjacje w sprawie tych 500 mln trwały od miesiący. Rabat utrzymał wysokie oczekiwania i żądania dotyczące dystrybucji funduszy europejskich”.

Pomimo przyznania tak ogromnych funduszy Maroko uważa, że nie pokrywają one jego wydatków na rzecz powstrzymywania imigracji i wykrywania komórek dżihadystycznych, do czego zobowiązało się umowami stowarzyszeniowymi z UE.

GEOPOLITYCZNE ZNACZENIE MAROKA

Geopolityczne znaczenie Maroka wzrosło po globalizacji i sprawiło, że stało się ono nie tylko dla sąsiedniej Hiszpanii, lecz także dla Europy i USA jednym z krajów priorytetowych w zakresie strategicznej współpracy w kwestiach bezpieczeństwa: kontroli granic, przestępczości zorganizowanej i terroryzmu (zwłaszcza dżihadyzmu). Zniesienie granic wewnętrznych między większością krajów europejskich, przyjęte w układzie z Schengen, uczyniło Maroko bramą łączącą Afrykę i świat arabski z Europą. Klan Alawitów, rozpoznawszy swoją doniosłą rolę w geopolityce, nauczył się rozgrywać swoje interesy dość odważnie, a jeszcze częściej – nieczysto.

Jak długie i skuteczne są macki Maroka, usłyszeliśmy dopiero, kiedy wybuchła afera ohrzczona mianem „Katargate”, choć właściwie powinna mieć inną nazwę. Jak mówią belgijskie służby: „Katarczyści tak naprawdę wciągnęli się po latach w spisek zorganizowany przez Marokańczyków”. Na pierwszy plan wyszły nazwiska i twa-



Obecny król Maroko Muhammad VI pochodzi z dynastii Alawitów, która uważa się za potomków Mahometa z linii jego córki Fatimy FOT. AURELIEN MEUNIER/GETTY IMAGES

rze europosłów podkupionych, aby przeorientować politykę zagraniczną UE na korzyść Maroka. Królestwo Alawitów ma wiele interesów do obrony w Brukseli, począwszy od rybołówstwa i układów stowarzyszeniowych z UE, przez marokański charakter Sahary, na unikaniu wyroków skazujących za łamanie praw człowieka skończywszy. Co prawda, „wyłowiono” skorumpowanych posłów, ale – jak pokazała praktyka – już w końcówce roku zapadały w UE decyzje, które faworyzują Maroko względem sąsiadującej Hiszpanii. O dziwo, pomimo solidnych przesłanek wskazujących na Maroko PE zatwierdził większością głosów rezolucję nakładającą sankcje jedynie na Katar.

MAROKAŃSKA ENERGIA PRZYSZŁOŚCI

Inwestycyjne ramie Unii Europejskiej, czyli Europejski Bank Inwestycyjny (EIB), przedstawiło właśnie badania dotyczące potencjału zielonego wodoru w Afryce. W raporcie podkreślono zdolność Maroka do wykorzystania potencjału energii słonecznej i produkcji czystego gazu, w którego produkcję tak bardzo angażuje się Bruksela. Królestwo Alawitów może więc przejąć produkcję tego, co nazywa się energią przyszłości. Spotkało się to ze słusznym oburzeniem Hiszpanii, ponieważ nie wiedzieć czemu uznano, że to Maroko (spoza UE) lepiej spełnia dwa kluczowe warunki goszczenia zielonego gazu: ma dużo słońca i przestrzeni.

Bruksela zaczyna postrzegać kontynent afrykański jako strategicznego partnera, który ma zagwarantować dostęp do czystej i zrównoważonej

energii oraz stać się globalnym graczem energetycznym dzięki eksportowi zielonego wodoru. „Wykorzystanie energii słonecznej w Afryce do produkcji 50 mln ton zielonego wodoru rocznie do 2035 r. może pomóc w zabezpieczeniu globalnych dostaw energii, tworzeniu miejsc pracy, dekarbonizacji przemysłu ciężkiego, poprawie globalnej konkurencyjności i zmianie dostępu do czystej wody i zrównoważonej energii” – podkreśla się w raporcie. Dodatkowo „produkcja i przesyłanie ekologicznego wodoru mogą wiązać się z inwestycją w wysokości jednego biliona euro i odpowiadającym jej ogromnym wzrostem PKB, tworząc setki tysięcy stałych i wykwalifikowanych miejsc pracy w całej Afryce”.

Wydaje się więc, że komisarzom zupełnie nie przeszkadza jakość tamtejszych demokracji, aby otworzyć kurek z inwestycjami i hojnie rozdawanymi funduszami z kieszeni wszystkich członków UE.

UNIJNE MILIONY NA OLIWKI W MAROKU

Fakt, że kilka tygodni temu Maroko otrzymało poprzez „Zielony Program UE” kwotę szacowaną na 115 mln euro „na zainwestowanie w zasadzenie 600 tys. drzewek oliwnych” (znów ku rozgoryczeniu pominętej Hiszpanii), może dawać do myślenia nam, którzy śledzimy już bez większych nadziei ten konwulsyjny taniec o należne nam środki z KPO. Opozycja wciąż wmawia Polakom, że nasz sukces gospodarczy zawdzięczamy funduszom unijnym, stąd należy bez szemrania łożyć do wspólnej kasy w ramach solidarności europejskiej, podczas

gdy program wsparcia dla Maroka i jego rolnictwa trwa w najlepsze od 2012 r. i tylko prawa strona Hiszpanii (VOX) wydaje się sprzeciwiać permanentnym uderzeniom w ich żywotne interesy.

Organizacja rolnicza ASAJA Jaén opublikowała sprzeciw: „Nie do zaakceptowania jest to, że teraz, kiedy mamy nową WPR (wspólną politykę rolną) i wraz z nią ryzykujemy przyszłość rolnictwa europejskiego, do Maroka nadal napływają pieniądze, aby promować jego rolnictwo z ogromną szkodą dla rolnictwa europejskiego”. Susza i pożary w Hiszpanii spowodowały katastrofalne zbiory, a mimo to Bruksela uznała, że musi wspomóc rolników marokańskich. Pytanie, jak bardzo funkcjonariusze unijni uwikłani są w korupcyjne układy z Marokiem, pozostaje retoryczne. Alawici już wcześniej wykorzystywali pomoc z Brukseli, np. do eksploatacji plantacji pomidorów i melonów w Saharze Zachodniej (terytorium poza umową handlową z UE), skazując rolników hiszpańskich na przegraną w nieuczciwej konkurencji.

IMPERIUM SZPIEGOWSKIE MAROKA

Macki dyplomacji marokańskiej nie są ani nowe, ani ograniczone do Europy, ale od ponad dekady rozprzestrzeniają się na inne kręgi władzy na całym świecie. Już w 2018 r. belgijskie służby bezpieczeństwa zareagowały zdecydowanie, aresztując „marokańską Matę Hari” – Kaoutar Fal, kobietę szpiega, która z pewnym sukcesem próbowała zinfiltrować Parlament Europejski. Rok po wydaleniu agentki były belgijski premier i obecny przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel stał się celem marokańskich służb za sprawą oprogramowania Pegasus. Francuski dziennik „Le Monde” ujawnił w 2019 r. aferę szpiegowania Pegasusem prezydenta Macrona, premiera i kilku członków rządu przez „niezidentyfikowane marokańskie służby szpiegowskie”. Oczywiście, jakżeby inaczej, Maroko wszystkiemu zaprzeczyło, choć jest prawdziwym „imperium” służb wywiadowczych: ma ich łącznie ok. piętnastu.

Najważniejszą z nich jest marokański wywiad i kontrwywiad – DGED (Direction Générale des Études et de la Documentation) reprezentowany we wszystkich ambasadach i konsulatach Maroka. Jest zależny od sił zbrojnych i dysponuje

budżetem szacowanym na 100 mln euro. Jego szefem jest gen. Yassin Mansouri, przyjaciel Muhammada VI z lat młodości. DGED ma ok. 4 tys. agentów rozmieszczonych na ogół w Afryce, Azji i Europie, z których tylko 1,6 tys. to cywile, a reszta to wojskowi. Wewnętrzne raporty służb specjalnych Hiszpanii powtarzają, że marokańskie szpiegostwo jest, po rosyjskim, „najbardziej agresywne”.

W 2022 r. rząd hiszpański zdecydował się ujawnić, że także telefony komórkowe Pedra Sáncheza i kilku jego ministrów zostały zainfekowane Pegasusem. Królestwo Muhammada VI prowadzi systematyczne szpiegostwo bez skrupułów, tak przeciwko swoim poddanym, jak przeciwko zagranicznym urzędnikom. To też domniemany powód, dla którego niektórzy komisarze unijni czy liderzy państw drżą o tajemnice będące w posiadaniu króla Maroka i mogą być podatni na korupcyjne propozycje. Nawet słynna napaść na hiszpańską Ceutę 17 maja 2021 r., gdy w przeciągu jednego dnia przetrzucono 8 tys. imigrantów arabskich – głównie nieletnich, w ramach zemsty za gest Hiszpanii względem znieprawdzonego przez Maroko algierskiego przywódcy Frontu Polisario – nie spotkała się z adekwatną reakcją ze strony komisarzy unijnych. Owszem, wypowiedziano kilka okrągłych formuł potępiających ataki na granicę i wspierający Hiszpanów, lecz nie zdecydowano o podjęciu żadnych kroków wzmacniających południową granicę Schengen.

Cały ten imposybilizm europejski względem marokańskiego króla satrapy, który szantażuje i ogrywa eurokratów (lub ich przekupuje), może dziwić Europejczyków, ale w przypadku Hiszpanii sytuacja może przerodzić się w konflikt. Rabat zgłasza coraz bardziej absurdalne roszczenia terytorialne wobec Madrytu, a tereny, które uważa za historycznie „swoje” (Ceuta, Melilla, Wyspy Kanaryjskie), podstępnie zaludnia nieprzerwaną falą swoich imigrantów. Pikanterii dodaje to, że ogromna większość „uchodźców” to młodzi mężczyźni po obowiązkowej służbie wojskowej w Maroku. Dzięki mafiom i NGO-som operującym na morzu w samym tylko 2022 r. przedostało się nielegalnie do Hiszpanii 29 999 osób (statystyki są z całą pewnością zaniżone), więc ogromny „haracz”, jaki płaci UE, a także Madryt na rzecz sąsiada z Południa, okazu-

je się daremny, bo zwyczajnie nie ma woli politycznej z żadnej strony, aby zatrzymać napływ ludzi z Afryki.

Problem w tym, że Maroko zachowuje się agresywnie nie tylko wobec swego odwiecznego rywala i wroga – Algierii, lecz także wobec Hiszpanii, z którą oficjalnie łączy je partnerskie więzi. To dlatego czerwcowy szczyt NATO w Madrycie, który miał nam przynieść wzmocnienie bezpieczeństwa wschodniej flanki sojuszu, był też gardłowo ważny dla mieszkańców Półwyspu. Hiszpanie oczekiwali klarownej odpowiedzi, czy NATO zareaguje, gdy Maroko zaatakuje Ceutę i Melillę w kolejnym akcie hybrydowej wojny. Chociaż Hiszpania jest jednym z krajów członkowskich sojuszu atlantyckiego, to dwa hiszpańskie autonomiczne miasta nie są objęte parasolem obrony, bo znajdują się na terytorium Afryki. Artykuł 6 stanowi, że obronę zbiorową można zastosować tylko wtedy, gdy wspomniane ataki mają miejsce w Europie, Ameryce Północnej lub na terytoriach wyspiarskich na Atlantyku na północ od zwrotnika Raka. Istnieją więc terytoria należące do państw członkowskich, które znajdują się poza parasolem NATO.

Rytualne potakiwanie ze strony sekretarza NATO Jensa Stoltenberga nie przyniosło jednak Hiszpanom spodziewanej ulgi, bo sprawczość i zuchwałość Maroka w egzekwowaniu swoich roszczeń jest już przysłowiowa. Również dlatego, że za plecami Maroka stoi jego „odwieczny” największy sojusznik: USA. Maroko było jednym z pierwszych krajów, które w środku wojny o niepodległość uznało 13 zbuntowanych kolonii za suwerenne państwo. Oba kraje podpisały traktat o przyjaźni w 1786 r. Według Departamentu Stanu USA jest to najdłuższy obowiązujący traktat o przyjaźni podpisany przez ten kraj.

Co znaczy móc liczyć na tak potężnego protektora i jak zadbać o uprzywilejowane relacje z Waszyngtonem? O tym z uwagi na rozmiary tego arcyciekawego tematu (choć dziwnie zaniechanego w Polsce) w następnym tekście. Z małym ryzykiem można wysunąć tezę, że niestety, Polacy mają się czego uczyć od przebiegłego kłanu Alawitów. Umiejętnie rozgrywane położenie geopolityczne potrafi być trampoliną do sukcesu i sposobem na upokorzenie nawet największych potęg.

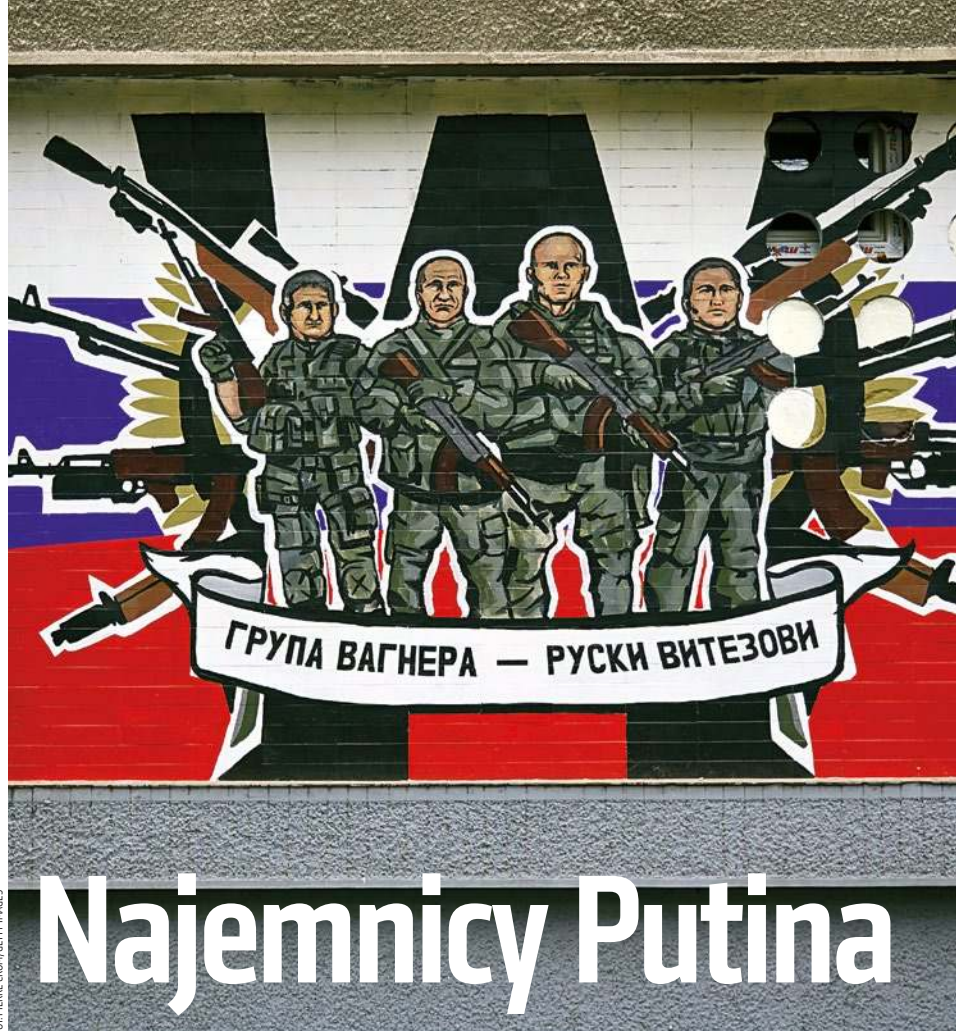


Maciej Pieczyński

Kierowana przez neonazistę prywatna grupa wojskowa. Zaprawiona w bojach od Ukrainy do Sudanu, od Mali do Syrii. Najemnicy, finansowani przez „kucharza Putina”. Znani raczej ze zbrodni wojennych niż ze spektakularnych zwycięstw na froncie. Kim są wagnerowcy?

Znajdujemy się teraz w centrum Sołedaru. CzWK Wagner wykonuje swoje zadanie – poinformował jeden z najemników na nagraniu opublikowanym w ubiegły wtorek w mediach społecznościowych. W tle widać budynek administracji miejskiej. To właśnie wagnerowcy brali udział w szturmie na Sołedar – niewielką miejscowość w obwodzie donieckim, której zdobycie miało Rosjanom ułatwić okrążenie o wiele ważniejszego Bachmutu. Działania grupy mocno promuje jej sponsor – wpływowy oligarcha Jewgienij Prigożyn. Nazywany „kucharzem Putina” restaurator, właściciel fabryki trolli internetowych w służbie Moskwy, wielokrotnie podkreślał, że w walkach o Sołedar nie brały udziału żadne inne jednostki oprócz wagnerowców. Prigożyn w przeszłości wielokrotnie krytykował rosyjskich dowódców wojskowych. Podobnie zresztą jak Ramzan Kadyrow. O ich sojuszu mówi się zresztą od dłuższego czasu. Prigożyna i Kadyrowa łączy status okołokremlewskich „jastrzębi” – zwolenników eskalacji konfliktu. Łączy ich również to, że obaj kierują owianymi złą sławą formacjami zbrojnymi, luźno związanymi z regularną armią Federacji Rosyjskiej. Dla Prigożyna wydatny udział wagnerowców w walkach o Sołedar i Bachmut może być w przyszłości istotną kartą przetargową w walce o wpływy na Kremlu, a może nawet i o władzę.

Ponadto wiele wskazuje na to, że oligarsze chodziło nie tylko o propagandę sukcesu finansowanej przez niego jednostki. Według analityków ISW Prigożyn



Najemnicy Putina

miał bardzo konkretny interes w tym, żeby zdobyć Sołedar i Bachmut. Liczył bowiem na to, że przejmie ukraińskie kopalnie soli i gipsu, położone w okolicach tych miast. Sam oligarcha pośrednio się do tego przyznał. Publicznie mówił o tym, że trzeba zdobyć kopalnie, przekonując, że jest to „sieć podziemnych miast”, w której z pewnością kryje się personel wojskowy, a także broń jeszcze z czasów drugiej wojny światowej. W nocy z 10 na 11 stycznia agencja RIA Nowosti opublikowała na Telegramie zdjęcie Prigożyna w otoczeniu wagnerowców w jednej z kopalni soli z podpisem: „Grupa Wagnera wyzwoliła podziemia Sołedaru”. Oligarcha już samym swoim pojawieniem się na pierwszej linii frontu mógłby zyskać sporą popularność i wzmocnić tym samym swoją pozycję w okołokremlewskiej elicie. Krytykowany przez Prigożyna Siergiej Szojgu jak dotąd nie zaryzykował wyjazdu do strefy działań wojennych. Nie wiadomo jednak, gdzie dokładnie zdjęcie zostało zrobione.

CzWK Wagner, czyli Prywatna Firma Wojskowa (Czastnaja Wojennaja Kom-

pania) Wagner, bierze aktywny udział w pełnowymiarowej inwazji na Ukrainę od samego jej początku. Pod koniec lutego to właśnie wagnerowcy – ramię w ramię z kadyrowcami zresztą – polowali na Zełenskigo. Do Kijowa przedarło się ok. 400 najemników z grupy „Wagnera”. W ciągu tygodnia ukraiński prezydent miał przeżyć trzy zamachy. Podobno Zełenski przeżył dzięki... przeciwnikom wojny w szeregach FSB, którzy mieli ostrzec władze w Kijowie. To właśnie zagrożenie ze strony dywersantów sprawiło, że w stolicy kraju w pierwszych dniach wojny ustanowiono 30-godzinną, weekendową godzinę policyjną. Ostatecznie tamta operacja najemników zakończyła się porażką.

Grupa Wagnera formalnie nie ma nic wspólnego z siłami zbrojnymi Federacji Rosyjskiej. Moskwa oficjalnie odcina się od korzystania z usług najemników. Co więcej, ta prywatna firma wojskowa prowadzi działalność nielegalną nawet w świetle prawa rosyjskiego. A jednak powszechnie znany jest fakt, że wagnerowcy są ludźmi Putina od zadań specjal-

nych. Kreml angażuje ich do działań, które Rosja woli prowadzić bez państwowego szyldu. Nazwa pochodzi od pseudonimu dowódcy i współzałożyciela. Dmitrij „Wagner” Utkin to podpułkownik rezerwy rosyjskich sił zbrojnych. Walczył w obu wojnach czeczeńskich. Nie do końca wiadomo, w jakiej formacji służył. Najprawdopodobniej w wywiadzie wojskowym GRU. Pseudonim najprawdopodobniej ma związek nie tyle z niemieckim kompozytorem, ile z brunatnymi wielbicielami jego muzyki. Utkin jest zafascynowany nazizmem, a w Internecie można znaleźć zdjęcia, na którym dumnie pozuje z tatuażami zawierającymi symbolikę SS albo w czapce Wehrmachtu. Dowódca najemników Putina jest żywym dowodem na hipokryzję Kremla, który przecież najechał Ukrainę pod hasłami denazyfikacji.

Poprzednikiem Grupy Wagnera był zarejestrowany w Hongkongu Korpus Słowiański, sformowany w 2013 r. przez menedżerów międzynarodowej firmy Moran Security Group, wynajmowanej do ochrony statków przed piratami. Korpus walczył w Syrii u boku wojsk Baszara al-Asada. Szybko jednak poniósł ciężkie straty w starciu z bojownikami ISIS. Jak pisze w swojej książce „Wagnerowcy. Psy wojny Putina”, Kreml, szykujący się właśnie do zbrojnej reakcji na rewolucję Euromajdanu na Ukrainie, postanowił z niedobitków Korpusu Słowiańskiego stworzyć nową organizację, teoretycznie prywatną, praktycznie podporządkowaną celom Moskwy. Tak powstała Grupa Wagnera na czele z Utkinem, który z regularnej armii odszedł rok wcześniej. Politycznym kuratorem, sponsorem, faktycznym właścicielem grupy został Prigożyn. Śledztwo dziennikarskie wykazało, że Prigożyn zatrudnił Utkina na kierowniczym stanowisku w swoim holdingu gastronomicznym.

CHRZEST W DONBASIE

Pierwszą operacją, w której udział wzięli wagnerowcy, było zajęcie ukraińskich koszar na Krymie. Prawdziwy chrzest bojowy przeszli jednak w Donbasie. Według SBU ludzie Utkina w 2014 r. zestrzelili samolot transportowy armii ukraińskiej Il-76 z ciężkim sprzętem i kilkudziesięcioma żołnierzami na pokładzie, szturmowali lotnisko w Ługańsku, walczyli w kotle debalcewskim.

Następnym etapem na ich szlaku bojowym była Syria. Wsparli tam reżim Baszara al-Asada w walce z Państwem Islamskim oraz opozycją. Najemnicy oficjalnie byli tam zatrudnieni do prac geologicznych lub prac na polach naftowych. W rzeczywistości do ich zadań należała ochrona pól naftowych przed ISIS, a także działania zaczepne. W lutym 2018 r. ponieśli spektakularną klęskę. Wagnerowcy mieli odbić z rąk sił opozycji pola naftowe. W sprawie operacji, za zgodą Kremla, z władzami syryjskimi porozumiał się Prigożyn. W razie powodzenia misji miał otrzymać 25 proc. udziałów z odbitych pól naftowych. Okazało się jednak, że dostępu do nich broni nie tylko opozycja, lecz także wojska amerykańskie. Szturm zakończył się masakrą najemników. Według Pentagonu zginęło ich ok. 100. Różne źródła podawały różne liczby ofiar – od 11 do 200. Tuż przed atakiem Amerykanie skontaktowali się z przedstawicielem Kremla, żeby się upewnić, czy w tym rejonie operują rosyjscy żołnierze. Moskwa wyparła się najemników.

Wagnerowcy pojawiali się też w innych częściach świata. Podczas wojny domowej w Sudanie stanęli po stronie ekipy rządzącej. W Libii rozmieszczały miny przeciwpiechotne. W Mali, zatrudnieni przez juntę wojskową, szkolili żołnierzy i zapewniali ochronę wysoko postawionym urzędnikom państwowym. W Republice Środkowej Afryki szkolili tamtejsze siły zbrojne. W zamian otrzymali m.in. prawo do eksploatacji kopalń diamentów i złota. W lipcu 2018 r. zginęło trzech niezależnych rosyjskich dziennikarzy, którzy śledzili poczynania najemników w RŚA. We wrześniu 2022 r. wsparli przewrót wojskowy w Burkina Faso.

W 2020 r. 33 wagnerowców zostało zatrzymanych przez białoruskie służby w Mińsku. Łukaszenka ogłosił wówczas, że udaremniał zamach stanu. Najprawdopodobniej jednak przypadkowo uratował najemników przed więzieniem. Wagnerowcy znaleźli się w Mińsku zwabieni przez SBU. Ukraińcy podrzyli się pod właścicieli pól naftowych w Wenezueli, którzy proponują najemnikom intratny biznes. Wagnerowcy w ramach ustaleń z „kontrahentem” mieli lecieć do Stambułu. Po drodze samolot miał mieć „awaryjne” lądowanie na Ukrainie. Odpowiedzialni za zbrodnie w Donbasie bojownicy zostaliby

zatrzymani i stanęliby przed ukraińskim sądem. Mińsk był tylko przystankiem. Prawdopodobnie jednak ktoś ostrzegł albo rosyjskie, albo białoruskie służby. Łukaszenka skorzystał politycznie na zatrzymaniu wagnerowców, których potem i tak po cichu uwolnił.

WIĘCEJ ZBRODNI NIŻ ZWYCIĘSTW

Większość wagnerowców to byli rosyjscy żołnierze. Zarabiają od tysiąca do kilkunastu tysięcy dolarów. Jesienią ubiegłego roku, gdy sytuacja na froncie ukraińskim stawała się dla Rosji krytyczna, Prigożyn zaczął rekrutować kryminalistów. Osobiście odwiedzał kolonie karne i obiecywał ulaskawienie za półroczną służbę w szeregach Wagnera. Słowa najprawdopodobniej dotrzymał. Na początku stycznia RIA Nowosti ogłosiła, że pierwsi więźniowie wrócili z frontu i wyszli na wolność. Prigożyn, który w przeszłości sam spędził 10 lat w kolonii karnej za rozbój, kradzież i oszustwo, miał ich umoralniać, prosząc, aby „nie pili za dużo, nie używali narkotyków i nie gwałcili kobiet”.

A jednak najemnicy Prigożyna znani są z kryminalnego sposobu działania. Zbrodni na ich koncie jest więcej niż spektakularnych frontowych zwycięstw. W 2017 r. w Internecie pojawił się film, na którym wagnerowcy torturują Syryjczyka, dezertera z armii al-Asada, a potem zabijają uderzeniami młota kowalskiego. Dwa lata później opublikowano kolejne części nagrania. Widać na nich, jak Rosjanie odcinają Syryjczykowi głowę, odrąbują ręce, a potem palą ciało. Wiosną 2022 r. w małej wiosce Moura mieli wymordować ok. 300 cywilów. Prawdopodobnie brali udział w zbrodni w Buczy. Zabijali nie tylko ukraińskich cywilów. Odegrali również rolę swego rodzaju oddziałów zaporowych. W listopadzie niedaleko Biłohoriwki w obwodzie ługańskim zamordowali 19 zmobilizowanych żołnierzy rosyjskich. Rezerwiści odmówili wykonania rozkazu. Nie chcieli walczyć na pierwszej linii. Argumentowali, że nie są karnym batalionem. Wagnerowcy od razu rozstrzelali czterech z nich. Pozostałym odechciało się buntu. Ze 105 rezerwistów posłanych do walki przeżyło tylko 18. Piętnastu z nich wagnerowcy i tak zamordowali – według ukraińskich mediów nafaszerowali ich narkotykami i dosłownie zarzępli.

Jak twierdzi wielu komentatorów, publiczność jest zmęczona nachalną obecnością medialną Meghan i Harry'ego FOT. NETFLIX

Zapasowy



Joanna Bojańczyk

„Przez 38 lat inni opowiadali o mnie, teraz ja opowiem o sobie”. Zapytany, jak można pogodzić potrzebę ochrony prywatności z publicznym opowiadaniem o życiu prywatnym, Harry, książę Sussex, odpowiedział, że film Netflixa i książka są „potrzebne i zasadnicze”

Jakby było mało łzawego serialu wyprodukowanego przez księcia Harry'ego i Megan Sussexów dla Netflixa, teraz jest książka. Tytuł: „Spare”, autor: książę Harry Sussex, wydawnictwo: Random House. Książka ukazała się 10 stycznia jednocześnie w Anglii, Stanach Zjednoczonych i we Francji.

Okazuje się, że zasada pałacu Buckingham „Never complain, never explain” nie odnosi się do wszystkich. „To tylko motto rodziny królewskiej. Nic więcej jak motto” – skomentował to książę Harry w wywiadzie udzielonym amerykańskiej telewizji. Od paru miesięcy młoda brytyjsko-amerykańska para książęca nie robi nic innego, jak tylko skarży się i tłumaczy. Nikt w pałacu ich nie kochał, nie doceniał, nie rozumiał, nie liczył

się z nimi i dlatego musieli się schronić przed tym w Kalifornii.

Cóż, trzeba korzystać z chwili, świat w końcu znudzi się tymi historiami. Na razie towar sprzedaje się świetnie. Zaczęło się od wywiadu z Oprah Winfrey w amerykańskiej stacji CBS, w marcu 2021 r. Natychmiast powstała plotka, że Sussexowie otrzymali za niego kilka milionów dolarów. Amerykańska dziennikarka od razu na początku rozmowy wyjaśniła, że za wywiad nie było honorarium. Książka dopiero zaczyna się sprzedawać, ale jest więcej niż pewne, że powtórzy lub przewyższy sukces finansowy filmu. Wydawca spodziewał się sprzedać co najmniej 1,7 mln egzemplarzy (razem książki papierowej i e-booka). Pierwszego dnia sprzedano aż 1,43 mln

egzemplarzy. Harry otrzymał już honorarium w wysokości 20 mln dol. Przekazuje te pieniądze na cele charytatywne.

Wydanie „Spare” stało się również okazją do udzielenia przez książęcą parę wywiadów w telewizjach brytyjskiej i amerykańskiej. Harry wyznał, że pomysł napisania książki przyszedł mu do głowy, gdy przyjechał do Londynu na pogrzeb dziadka, księcia Filipa. Wtedy, jak twierdzi, stało się dla niego jasne, że ani brat, ani ojciec nie rozumieją, dlaczego on i Meghan postanowili oderwać się od królewskiej rodziny. „Przez 38 lat inni opowiadali o mnie, teraz ja opowiem o sobie” – powiedział dziennikarzowi Andersonowi Cooperowi z telewizji CBS.

Zapytany, jak można pogodzić potrzebę ochrony prywatności z publicznym



chłód, rasizm, przesady, uprzedzenia? Tak Harry i Meghan przedstawiają siebie. „Czy nie lepiej, żebyśmy sami opowiedzieli naszą historię?” – pyta Meghan na samym początku filmu.

Poznali się na Instagramie, oboje jako znajomi znajomych. On nie wiedział, kim jest ona, bo na zdjęciu profilowym Meghan jest kłownem z przypiętymi uszami i pyszczkiem psa. Ona nie wiedziała, że umawia się z księciem. To byli tylko H i M. Randka w ciemno. Umówili się na kolację, ale przed randką zgooglowali się, sprawdzili swoje profile na Instagramie: jej spodobały się zwłaszcza jego fotografie z Afryki. Po spotkaniu en tête-à-tête od razu zrozumieli, że są dla siebie stworzeni.

Od początku serialu Netflixu dowiadujemy się, że szwarccharakterami nie była wcale rodzina królewska. To była brytyjska prasa, skorumpowane hieny, gotowe na wszystko, żeby sprzedać każdy zdobyty strzępek prywatności. „Tabloidy przyczyniły się do śmierci mojej mamy, mnie prześladowały przez całe życie. Nie pamiętam, żebyśmy mieli jakąkolwiek uroczystość rodzinną bez czyhających fotoreporterów. Chciałem uchronić przed tym Meghan, oszczędzić jej losu mojej mamy, ale wiedziałem, że to będzie bardzo trudne” – mówił Harry.

W serialu Netflixu oglądamy fragmenty prywatnych wideo; kto filmował, nie wiadomo. Widzimy idylliczne sceny ze wspólnie spędzanego czasu. W Afryce, miesiąc po pierwszym spotkaniu, gdy Meghan przyjmuje zaproszenie Harry’ego do spędzenia kilku dni w Botswanie pod namiotem. Są zdjęcia ze służby Harry’ego w Afganistanie, z ich rezydencji w Kalifornii. Meghan karmi kury w ich kalifornijskiej posiadłości, Harry bawi się z synkiem Archiem, księżę i księżna pozują w takich samych (w domyśle: uroczych) czapkach i takich samych okularach. Czułość, uśmiechy, idylla. Żadnej dworskiej oschłości i dystansu. Po prostu szczęśliwe chwile, jakich pożąda Instagram, a oczekuje publiczność masowej konsumpcji.

W przerwach między filmami widzimy małżonków siedzących w wyluzowanych pozach w fotelach. Są ubrani z prostotą z najwyższej półki: ona w białej bluzce, luźnym swetrze w kolorze gołębim, idealnie pasującym do fotela, obok on, w tonacjach trochę ciemniejszych, ale

Cóż, trzeba korzystać z chwili, świat w końcu znudzi się tymi historiami. Na razie towar sprzedaje się świetnie. Jest więcej niż pewne, że książka powtórzy lub przewyższy sukces finansowy filmu

też na sportowo. Żadnych garniturów, krawatów. W tle widok na kalifornijskie Montecito; przez przeszkłone okna wpada jasne światło. Oto bezbłędnie wypreparowany, ale (pozornie) bezpretensjonalny wizerunek młodego małżeństwa. Ciekawe, czy przypadkowo pled francuskiej marki Hermes znalazł się tam zarzucony na oparcie fotela akurat tak, żeby duża litera H znalazła się na widoku...

W trzecim odcinku Meghan wyznaje, że ubiera się w beże, biele i czernie po to, by nie rzucać się w oczy w dworskiej ciżbie. Ale liczne zdjęcia pokazują ją w kolorowych ubraniach: czerwonym, filetowym, zielonym. To niejeden punkt, w którym Amerykanka mija się prawdą. Ma żal, że nikt nie nauczył jej dworskiej etykiety, przez co czuła się w pałacu Buckingham jeszcze bardziej niepewnie. Pałac prostuje te słowa – księżna Sussex otrzymała szkolenie z zasad dworskiej etykiety. Sprawa zaproszenia kuzynki Ashleigh pozostawia również wątpliwości co do prawdopodobności księżnej Sussex. Royalsom jednak czasem zostaje postane dobre słowo. O ile w rozmowie z Oprah Winfrey Sussexowie skarżyli się, że w pałacu plotkowało się, jaki kolor skóry będzie miało książęce dziecko, o tyle w filmie Meghan przyznaje, że w pierwsze święta spędzone wspólnie z rodziną męża została bardzo ciepło przyjęta. „Poczułam, że mam prawdziwą, ciepłą rodzinę, o jakiej marzyłam”.

Trzecią osobą, której dano głos w serialu, jest Doria Ragland, matka Meghan. Opowiada o swojej zdolnej córce, o tym, jak ciężkie było jej życie po rozwodzie rodziców, lecz przede wszystkim podkreśla, że przyczyną wszelkiego zła jest rasizm brytyjskiej rodziny królewskiej. Ona, matka Meghan, także jest ofiarą

opowiadaniem o życiu prywatnym, książę Sussex odpowiedział, że film Netflixu i książka są „potrzebne i zasadnicze”. Czyżby nie dostrzegał, że dokument jest po prostu wybraną przez jego i jego żonę kompilacją PR-owskich scen i opowieści? Prezentują się tacy, jacy chcą być postrzegani przez świat.

H I M Z INSTAGRAMEM W TLE

Nikt zapewne się nie spodziewał, że serial Netflixu będzie oglądany w zmiennej scenarii, po śmierci królowej. Gdy powstawał, Elżbieta II była w dobrym zdrowiu, ale sprawy potoczyły się szybko. Teraz królem Karolem III jest książę Walii. Ale czy zmienia to historię dwojga zakochanych, rzekomo zniszczonych przez okrutną rodzinę królewską, przez

prasy, która czyha na każdym kroku.

W gruncie rzeczy z serialu nie dowiadujemy się o Sussexach dużo więcej niż to, co wiedzieliśmy wcześniej.

CO WIADOMO ZE „SPARE”

Książka ukazała się 10 stycznia (w dniu, kiedy piszę te słowa) w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Dotąd przeczytali ją zapewne tylko redaktorzy wydawnictwa Random House, które kupiło prawa do niej, może parę innych osób. Wiadomości o tym, co wspomnienia zawierają, są zatem w tym momencie fragmentaryczne. Całą stronę okładki zajmuje zdjęcie twarzy księcia, do tego tylko tytuł „Spare” (po polsku: „zapasowy”) oraz nazwisko, właściwie imię autora: książkę Harry. Tytuł jest czytelną aluzją do pozycji księcia Harry’ego w rodzinie królewskiej. Po ojcu, królu Karolu III, kandydatem do tronu Wielkiej Brytanii będzie William, starszy brat Harry’ego. On jest i pozostanie tylko „spare” – „częścią zamienną”. Przez ten tytuł przebija poczucie niższości, gorycz z powodu nieuchronności reguł dynastycznej gry.

I tu jest paradoks, który zauważa Alexandra Jacobs z „New York Timesa”. Im bardziej 38-letni książę ubolewa nad swoim losem „numeru dwa” i im więcej hałasu robi wokół siebie i swojej żony, tym bardziej z pozycji numeru dwa staje się numerem jeden. W tym czasie jego brat, numer jeden, razem z żoną Kate bez hałasu sprawują dworskie powinności, nie kręcąc o tym filmów, nie pisząc memuarów. A może to szatański plan: zamęczyć sobą opinię publiczną, aż się znudzi i straci zainteresowanie? Już teraz, jak twierdzi wielu komentatorów, publiczność jest zmęczona nachalną obecnością medialną książęcej pary.

Żeby podnieść wartość książki, autor cytuje ulubionych autorów: Steinbecka, Faulknera, Wordswortha. Jest również coś bliżej domu: Szekspir. Samotny książę, z obsesją zmarłej matki, patrzy, jak ojciec zakochuje się w innej kobiecie... Czyż to nie identyczna sytuacja?

A jednak Harry nie przepada za angielskością. Nie lubi kiltów, bo częścią tego szkockiego stroju jest nóż wetknięty do skarpety, a to już trąci militaryzmem...



KSIAŻĘ HARRY
„SPARE”
BANTAM PRESS
2023

Z czułością pisze o babci: najbardziej lubiła kolor niebieski i popijała martini.

Opowiada, jak śmierć matki naznaczyła jego dzieciństwo; miał wtedy 12 lat. Księżna Diana zginęła w wypadku samochodowym w Paryżu w roku 1997. Wracała z kolacji w hotelu Ritz z przyjacielem Dodim Al-Fayedem. Kierowca samochodu był pijany, para na

tylnym siedzeniu nie miała zapiętych pasów, samochód pędził przez podziemny tunel ścigany przez paparazzich, plagę życia Diany, która czasem wręcz chowała się w bagażniku, żeby umknąć obiektywom. „Dla mnie trzask migawki jest tak jak trzask spustu rewolweru”.

„Mama była nie do opisanias, była światłem, czystym i promiennym. A jak można opisać światło?”. Dianę pochowano razem ze zdjęciem synów wetkniętym za ubranie. Posttraumatyczny stres utraty towarzyszy Harry’emu przez całe życie. Sprawia, że czuje również lęk przed stratą Meghan.

Szekspirowska jest nie tylko śmierć matki i związek ojca z inną kobietą. Również relacja Harry’ego z bratem jest od początku dramatyczna. „Byłem częścią zamienną, planem B, cieniem. Przyszedłem na świat po to, by zastąpić brata w razie, gdyby mu się coś stało. Może potrzebowałby nerki, transfuzji krwi, przeszczepu szpiku. To było jasno powiedziane od początku mojej podróży przez życie, potem wielokrotnie powtórzone”.

Książę Karol nie dopuścił Meghan do królowej w dniu jej śmierci. 8 września Sussexowie znajdowali się w swojej londyńskiej posiadłości Frogmore Cottage i mieli zamiar udać się do Balmoral, żeby odwiedzić królową. Książę Karol zawiadamia syna, że obecność Meghan przy łóżku umierającej Elżbiety II byłaby niewskazana. „Nie mów o mojej żonie w ten sposób” – odpowiada mu syn.

W innym fragmencie swojej książki Harry twierdzi, że o śmierci matki dowiedział się z BBC. Relacja z ojcem zawsze była trudna. Zaczęło się, gdy rodzice zaczęli się kłócić. Harry próbował na swój dziecięcy sposób zachowywać się dyplomatycznie, ale ojciec tego nie ułatwiał. Karol „miał kłopot w komunikowaniu się z synem. Miał kłopot ze słuchaniem, z bliskością. Gdy chciał przekazać, że

jest dumny z syna, wolał to napisać niż powiedzieć osobiście. Po śmierci matki ojciec przyszedł do mnie, usiadł na brzegu łóżka, ale mnie nie przytulił”.

Psychoterapia nauczyła go szczerości w okazywaniu uczuć. Do dziś, gdy poczuje zapach perfum First Van Cleef & Arpels, ma łzy w oczach. Sam używa Eau Sauvage Diora.

CO MÓWIĄ WYWIADY?

Dwa dni przed ukazaniem się książki książę Harry udzielił dwóch wywiadów: dla brytyjskiej sieci ITV i dla programu CBS „60 minut”. Znowu mówił o bezwzględnej kontroli jego rodziny przez media, ale pierwszy raz opowiedział o tym sam, bez żony. W amerykańskim wywiadzie dał do zrozumienia, że to Meghan popsuła stosunki między braćmi.

Mówił o swoim żalu do rodziny. Wspomniał sytuację, kiedy królowa Elżbieta II była już ciężko chora i leżała w Balmorale, i udała się do niej cała rodzina. Jego i Meghan nie zaproszono, chociaż byli wtedy w Londynie. Wobec tego pojechał sam i spędził jeszcze z babcią kilka godzin. Zapytany o użycie psychodelików odpowiedział, że nikomu nie poleca używania ich w celu rekreacyjnym. „Mnie przetrwały widzenie, ochroniły mnie, zmniejszyły mi poczucie straty”.

Półtoragodzinny wywiad w telewizji ITV przeprowadził z księciem Sussex brytyjski dziennikarz Tom Bradby. Harry szybko zgasił pytanie o utratę dziewictwa, utracił również pytanie o narkotyki. „Moje całe życie zostało wsadzone do blendera” – powiedział. Inne pytania także spotykały się z przekierowaniem na ulubiony temat: ciężkie życie w rodzinie królewskiej.

Nieoczekiwanie ujawnionym szczegółem stała się sprawa brody, teraz znaku firmowego księcia. Zgodnie z protokołem, żeby pójść do ślubu z brodą, powinien uzyskać zgodę królowej. Ta nawet była przychylna, za to William postawił weto i polecił bratu ogolić zarost. Harry odpowiedział: „Meghan mnie nie pozna”.

W pewnym momencie rozmowy książę wyznał, że dopiero po latach odważył się obejrzeć fotografie zrobione na miejscu wypadku Diany, w Paryżu. „Widziałem na nich odbicia twarzy paparazzich w szybie auta. Żaden z nich nie podszedł, aby jej pomóc”. To było poruszające.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MA WANNIA 98/FACEBOOK

LUKSUSOWY WYPOCZYNEK OD WOJNY

Iwona Plantowska pojechała na urlop za granicę. Przed wieżą Eiffla paradowała w szpilkach, przeżyła się pod palmą i na masce mercedesa z tablicą rejestracyjną „Ivanka”. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Iwona to oficer i rzeczniczka prasowa Południowej Dyrekcji Regionalnej Państwowej Straży Granicznej Ukrainy. Jej zachowanie w czasie wojny zostało przez Ukraińców odebrane niezbyt dobrze. Dlatego pani oficer grozi teraz zwolnienie z pracy.

ZWOLNIONA ZA POKAZANIE MAHOMETA

Erika L. Prater była adiunktem na Uniwersytecie Hamline w St. Paul (USA). Była, bo została zwolniona. Powód? Podczas wykładu z historii sztuki ostrzegła, że będzie pokazywać postacie związane z różnymi religiami. Nikt nie zdecydował się opuścić zajęć. Gdy jednak zademonstrowała obraz przedstawiający Mahometa, muzułmańscy studenci poczulili się dotknięci i napisali potem skargę do władz uczelni.

NIE KLĘKAŁA I DOSTAŁA

Kiersten Hening, zawodniczka piłkarskiego klubu Virginia Tech, na fali największego wzmożenia akcją Black Lives Matter odmówiła klękania na boisku przed meczem. Trener usunął ją więc z wyjściowego składu, a potem usunął ją z drużyny. Pozwał trenera do sądu. Jak poinformowała stacja Fox News, teraz zawarto ugodę w tej sprawie. Zawodniczka otrzymała ok. 100 tys. dol.

ZAKAZ TRZYMANIA SIĘ ZA RĘCE

Rodzice uczniów brytyjskiej szkoły średniej w hrabstwie Essex oburzeni. Placówka zakazała bowiem uczniom jakichkolwiek kontaktów fizycznych. Zabronione jest trzymanie się za ręce czy przytulanie. „Jeżeli jeden uczeń dotyka drugiego, to wszystko może się zdarzyć” – wytłumaczyli w informacji przedstawiciele szkoły. Na pretensje rodziców odpowiedziała dyrektorka Margaret Callaghan. Stwierdziła, że nowa polityka szkoły „zachęca uczniów do profesjonalnego zachowania, jakiego oczekuje każdy przyszły pracodawca”.

CHCIELI UKRAŚĆ 10-TONOWY POSĄG

Brawurowa akcja złodziei w egipskim mieście Asuan. Policja zatrzymała trzy osoby, które próbowały skraść stojący tam posąg Ramzesa II, ważący ok. 10 ton. Na miejsce kradzieży podjechali dźwigiem, za pomocą którego chcieli unieść statuetkę faraona. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Świat na krawędzi

Globalna gospodarka jest „niebezpiecznie bliska popadnięcia w recesję” – alarmują w swym raporcie analitycy Banku Światowego. Według ich zaktualizowanych prognoz wartość globalnego PKB wzrośnie w tym roku o zaledwie 1,7 proc. (jeszcze w czerwcu spodziewano się, że w 2023 r. wzrost wyniesie 3 proc.). Jeśli te prognozy się sprawdzą, to obecny rok będzie jednym z trzech najgorszych dla światowej gospodarki w ciągu ostatnich trzech dekad. Fatalne były też lata krachu finansowego z przełomu lat 2008 i 2009 oraz

kryzysu związanego z pandemią COVID-19 w roku 2020.

Ekspertki banku przewidują, że wzrost gospodarczy w USA spowolni do 0,5 proc. (obniżka z 2,4 proc.), a strefa euro nie odnotuje żadnego wzrostu. W Polsce wzrost PKB ma wynieść 0,7 proc. (choć jeszcze w czerwcu szacowano go na 3,6 proc.). Wzrost poniżej 1 proc. na rok 2023 prognozował również jesienią nasz NBP.

Lichy, ale jednak wzrost globalnej gospodarki to i tak optymistyczne założenie. Analitycy przyznają, że wystarczy istotnie wyższa inflacja, powrót pandemii COVID-19

czy eskalacja napięć geopolitycznych, aby światową gospodarkę wepchnąć w recesję. Gdyby tak się stało, byłby to pierwszy od ponad 80 lat przypadek dwóch globalnych recesji podczas jednej dekady.

Na szczęście Polska – co dostrzegają zagraniczni analitycy – okazała się odporna na szoki globalne, takie jak wojna na Ukrainie, kryzys energetyczny czy szybko rosnące globalnie stopy procentowe. O wzroście PKB takim jak w Polsce i tak niskim bezrobociu w wielu krajach można tylko pomarzyć. Byłoby jeszcze uporać się z tą inflacją... © ©

Atomowa zapaść Francji



Olivier Bault

Francuzi właśnie odczuli, jak złym pomysłem było zastępowanie elektrowni jądrowych źródłami odnawialnymi. Z eksportera energii elektrycznej kraj stał się importerem uzależnionym od Niemiec

Na początku grudnia, po kilku tygodniach przygotowań francuskiego rządu na możliwe przerwy w dostawie prądu tej zimy, prezydent Emmanuel Macron poczuł się zmuszony do interwencji. Chcąc uspokoić nastroje i bronić swoich rządów przed krytyką płynącą z ław opozycji oraz mediów, prosił Francuzów, aby nie dawali wiary „scenariuszom

strachu”. Zapewniał, że Francja „wytrzyma”, jeśli każdy wykona „swoją robotę”. Co nie zmienia faktu, że specjalnie na ten sezon zimowy trzeba było wdrożyć system ostrzegania odbiorców prądu przed przeciążeniami sieci energetycznej, zachęcając ich do maksymalnego oszczędzania w najbardziej krytycznych momentach. Przygotowano także plan dwugodzinnych cięć rotacyjnych, przed

którymi chronieni będą tylko użytkownicy „priorytetowi”, tacy jak szpitale, komisariaty, straż pożarna, więzienia, część infrastruktury transportowej czy niektóre zakłady przemysłowe.

W przeciwieństwie do tego, co dzieje się w Polsce w związku ze wzrostem cen węgla i zmniejszoną dostępnością tego surowca, problemy z produkcją prądu nie są we Francji w żadnym stopniu związane z wojną Rosji na Ukrainie. Są to bezpośrednie skutki nieprzemysłowej próby zastąpienia części produkcji energii jądrowej źródłami odnawialnymi, takimi jak wiatr i słońce. Nieszczęśliwie dla ogółu obywateli oraz dla zagranicznych odbiorców francuskiego prądu, ale szczęśliwie dla rządzących Francją, którzy mogą w ten sposób winę za zaistniałą sytuację zrzucić na Putina, skutki te



FOT. AQUIRE STOCK

zbiegły się po prostu w czasie z wielkim kryzysem energetycznym w Europie.

WIELKIE ZAMYKANIE

A przecież Francuzi pamiętają (a jeśli nie pamiętają, to jest to im teraz przypominane w mediach), że podczas kampanii wyborczej z 2017 r. kandydat na prezydenta Emmanuel Macron zobowiązał się zmniejszyć udział elektrowni jądrowych w produkcji prądu, podtrzymując tym samym obietnicę złożoną wcześniej, przed wyborami prezydenckimi w 2012 r., lecz niezrealizowaną przez jego poprzednika François Hollande'a, który w swoich „60 zobowiązaniach dla Francji” napisał: „Do 2025 roku zmniejszą udział energii jądrowej w produkcji energii elektrycznej z 75 proc. do 50 proc.”. Wywiązując się z jednej z obietnic François Hollande'a w tym zakresie, Emmanuel Ma-

cron doprowadził do zamknięcia w 2020 r. najstarszej francuskiej elektrowni jądrowej w alzackim Fessenheim. Obaj prezydenci wywodzący się z Partii Socjalistycznej działali pod presją Zielonych, których poparcie było im potrzebne do zapewnienia sobie stabilnej większości w Zgromadzeniu Narodowym. I tak, po trwającym od 10 lat moratorium na inwestycje w energię jądrową, park jądrowy nad Sekwaną jest przestarzały i niedoinwestowany, a skutki tego stanu rzeczy dały o sobie znać na dobre dokładnie w tym samym roku, w którym wojna rozpętana przez Kreml pogłębiła właśnie trwający od wielu miesięcy kryzys energetyczny na rynku europejskim.

Wystarczy powiedzieć, że latem 2022 r. funkcjonowała już tylko połowa francuskich reaktorów jądrowych, co było sytuacją dotąd niespotykaną. Pod koniec roku trwał wciąż wyścig z czasem, aby przyłączyć do sieci jak największą ich liczbę przed spadkiem temperatury. Jednak w połowie grudnia na 56 francuskich reaktorów jądrowych 16 wciąż było wyłączonych z powodu planowych czynności konserwacyjnych lub nieprzewidzianych problemów technicznych, spowodowanych głównie pojawianiem się rdzy w rurach obiegu wody w starych reaktorach. Z ogólnej mocy 61 GW dostępna moc z atomu była więc na poziomie zaledwie 39 GW. Tym samym Francja po raz pierwszy od 42 lat stała się w ubiegłym roku importem netto energii elektrycznej, przestając być jej ważnym eksporterem w Europie. Problem z korozją osłabiającą rury obiegu wody w elektrowniach jądrowych był sygnalizowany już w 2017 r., kiedy Agencja ds. Bezpieczeństwa Nuklearnego (ASN) stwierdziła, że występuje on w 29 z 58 ówczesnych reaktorów i że może potencjalnie stanowić poważne zagrożenie.

„FRANCJA PODWÓJNIE PRZEGRANA”

Niekorzystną ewolucję dostępności energii jądrowej tak opisywał w lipcu ub.r. na portalu dziennika „Le Figaro” Fabien Bouglié, specjalista w dziedzinie polityki energetycznej, autor książki pt. „Atom: ukryte prawdy – W obliczu iluzji energii odnawialnej” („Nucléaire: les vérités cachées – Face aux illusions des énergies renouvelables”):

„W 2021 roku byliśmy samowystarczalni, a nawet cieszyliśmy się dodatnim

bilansem eksportowym (różnicą między naszym eksportem a importem w Europie) na poziomie 43 terawatogodzin. Natomiast obecnie importujemy 10 terawatogodzin z Niemiec i Belgii, podczas gdy do 2019 roku mieliśmy dodatnie saldo eksportu do tych krajów (6 terawatogodzin np. w 2018 roku). Oznacza to, że zamknięcie Fessenheim, które zapewniało naszym sąsiadom bezemisyjną energię elektryczną, przyczyniło się do uzależnienia nas od Niemiec, a w szczególności od ich energii elektrycznej pochodzącej z węgla. Francja jest podwójnie przegrana, ponieważ osłabia swoją suwerenność elektryczną, ale dodatkowo, wraz z eksplozją ceny spotowej energii elektrycznej, powiększa rachunek za import energii, przyczyniając się do deficytu bilansu handlowego. Francja jest w sytuacji przegranej, do czego w dużej mierze przyczyniło się zamknięcie alzackiej elektrowni atomowej. Obawiam się, że w 2022 roku znajdziemy się w sytuacji wysokiego importu, co byłoby niespotykane we Francji przynajmniej od czasu rozpoczęcia realizacji planu Messmera w 1974 roku, w ramach którego uruchomiono 58 reaktorów jądrowych”.

Liczba dni roku, podczas których Francja zamiast eksportować swój prąd, musi importować go z sąsiednich krajów, rzeczywiście wzrosła z 17 dni w 2018 r. do 220 dni w 2022 r. Choć w minionym roku nastąpiła prawdziwa zapaść francuskiego atomu, to wzrost ten rozpoczął się już kilka lat temu. Liczba dni importowych wynosiła bowiem 25 dni w 2019 r., 42 dni w 2020 r., 78 dni w 2021 r.

W 2018 r. Francja wyprodukowała w swoich 19 elektrowniach jądrowych 412,9 TWh energii elektrycznej i była tym samym drugim producentem prądu z atomu na świecie po Stanach Zjednoczonych (841,3 TWh) i przed Chinami (295 TWh). W 2019 r. Francuzi wyprodukowali już tylko 379,5 TWh energii jądrowej. W 2022 r., według zrewidowanych prognoz opublikowanych przez francuskiego giganta EDF z początku listopada, Francuzi mieli produkować jej jedynie 275–285 TWh, czyli najmniej od 1990 r. Tym samym udział energii jądrowej we francuskiej produkcji prądu także systematycznie spada. W szczytowym roku 2005 było to 78,3 proc. W 2021 r., czyli jeszcze przed dramatycznym spadkiem związanym

z mnożeniem się napraw i robót konserwacyjnych w 2022 r., było to już tylko 69 proc.

Na początku września ubiegłego roku prezydent Francji ogłosił na wideokonferencji po spotkaniu z kanclerzem Niemiec poświęconym kryzysowi energetycznemu, że w imię europejskiej solidarności, podczas najbliższej zimy, w razie potrzeby Francja będzie wysyłać do Niemiec gaz, w zamian za co Olaf Scholz obiecał dostarczać Francji prąd z niemieckich elektrowni na gaz i węgiel. O Niemczech pisał Bouglie w lipcu tak: „Temu krajowi bardzo zależy na wzroście naszych rachunków za prąd, bo jest on równoznaczny ze spadkiem konkurencyjności naszych firm. W wewnętrznym dokumencie niemieckim [think tank] Agora Energiewende przewidywał kilka lat temu, że spadek [produkcji] francuskiej energii jądrowej zapewni konkurencyjność niemieckim elektrowniom węglowym. Właśnie do tego doszliśmy”.

Francusko-niemieckie porozumienie energetyczne obnażyło lata krótkowzrocznej i demagogicznej polityki lewicowo-zielonych rządów w Paryżu. Wysoki komisarz ds. energii jądrowej w latach 2012–2018, Yves Bréchet, mówił na początku grudnia przed komisją śledczą Zgromadzenia Narodowego „ds. utraty suwerenności i niezależności energetycznej Francji” o wręcz skrajnej głupocie rządzących, o niekompetencji doradców pracujących w ministerstwach i o panującym w rządzie zwyczaju wypierania argumentów naukowych na rzecz krótkowzrocznych interesów politycznych. Wspominał także o decyzji podjętej w 2018 r. w sprawie odstąpienia od budowy prototypowego reaktora ASTRID czwartej generacji, który miał pozwalać na nieskończony recykling odpadów radioaktywnych produkowanych przez klasyczne reaktory. Dla Brécheta była to „decyzja krótkowzroczna, która zapisze się w historii jako wzór głupoty czy cynizmu”. Była to natomiast decyzja wpisująca się w ciąg podobnych decyzji podejmowanych przez lewicowe rządy: w 1997 r. socjalistyczny premier Lionel Jospin stojący na czele koalicji z komunistami i Zielonymi postanowił zamknąć prototyp wcześniejszej generacji Superphénix.

Tym samym problem odpadów radioaktywnych powstających przy produk-

cji prądu pozostaje nierozwiązany. Według najnowszej inwentaryzacji dostępnej na stronie krajowej agencji ds. zarządzania odpadami radioaktywnymi na koniec 2020 r. ponad 1,7 mln m sześć. takich odpadów było magazynowanych na terenie Francji, podczas gdy trzy lata wcześniej było ich 1,54 mln m sześć. Aby pozbyć się 3 proc. najbardziej radioaktywnych odpadów pochodzących z zakładu przetwarzania odpadów radioaktywnych w La Hague (które odpowiadają za 99 proc. radioaktywności ogółu tego rodzaju odpadów magazynowanych na terenie Francji i z których część zachowa swoją radioaktywność nawet przez kilkadziesiąt tysięcy lat), budowany jest magazyn podziemny na 85 tys. m sześć. Ma być gotowy w 2035 r. i będzie kosztował 25 mld euro.

UTRACONE KOMPETENCJE

Zrywając z wcześniej głoszoną polityką zmniejszenia udziału energetyki jądrowej w ogólnym miksie energetycznym Francji, Emmanuel Macron zapowiedział w lutym ubiegłego roku budowę sześciu reaktorów EPR2, mających być ulepszoną wersją reaktorów EPR budowanych w Flamanville od 15 lat. Pierwotnie miały być gotowe w ciągu pięciu lat. W październiku administrator generalny komisariatu ds. energii atomowej François Jacq wyjaśniał jednak przed komisją ds. gospodarczych francuskiego senatu, iż ogromne opóźnienie (i ogromny wzrost kosztów) projektu EPR w Flamanville spowodowane jest nie tyle wadliwą technologią, ile utratą potrzebnych kompetencji przez Francję z powodu wieloletniego zaniechania budowy nowych reaktorów jądrowych. Co się tyczy utraty wcześniej posiadanych kompetencji, warto także wspomnieć, że kluczowy w tym zakresie dział francuskiej firmy Alstom produkujący turbiny do francuskich reaktorów jądrowych został odsprzedany amerykańskiemu General Electric za czasów prezydenta Hollande’a. Stało się to za przyzwoleniem ówczesnego ministra gospodarki Hollande’a – Emmanuela Macrona.

Tym razem jednak przyjęty kalendarz budowy trzech elektrowni z dwoma reaktorami EPR2 każda wydaje się bardziej realistyczny, gdyż zakłada się, że pierwsze reaktory rozpoczną pracę w latach 2035–2040 r. (choć sam prezydent pierwotnie

mówił o roku 2030). Oznacza to oczywiście, że nie pomogą w rozwiązaniu obecnego kryzysu energetycznego, podobnie jak nie pomoże w średniej perspektywie czasowej ogłoszona przez prezydenta perspektywa budowy kolejnych ośmiu takich reaktorów.

Kolejnym zwrotem w polityce prezydenta Francji była ogłoszona przez niego w marcu ubiegłego roku decyzja o całkowitym „odprywatyzowaniu” francuskiego koncernu energetycznego EDF. Dodatkowo, aby przyspieszyć proces budowy nowych reaktorów i naprawy istniejących, w styczniu we francuskim parlamencie mają ruszyć prace nad specjalną ustawą upraszczającą procedury. Szkoda jednak tej straconej dekady.

Najbardziej zdumiewające jest to, że trzeba było czekać na trwający od wielu miesięcy kryzys energetyczny i na coraz bardziej realną perspektywę rosyjskiej inwazji na Ukrainę, aby 10 lutego 2022 r. prezydent Francji ogłosił wreszcie zmianę kierunku dotychczasowej polityki i powrót do polityki niezależności energetycznej Francji bazującej na atomie.

Pokazuje to, jak bardzo we współczesnej polityce krajów zachodnich brak jest dalekowzrocznego planowania i jak chwilowe emocje biorą górę nad chłodną analizą i wyborami dokonywanymi w interesie narodowym rozumianym w perspektywie co najmniej kilkudziesięciu lat, jak to miało miejsce przy podejmowaniu w latach 70. ubiegłego wieku decyzji o budowie obecnych francuskich elektrowni jądrowych. Jest to także kolejny dowód na brak spójności i szczerości rządzących w walce z emisjami gazów cieplarnianych, gdyż tak naprawdę w kraju, w którym dominuje energia z atomu, każdy budowany wiatrak oznacza wzrost emisji CO₂ z elektrowni zasilanych węglowodorami.

Przez kilkanaście lat rządzący we Francji świadomie ignorowali oczywisty fakt, że aby zwiększyć udział niestałych źródeł energii odnawialnej kosztem energii jądrowej, należy w podobnym stopniu zwiększyć moce energii elektrycznej wytwarzanej z węglowodorów lub taką energię importować z sąsiednich krajów. Reaktorów jądrowych nie można bowiem włączać i wyłączać co chwilę w zależności od tego, czy wieje wiatr i czy świeci słońce. © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Ile zapłacimy za ten błąd PiS?

Swoją drogą, to niezmiernie ciekawe, kto – koalicja jakich to partii – będzie rządził Polską w 2027 r., czyli kogo u steru władzy dopadnie zapaść Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, z którego wypłacane są świadczenia ZUS, w tym emerytury i renty.

Zapaść, której doświadczymy w znacznej mierze za sprawą autorów „reformy” z 2016 r., czyli obniżenia wieku emerytalnego z 67 lat dla kobiet i mężczyzn do na powrót 60 lat dla kobiet i 65 lat dla mężczyzn. Zapaść od początku łatwa do przewidzenia; zapaść, przed którą już wówczas, w 2016 r., ostrzegali wszyscy, którzy choć trochę potrafili liczyć. Czyż jednak ten, kto w 2016 r. podejmował decyzję o realizacji obietnicy, „która dała mu zwycięstwo” w wyborach w 2015 r. – realizacji obietnicy, „której wyborcy oczekują od zwycięzczy wyborów” – przejmowałby się takimi drobiazgami jak zapaść finansów FUS, czyli ZUS za 11 lat?

Tymczasem najnowszy raport ZUS, raport sporządzony na podstawie danych Ministerstwa Finansów i prognoz demograficznych, nawet w wariantcie najbardziej optymistycznym nie pozostawia złudzeń. Zgodnie z nim już w roku 2023 brakować będzie na wypłaty emerytur i rent 44,1 mld zł, natomiast w roku 2027 – 64,6 mld zł.

W drugim wariantcie – pośrednim – w 2023 r. deficyt w FUS wzrośnie do 51,9 mld zł, a w 2027 r. już do 81,2 mld zł. I wreszcie w wariantcie trzecim – pesymistycznym – w 2023 r. zabraknie aż 60,8 mld zł, a w 2027 r. – aż 101,7 mld zł.

Czy więc ta zapaść – w znacznej mierze na własne życzenie, bo spowodowana przez polityków rządzących Polską w 2016 r. – ostatecznie w 2027 r. dopadnie znajdujący się wciąż przy władzy obóz PiS czy też dopadnie jego dzierżących wtedy stery władzy konkurentów politycznych? Zapaść – dodajmy – za którą winą będzie już wtedy – wskutek długiej kampanii propagandowej – perfekcyjnie zrzucona zapewne na Putina i jego wojnę na Ukrainie, na Unię Europejską, na tzw. pandemię COVID-19 i na wszystkie możliwe partie opozycyjne razem wzięte.

Albowiem że poza przyszłym rządem zapaść ta dopadnie nas wszystkich – wszystkich polskich podatników, wykonanych koniecznością płacenia z tego powodu z każdym rokiem coraz wyższych i trudniejszych do zniesienia podatków oraz składek do ZUS, a być może także emerytów i rencistów, dla których części i tak nie wystarczy tych pieniędzy wydzieranych podatnikom – to jasne jak słońce.

Jasne jak słońce i pewne jak śmierć i... podatki. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Komisja kapturowa

Broniąc projektu powołania komisji ds. rosyjskich wpływów, Rafał Bochenek, rzecznik prasowy rządu, stwierdził, że to „bardzo dobry projekt”. Nie, to projekt nie tylko bardzo zły, lecz także ekstremalnie groźny. Pani poseł Annie Marii Siarkowskiej należy się szacunek za odważne wystąpienie przeciwko niemu na komisji sejmowej, z której zresztą została potem natychmiast w odwecie usunięta przez Zjednoczoną Prawicę.

Projekt tworzy mechanizm pozasądowego wydawania wyroków z poważnymi konsekwencjami, takimi jak zakaz zajmowania praktycznie wszelkich stanowisk państwowych („zakaz pełnienia funkcji związanych z dysponowaniem środkami publicznymi na okres do 10 lat” – trudno znaleźć funkcję, która nie wiąże się z dysponowaniem środkami publicznymi) wobec praktycznie każdego, kto podpadnie władzy. Skład komisji zależy przecież od większości sejmowej.

Za co można zostać ukaranym bez możliwości odwołania? Spójrzmy na zapisy art. 4.: można uderzyć w osoby niepełniące żadnych funkcji państwowych – czyli np. w dziennikarzy, blogerów, lekarzy, biznesmenów, kogokolwiek – „o ile w istotny sposób oddziaływały one na bezpieczeństwo wewnętrzne lub godziły w interesy

Rzeczypospolitej Polskiej” w zakresie m.in. wpływu na środki masowego komunikowania i rozpowszechniania fałszywych informacji. Powiążmy to teraz nawet nie z próbami przekonywania, że każdy, kto nie zgadza się z linią rządu w sprawie Ukrainy, to „ruska onuca”, ale choćby ze sprzeciwem wobec polityki covidowej. Przecież i wówczas ci, których zbiorczo wyzywano od „antyszczepów”, mieli rzekomo „rezonować”

Projekt tworzy mechanizm pozasądowego wydawania wyroków

(modne dzisiaj słowo) rosyjską propagandę. Rosyjską propagandą miało być według niektórych nawet sprzeciwianie się planowi obowiązkowych szczepień. Nietrudno sobie wyobrazić, że można by postawić przed komisją osobę, która ma wpływ na opinię publiczną i takie zastrzeżenia wyrażała, a następnie odebrać jej część praw publicznych.

Mówiąc wprost – to zwykła hucpa, która może uderzyć niemal w każdego, kto minimalnie odchyła się od obowiązującej linii, skoro każde takie zachowanie jest dzisiaj chętnie interpretowane jako sprzyjanie Rosji. ©©

TEST „DO RZECZY”: TELEWIZOR SONY XR-55A95K

Rewelacyjna czerń, żywe, a jednocześnie naturalne kolory, wysoka jasność maksymalna, perfekcyjny kontrast, wyjątkowo szerokie kąty widzenia, świetny dźwięk oraz dopracowane piloty – to największe zalety flagowego modelu telewizora japońskiej firmy Sony.

Rok temu świat telemaników podzielony był na dwa obozy, a więc na zwolenników OLED-ów i QLED-ów. XR-55A95K to pierwszy model w historii japońskiego producenta, który wykorzystuje przełomową technologię QD-OLED, która – przynajmniej z założenia – łączy największe zalety technologii QLED (świetne kolory, wysoka jasność) oraz OLED (idealna czerń i doskonały kontrast). Na razie telewizory z takimi matrycami oferują tylko dwie firmy na świecie: Sony oraz Samsung. I to właśnie między tymi dwoma markami toczy się obecnie zacięta walka o tytuł króla telewizorów o najlepszej jakości. Obraz robi ogromne wrażenie. Jest naturalny, pełen szczegółów, kolory są żywe, kontrast rewelacyjny, kąty widzenia niemal perfekcyjne, a wyświetlane sceny pozbawione są tzw. efektu halo (inaczej nazywanego efektem aureoli). Przewagą Sony nad Samsungiem jest zastosowany system operacyjny: Google TV daje dostęp do większej liczby aplikacji, wszystkich usług typu wideo na żądanie etc.

Dzięki nowej matrycy testowany model to świetny telewizor dla większości użytkowników. Rewelacyjnie ogląda się na nim filmy, seriale czy zmagania sportowców (m.in. dzięki odświeżaniu

matrycy na poziomie 120 Hz). Model ten dobrze się sprawdzi także w przypadku zagorzałych miłośników konsolowych gier (choć akurat w tej kategorii są na rynku modele, które mogą się okazać jeszcze lepsze).

Kolejną zaletą testowanego modelu jest świetny dźwięk (oczywiście jak na standardy płaskich telewizorów). Audiofile zapewne nadal będą chcieli podłączyć pod telewizor zestaw głośników, ale przeciętny Kowalski powinien być zadowolony z jakości dźwięku wydobywającego się wprost z XR-55A95K. Brzmienie jest czyste i dynamiczne.

I jeszcze jeden plus: piloty. Do tego modelu producent dołącza w zestawie dwa piloty. Jeden mniejszy dla miłośników takich serwisów jak Netflix, Disney+ czy Amazon Prime Video. I drugi dla bardziej konserwatywnych użytkowników. Obydwa podświetlają się automatycznie, gdy bierze się je do ręki.

Wady? Niewiele. Nieco rozczarowani mogą być jedynie gracze, bo choć telewizor ma cztery złącza HDMI, to tylko dwa z nich to HDMI 2.1 (w tym jedno złącze HDMI-eARC). To oznacza, że po podłączeniu zestawu kina domowego lub zwykłego soundbara do dyspozycji zostaje tylko jedno złącze do konsoli. Pod tym względem QD-OLED od Samsunga jest lepszy (ma cztery złącza HDMI 2.1). Poza tym jest świetnie: input lag ma wartość niższą niż 10 ms, a telewizor obsługuje zarówno mechanizm Variable Refresh Rate, który



znakomicie poprawia komfort grania w gry, mające problemy z płynnością animacji, jak i Auto Low Latency Mode (funkcja, która automatycznie wykrywa, że użytkownik gra na ekranie telewizora, i włącza tryb gry z najniższym opóźnieniem). W Sony brakuje jednak obsługi Freesync Premium Pro, co nie ucieszy graczy korzystających z pecetów.

A cena? Za testowany model o przekątnej ekranu 55 cali trzeba zapłacić 9849 zł, a za większego brata (65 cali): 14 990 zł. ©

Jacek Przybylski



ROWEROWE... BIURKO

Firma Acer przekonuje, że może ułatwić połączenie aktywnego trybu życia i pracy (zabawy) przed komputerem. Jej konstruktorzy stworzyli więc biurko rowerowe eKinect BD 3. Połączenie klasycznego biurka z rowerem stacjonarnym umożliwia ćwiczenie np. podczas pisania raportów, wypełniania tabel w arkuszu kalkulacyjnym, ewentualnie w czasie zabijania potworów i podboju

wirtualnego świata. W czasach kryzysu energetycznego dodatkową zachętą może być to, że urządzenie potrafi wykorzystywać wygenerowaną podczas pedałowania energię do zasilania urządzeń podłączonych do kinetycznego biurka. Według producenta wystarczy pedałować z prędkością 60 obrotów na minutę, aby wygenerować moc na poziomie 75 watów. Liczbę wykreconych watów, spalonych kalorii, czas trwania jazdy etc. można sprawdzić w aplikacji.

W nowoczesnym meblu znajdują się porty USB, a także miejsce na torbę i uchwyt na napoje. Produkt ma trafić do sprzedaży w czerwcu. Cena: 999 euro, czyli równowartość 4674 zł.

LAPTOP Z DWOMA EKRANAMI

Lenovo Yoga Book 9i to pierwszy na rynku pełnowymiarowy laptop z dwoma dotykowymi wyświetlaczami OLED o przekątnej 13,3 cala. Urządzenie można skonfigurować tak, aby oba ekrany pracowały jako odrębne monitory lub aby rozszerzały widok z górnego na dolny wyświetlacz (to tzw. tryb wodospadowy). Celem jest podniesienie efektywności pracy na jeszcze wyższy poziom. A co, jeśli ktoś chciałby jednak popracować trochę na klawiaturze? Wówczas można doczepić do ekranów znajdującą się w zestawie klawiaturę magnetyczną. Producent zapewnia, że zastosowany akumulator jest na tyle solidny, że nawet

w przypadku pracy na dwóch ekranach jednocześnie laptop powinien pracować na jednym ładowaniu aż 10 godzin. Rynkowa premiera tego modelu przewidywana jest w czerwcu. Jego cena ma się zaczynać od 2099 dol. (równowartość 8946 zł). ©

Jacek Przybylski





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Koniec świata w Jahorliku

Południowa granica dawnej Rzeczypospolitej tworzyła na Ukrainie dwie wypustki, jakby rogi skierowane w stronę Morza Czarnego. Pierwsza z nich, patrząc od zachodu, było Pokucie, przed drugą wojną światową wchodzące w skład państwa polskiego. Drugą zaś – fragment styku granic Mołdawii, Korony i Jedysanu należącego do Turcji, gdzie osiedlili się Tatarzy nohajscy. Głównym punktem tego rejonu było miasteczko Jahorlik zwane także Jagorłykiem, Orlikiem i Kajnardem. Ta wysunięta na południe osada leżała dosłownie między młotem a kowadłem, między najeżdżającymi Ukrainę Tatarami a szlakiem kozackich i polskich wypraw do Mołdawii i na Turcję. Jahorlik był miejscem palonym i rabowanym, podczas każdego najazdu kilkakrotnie przenoszono go z miejsca na



na mocy pokoju w Karłowicach i pozostawał pod jej władzą aż do drugiego rozbioru w 1793 r. W tym czasie zrujnowany został w czasie wojny moskiewsko-tureckiej w 1737 r. jako siedlisko Kozaków najeżdżających przygraniczne tureckie tereny. Odbudowany zaś ok. 1769 r. jako Orlik – Jahorlik w miejscu dzisiejszej wsi Goian.

Ponieważ była to miejscowość graniczna, zwykle odbywały się tutaj sądy między Polakami i Turkami zwoływane w celu godzenia sporów i zadośćuczynienia krzywdom wyrządzanym w czasie wzajemnych najazdów. Jahorlik pozostawał w posiadaniu Zamoyskich aż do połowy XVII w., kiedy Joanna Barbara Zamoyska wniosła go w posagu Aleksandrowi Koniecpolskiemu, synowi hetmana Stanisława. W XVIII w. był już własnością Lubomirskich, a potem Grabowskich.

Jedną z najciekawszych pamiątek, która istniała jeszcze w XIX w. w okolicy Jahorlika, był – jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” – słup graniczny ustawiony przy ujściu rzeczki Jahorlik do Dniestru, zbudowany tutaj po traktacie karłowickim w 1699 r., kiedy to Podole i część Ukrainy wróciły do Korony Polskiej. Był on szeroki, murowany, z dwóch stron miał tablice z napisem. Na jednej, od strony północnej, wyryte było: „Granica Polski”, natomiast od strony Dniestru „Anno 1703, granica, koniec Polski”. Okoliczna ludność zaś odczytywała go tak: „smotry Lasze póki wasze”. Pomnik ten, choć uszkodzony, istniał jeszcze pod koniec XIX w., choć napisów nie można już było odczytać. Dziś nie ma śladu zarówno po nim, jak i po dawnym Jahorliku. ©

tej Ordy. Była to wówczas zapewne pograniczna fortecza.

Pod koniec XVI w. należała do Jana Zamoyskiego, który wzniósł tutaj niewielki zameczek obronny. Niestety, już w 1583 r. zniszczony został przez Kozaków. Odbudowaną twierdzę zburzył po raz drugi Semen Nalewajko w 1594 r., podczas wyprawy na Mołdawię. Miasteczko leżało bowiem w miejscu, które blokowało Zaporozcom drogę do jej stolicy – Jass. Później Jahorlik wielokrotnie przechodził z rąk do rąk, odbijany przez Tatarów i odzyskiwany przez Polaków. Ostatecznie po 1607 r. przeniesiono go na północny zachód, w rejon dzisiejszej wsi Harmackie. Miejsce zaś po pierwotnym Jahorliku prawdopodobnie zalane jest wodami zalewu, który powstał po uruchomieniu w pobliskich Dubosarach elektrowni wodnej. Być może później, bo ok. 1633 r., osada została nazwana właśnie Jahorlikiem.

Po 1648 r., kiedy powstanie Chmielnickiego ogarnęło całą Ukrainę, miasteczko i zapewne zameczek stały się siedzibą setni kozackiej z bractwskiego pułku. Odbity w latach 60. XVII w. przez wojsko polskie; po rozejmie w Żurawnie w 1676 r. przeszedł pod władzę Turcji, która zagarnęła Podole z częścią Ukrainy. Spalony w 1694 r. w czasie walk, pięć lat później wrócił do Rzeczypospolitej

miejsce. Dziś nic z niego nie zostało; pozostałości leżą na terenach Nadniestrza – zbuntowanego obszaru zamieszkanego przez rosyjskojęzyczną ludność, która ogłosiła secesję z Mołdawii. Stworzyła nad Dniestrem zależną od Moskwy, oligarchiczną republikę, państewko podobne do podobnych wspieranych przez Rosjan enklaw we wschodniej Ukrainie i na Kaukazie.

Jahorlik u zarania swych dziejów zwany był Orlikiem lub Koniecpolem, a przez Tatarów Kajnardem. Jego najdawniejsza historia nie jest dobrze zbadana, być może – jak twierdzą historycy rosyjscy – osada powstała już pod koniec XIV w., kiedy stanowiła punkt graniczny pomiędzy Wielkim Księstwem Litewskim, Mołdawią i terenami Zło-





ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Najważniejsi na świecie. Dziadkowie

Za tę bezgraniczną miłość, którą dają swoim wnukom, za dar cierpliwości i wyrozumiałości, za dobre serce i wspaniałe smaki z dzieciństwa, które pozostają w nas do końca życia. Za to najbardziej kochamy naszych dziadków. Dla wielu z nas bez troskie dzieciństwo kojarzy się z wakacjami u dziadków, kiedy bez nadzoru rodziców mogliśmy szaleć i bawić się na całego, a oni bez słowa krytyki i jedynie z właściwą troską dbali o nas i nasze bezpieczeństwo. Takie są nasze wspomnienia z dzieciństwa, kiedy każde wakacje spędzałyśmy w uroczej małej mieścinie nieopodal Dąbrowy Tarnowskiej nad cudowną rzeką Wisłą. Nasi dziadkowie mieli tam mały domek, w którym spędzali czas od wiosny do późnej jesieni, a my, co roku, przyjeżdżałyśmy tam na wakacje. Tam było sielsko-anielsko, żadnych wygód. Był za to mały ogród z warzywami, przydomowa hodowla królików oraz kury, z których jaj kręciłyśmy (łyżeczką w kubku, nie mikserem) najlepszy kogel-mogel na świecie.

Nasza babcia gotowała wspaniałe rosół i piekła przepyszne kurczaki w prodiżu, które miały idealnie przypieczoną skórę. Obiady jadałyśmy na dworze, przy stole pod potężnym orzechem, który zasadziła nasza mama, będąc małą dziewczynką, i zawsze nam o tym przypominała. Na deser babcia piekła sernik wiedeński z odrobiną rodzynek i lekko przypieczony na wierzchu, pyszny, delikatny, posypyany cukrem pudrem.

Mamy jeszcze jeden smak, który wyjątkowo nam się

kojarzy z pobytem u dziadków. Smak chleba z masłem i świeżego mleka prosto od krowy. Po mleko chodziłyśmy codziennie rano do sąsiadki, która dawała nam bańkę pełną mleka z delikatną pianką na wierzchu. To było istnie mistyczne przeżycie, już nigdy potem nie udało nam się odnaleźć tego smaku, ale smak sernika odtworzyłyśmy i regularnie pieczemy go w naszych domach, wspominając istnie epickie czasy.

Sernik wiedeński najlepszy naszej babci, bez spodu

- 1 kg sera tłustego mielonego trzykrotnie
- 1 kostka miękkiego masła
- szklanka cukru
- 8 jaj rozmiar L
- szczypta soli
- 2 budynie waniliowe bez cukru
- cukier waniliowy
- garść rodzynek wcześniej sparzonych wrzątkiem, odcędzonych i oprószonej mąką

Masło ucieramy mikserem na puszystą masę z cukrem, żółtka oddzielamy od białek, do masła dodajemy po jednym żółtku, ciągle ucierając na wolnych obrotach, dodajemy po łyżce sera, cukier waniliowy i budynie, na końcu ubijamy białka z odrobiną soli. Nagrzewamy piekarnik do 180 st. C. Wszystko razem delikatnie mieszamy i przekładamy do okrągłej foremki min 23 cm. Przekładamy do nagrzanego piekarnika. Pieczemy ok. 15 min w 180 st. C i zmniejszamy do 160 st. C na ok. 40 min. Pieczemy razem

ok. 55 min góra/dół. Po upieczeniu zostawiamy w lekko uchylonym piekarniku do wystudzenia.



© ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Geografia i przyroda

Rolex, Subaru, narty w południowym Tyrolu. Do czytelnika magazynu „National Geographic” (wydanie polskie) adresowane są tylko reklamy z wyższej półki. To nie jest klient all-inclusive w Hurghadzie. To dobrze sytuowany eksplorator nieoklepanych jeszcze miejsc turystycznych zainteresowany przyrodą, zwierzętami, nienaruszonym krajobrazem. Grenlandia, Namibia, Boliwia, Chile, Botswana, Laos.

Jeśli wycieczki, czy raczej wyprawy, to w małej „prywatnej” grupie, z własnym przewodnikiem, nigdy w sezonie. Nilem można płynąć, bo przecież trzeba zobaczyć fundamenty cywilizacji, byle nie publicznym statkiem z kilkuset innymi turystami. Wynajęty prywatnie jacht ze skórzanymi ławkami i mosiężnymi okuciami, przewodnik z ukończoną historią sztuki, najlepiej w Oksfordzie. Prywatne kolacje, a może i wynajęty na parę dni kucharz.

„National Geographic” prenumerujemy od ponad 30 lat; kiedyś była to pomoc naukowa dla synów, dziś my, dwoje starszych państwa, lubimy sobie popodróżować, nie ruszając się z kanapy, choć z kanapy ruszamy się także często i w różnych kierunkach. „NG” to pismo dbające o różnicowaną tematykę, wspaniałe zriserczowane. O zdjęciach nie wspomnę, to przecież danie



firmowe magazynu, jest z tego słynny. Kiedy współczesne tandetne dziennikarstwo, czy raczej kontent, jak się to dzisiaj określa, oszczędza na wszystkim, a na zdjęciach szczególnie, w „Geographicu”

fotografia przyrodnicza, reportażowa, nawet portretowa jest na najwyższym poziomie. Bez fotomontażu, bez komputerowych sztuczek, bez fejków. Wyczerpujące podpisy, które uzupełniają to, co widzimy.

Kiedy 140 lat temu „National Geographic” startował, opierał się na tekstach. Fotografia pojawiła się dopiero w pierwszych dekadach XX w. A teraz mamy nie tylko zdjęcia gór, jezior, wulkanów, gąsienic, lecz także reportaże o nowych technologiach, donosy z instytucji badawczych na całym świecie.

Kiedyś, gdy czytałam „NG” po angielsku, nie irytowała mnie jego wyczuwalna w każdym zdaniu amerykańskość. Bo wtedy była naturalna. Dziś, kiedy większość tekstów jest tłumaczona z angielskiego, można wyłapać swoistą „angielskość” języka, co zresztą coraz mniej dziwi, gdyż nasz język codzienny zainfekował się angielszczyzną na każdym polu. Nie tylko język, lecz także sposób pisania jest właściwy amerykańskiej prasie.

W „Geographicu” przyroda była modna, zanim zaczęła być modna wszędzie. A my, prenumeratorzy, czasem dostajemy w prezencie czapkę lub T-shirt. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Walki magazynowe

Niemcy dławią się od nadmiaru szczepionek na COVID zamówionych u Pfizer/Biontech. Rząd RFN ma odebrać kolejną partię 375 mln ampułek, choć dziennie szczepi się teraz tylko 7 tys. osób. Czyli to, co trafi teraz do magazynów, wystarczy na ponad... 140 lat. Należy przypomnieć, że kraje unijne zwróciły się do Komisji Europejskiej, by ta wsparła je w negocjowaniu z firmami szczepionkowymi w procesie odstąpienia od podpisanych kontraktów na dostawy. Tak – do tego samego unijnego organu, który szczepionki załatwiał w imieniu Europy. Zakontraktowano wtedy w UE po 10 dawek dwudawkowej szczepionki na głowę.

W Polsce mamy sukces, bo minister Niedzielski poinformował, że jest częściowa ugoda, pozwalająca zwrócić kilka partii zamówionego towaru. Ale ten zwrot odbył się parę tygodni po tym, jak minister... zamówił kolejne 500 tys. dawek dla dzieci od sześciu miesięcy do lat czterech. Po które zgłosiło się ok. 500 chętnych. Widocznie jest to część jakiegoś kontraktu – pozwolimy sobie oddać zamówione i zapłacone przez was szczepionki, pod warunkiem że kupicie od nas nowe.

W dodatku pan Cessak, odpowiedzialny za to, co się aplikuje Polakom, poinformował, że uzgodniono kolejne, drugie już z rządu, przedłużenie ważności szczepionek. Te najpierw były dobre tylko przez sześć miesięcy, teraz do-

szły już do miesiąca 18. A więc ciała dopuszczające najpierw przyjęły – oczywiście na podstawie naukowych badań – że szczepionka jest dobra tylko przez pół roku, i ważność tej samej szczepionki, po innych badaniach, nagle się przedłużyła do półtora roku. Bardzo łatwo dojść do wniosku, że jednak jest to rozpaczliwa walka o to, żeby ludność się do szczepionek jednak kiedyś przekonała, a te będą gotowe na taki cud. I magazyny zejść.

Ale jak? Przecież konieczność wprowadzenia kolejnych dawek dwudawkowej szczepionki motywowano tym, że są one na nowe warianty. A to znaczy, że te stare są do niczego i nic tu nie da przedłużanie ich ważności. Nikt tego nie weźmie. Ba – nawet czwartą dawkę, tej jak najbardziej celowanej w „aktualny” wariant, wzięło nie więcej niż 5–10 proc. Polaków. I to jest pewna sprzeczność. Pozbywamy się starych szczepionek nakupionych na znaczny wyrost, a tu idzie kolejny wariant – kraken, kolejna wyjątkowa mutacja, która to jak poprzednie jest jeszcze bardziej zakaźna, trudna do wykrycia, odporna na szczepionki i – jak to bywa z mutacjami – coraz mniej zjadliwa.

A więc zatoczyliśmy koło. Doszliśmy do kataru, który będziemy testować, i będziemy się szczepić za grube pieniądze. I to jest nowe podejście do sezonowego wysypu wirusów dróg oddechowych. Bezsensowny „dorobek” covidowej pandemii. ©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Zasiłek i pułapka

Przypadająca w styczniu 30. rocznica prawnej ochrony życia w Polsce sprawia, że wracam do kwestii pomocy państwa dla rodziców dzieci ze znacznym orzeczeniem niepełnosprawności. Środowiska aborcjonistek wobec obrońców życia często podnoszą krzyk: „Każecie rodzici upośledzone dzieci, a potem matka zostaje sama!”. Istotnie, problem jest realny i nie można udawać, że wraz z potwierdzeniem przez Trybunał Konstytucyjny prawa do życia dzieci z upośledzeniem odnieśliśmy sukces. W Polsce 3 proc. populacji dzieci do 15. roku życia jest dotknięte niepełnosprawnością.

Pamiętamy wszyscy okupację Sejmu z dziećmi na wózkach. Od tego czasu sporo się zmieniło, podnoszono wysokość świadczeń do poziomu 2458 zł. Ponurym anachronizmem jest wciąż zakaz pracy rodziców dzieci niepełnosprawnych, pobierających świadczenia. Drakoński przepis sprawia, że z grupy ponad 400 tys. uprawnionych rodziców zasiłek pobiera tylko 175 tys. Pozostali zaciągają zęby i wolą pracować. Rodzice świadczeniobiorcy mają całkowity zakaz pracy, nawet dorywczej, także na podstawie umów o dzieło czy zlecen, także zakaz zarobkowej działalności twórczej. Nie wolno im, co jest już jakimś piramidalnym absurdem, nawet prowadzić gospodarstwa rolnego.

Przepisy powstawały pewnie 20 lat temu, gdy zмага-

liśmy się z 25-procentowym bezrobociem. Dziś żyjemy w innej rzeczywistości, gdy firmy walczą o pracownika, gdy praca na odległość stała się standardem. Statystyki pokazują ponury obraz życia rodzin z osobą niepełnosprawną. 70 proc. ma problem z wykupem leków i ponoszeniem kosztów opieki zdrowotnej, 60 proc. nie stać na rehabilitację, 6,5 proc. tych rodzin żyje w skrajnym ubóstwie. Wiele osób objętych zakazem to fachowcy i wysokiej klasy specjaliści. Uchylenie zakazu nie tylko pozwoliłoby im podnieść standard życia, lecz także wygenerowałoby dodatkowe daniny dla państwa, nie mówiąc już o niezbywalnej godności, jaką daje możliwość pracy – choćby w niewielkim wymiarze, nawet jako odskocznia.

W sytuacji, gdy wymusza się, często z pobudek ideologicznych, zatrudnienie osób niepełnosprawnych, nie zawsze przynoszące korzyści, utrzymywanie zakazu pracy dla rodziców upośledzonych dzieci jest zwykłą dyskryminacją. Cofnięcie zakazu powiększy grupę objętych świadczeniami ponad dwukrotnie. To spore obciążenie budżetu. Ale idę o zakład, że w roku wyborczym będziemy świadkami festiwalu nowych transferów socjalnych, np. 15. emerytury, albo wyprawek z laptopem w tornistrze. Wszystko cudownie, ale najpierw należy uchylić ten zakaz – zakończyć wstydlivą dyskryminację. ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Stróże w podnośniku

Policja polska nie ustaje w zaskakiwaniu polskiego społeczeństwa. Stop. Po głośnym na świecie odpaleniu granatnika przez komendanta głównego policji o nazwisku Szymczyk we własnym gabinecie i nadaniu mu przez prokuratorów Ziobry statusu pokrzywdzonego wydawało się, że rekordów bezkarnej głupoty w kraju nad Wisłą pobić się nie da. Stop. Dziś wiemy już, że nie docenialiśmy kreatywności stróżów prawa i warszawskich mieszkańców. Stop. Czemu stróżów mieszkań? Okazało się otóż, że policjanci stołeczni wynajęli podnośnik strażacki i gapili się ludzom w okna przewencyjnie. Nie żartuję, w sieci można obejrzeć filmik. Stop. Nie, że ci ludzie, którym policjanci ślepili do kuchni i liwingu zrobili coś złego, nie. Policjanci gapili się ludziom w mieszkanie, bo ci ludzie mogli dopiero coś złego zrobić. Stop. Paranoja? Może, trzeba jednak myśleć pozytywnie. Pytanie: Jak wykorzystać chłopców Szymczyka do pilnowania mieszkania, kiedy np. wyjeżdżamy na wakacje? Jakby dwa razy dziennie pogapili się na nie przez okna z podnośnika pod naszą nieobecność, czy nie czulibyśmy się spokojniejsi? Stop.

Ekonomista profesorowi z miasta Łodzi, Bogusław Grabowski, wywiadem w radiu wstrząsnął i zamieształ w polskiej polityce. Stop. Ów nieprzejednany piśowski antyłowiers stwierdził, że generalnie państwo powinno

posprzedawać spółki Skarbu Państwa, i to nie tylko te najlepiej zarabiające paliwowe, lecz także powinno posprzedawać wszystko, co ma, nawet lotniska, oraz wycofywać się z programów socjalnych i podnieść wiek emerytalny. Stop. Słowa jego odczytano jako ekonomiczny program opozycji, ale opozycja tak się nimi przerażała, że na wyścigi zaczęła się od Bogusława Grabowskiego odżegnywać. Stop. Komentując ten wywiad, Donald Tusk skomentował, że nie będzie go komentował, ponieważ są to prywatne opinie ekonomisty Grabowskiego, a nie program Platformy Obywatelskiej. Stop. Społeczeństwo odetchnęło. Stop. W przyszłym tygodniu ma zostać wystawiona specjalna księga, w której każdy wpisać będzie mógł, że się od Grabowskiego Bogusława odżegnuje. Stop.

IBRIS zrobił badania dotyczące szaleńczego entuzjazmu Polaków w sprawie przyjęcia u nas euro zamiast złotego. Stop. 64 proc. Polaków nie chce, żebyśmy zamiast złotych posługiwali się u nas obcą walutą, co przede wszystkim wynikać musi z doświadczeń i rozmów z obywatelami krajów, którzy euro przyjęli u siebie. Stop. Tymczasem elity antyrządowe (w owym gronie znajduje się, a jakże, i Grabowski) mówią temu społeczeństwu z pozycji wyższościowych, że ono tak myśli, bo nie ma żadnej wiedzy. Stop. PiS chyba coraz bliżej trzeciej kadencji. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Sekret Sienkiewicza

Małgośka, mówią mi, twoja katoprawica dręczy własne dzieci! Owszem, odpowiedziałam, mamy cały repertuar tortur, żeby przygotować ich mentalnie na przyszłe męczeństwo z waszych rąk. Żartuję sobie, ale bywam matką tyranem, bo całe święta ściagałam syna, żeby przeczytał „Quo vadis”. Szkole już nie zależy, wystarczy, jak uczeń przeczyta bryk i obejrzy film. Mnie się jednak w głowie nie mieści, żeby Sienkiewicza odpuścić, bo jego książki to akces do naszej wspólnoty, to szczenioka, która uszlachetnia krew, to rozchodząca się po kościach euforyczna przyjemność lektury, to polski diabeł i anioł zwarci w jednym tańcu. To wszystko, co mnie ulepiło.

Gdy więc mój młodszy syn obwieścił, że „Quo vadis nudne jest”, poczułam prawy sierpowy w sercu. Widząc rozpacz w matczyńskich oczach, dodałam: „Strata czasu. Wiesz, że ważniejsza dla mojej przyszłości jest olimpiada z matmy”. Dziś dzieci negocjują każdy wysiłek, ale w domu katoprawicy lekko nie mają. Zawzięłam się więc i niczym pretorianin Neroną nachodziłam syna, uskuteczniając cały wachlarz perswazji: „A ty wiesz, że w Hiszpanii »Quo vadis« było tradycyjnym prezentem pierwszokomunijnym? A pamiętasz Alfonso z Valladolid? W jego domu na święta trwa rodzinne czytanie »Quo vadis«! Nawet

Hiszpanie kochają tę książkę, w tym piłkarze! A pamiętasz, jak byłeś zdziwiony, gdy powiedziałam cioci: »Podpalaj, truj rodzinę, lecz nie włączaj sylwestra ze śpiewającym Zenkiem«? Kto nie czytał – ten nie chwytają żartów w towarzystwie!”. Niestety, skończyło się na małej propozycji korupcyjnej, żeby syn łaskawym okiem pokonał pół książki, a resztę dooglądał w filmie.

Nie wiem, jakby to Zagłoba skomentował, ale pewnie coś w deseń: „Niech zginie całe pokolenie i pchły jego, jeśli miłowania Sienkiewicza nauczyć nie umie. Nie może być przecież, aby wieszcz usieczon był w naszej pamięci!”. Właściwie należałoby ogłosić konkurs literacki na nowego „Latarnika” – książkę, w której nowy Skawiński zaczytywałby się w Sienkiewiczu i miał z tego więcej radochy niż z grania na kompie. Tymczasem mój syn triumfalnie powrócił z piątką za aktywność ze znajomości lektury, co akurat niezbyt mnie ucieszyło. „To nie fair, nie przeczytałeś całej”. „Ale przekonałem. Jestem sprytny jak Chilon Chilonides”. Wolałabym, aby naśladował innych bohaterów, ale lepsze to niż Neron matkobójca.

A państwo znają Sienkiewicza? Czyżby? A jego wyznanie z listów z Ameryki: „Polubiłem ten najpiękniejszy ze wszystkich na świecie język”. A wiecie jaki? Tak! Hiszpański! Olé! ©©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Miłosz **wygumkowany**

W Związku Sowieckim jeszcze na początku lat 60. wymazywano ze zdjęć odsuniętego już od władzy Chruszczowa, który witał powracającego z Kosmosu Gagarina. W latach stalinowskich znikali nie tylko ze zdjęć, lecz także z negatywów popadający w niełaskę jego najbliżsi jeszcze wczoraj współpracownicy – Trocki, Jeżow, Jagoda. Wyretuszowano również jedno z najbardziej ikonicznych zdjęć z okresu drugiej wojny światowej, usuwając zegarki z rąk sowieckiego żołdaka, zawieszającego w Berlinie flagę ZSRS na budynku Reichstagu.

U nas wygumkowywanie ze zdjęć „wrogów ludu” zdarzało się

postępowej publicystyki”, zawierająca m.in. nazwisko Miłosza, przedwojennego współpracownika wileńskiego dwutygodnika „Karta”. Szefem IBL był wówczas prof. Stefan Żółkiewski, przyjaciel Bieruta, zwany Grubym lub Hetmanem, o wyglądzie pocztowego safandudy, w istocie jeden z największych, najgroźniejszych szkodników polskiej literatury, który sowietyzował ją na wzór Wielkiego Brata, usuwając z naszych uniwersytetów chłuby naszej humanistyki, znane, przedwojenne, „reakcyjne i burżuazyjne” według niego kadry, zastępując je swoimi wychowankami, młodymi, czerwonymi hunwejbiniami – Marią Janion, Marią Żmigrod-

retuszerka okazała się świetna, zrobiła to tak, że nikt się nie zorientował. Jej postępek był o wiele bardziej groźny niż ingerencja cenzury, fałszowała bowiem zdjęcie okładki, dokument, który zawsze sugerował autentyczność. Próbowaliśmy zmieniać historię.

Na zebraniu w IBL poświęconym ocenie nowej publikacji nikt nie zabierał głosu – trwała najstraszliwsza stalinowska noc i wszyscy bali się o pracę, karierę. Honor polskiej humanistyki uratował młody wtedy doktorant Janusz Stradecki (1920–1988). – To, co się stało, nazwał niegodnym IBL, domagał się powołania specjalnej komisji, która ukarałaby winnych sprawy, nie tylko jej wykonawczyń – wspominał Andrzej Biernacki, historyk literatury, były pracownik IBL. Na Żółkiewskim odwaga młodzieńca zrobiła wrażenie, nie zwolnił go, tłumaczył się naciskami cenzury, a powołanie komisji przeciągał, znajdował kolejne przeszkody i w końcu do niej nie doszło. Ewa Korzeniewska, faworyta Hetmana, śmiała się wszystkim w twarz. „Dopóki Stefan jest w IBL, dopóty włos nie spadnie mi z głowy” – powtarzała i miała, niestety, rację. Choć jednak nie do końca. Odwaga Stradeckiego nagłośniła sprawę. Mleko się rozlało. W 1957 r. w odwilżowym tygodniku „Po Prostu” Jan Józef Lipski, również pracownik IBL, napisał o wszystkim, zestawiając dwie wersje wileńskiej okładki „Karty” – przedwojenną, z Miłoszem, i drugą – z dziełem Korzeniewskiej. IBL-owską aferę w stylu Orwella skomentowała też w swoim dzienniku z 15 maja 1957 r. Maria Dąbrowska. „Kiedy skończą się takie kompromitacje?” – pisała zbulwersowana. ©

Po tym, gdy w 1951 r. poeta i komunistyczny dyplomata Czesław Miłosz „wybrał wolność”, z wydanej przez IBL książki „Materiały do dziejów postępowej publicystyki” usunięto jego nazwisko

rzadko, ale się zdarzało, również w dziedzinie literatury, i to na jej szczytach, bo w Instytucie Badań Literackich w Warszawie po tym, gdy w roku 1951 poeta i komunistyczny dyplomata Czesław Miłosz „wybrał wolność”, uciekając z ludowej ojczyzny i prosząc o azyl polityczny na Zachodzie. Z dnia na dzień obwołano go wtedy zdrajcą, dezterem, „swołoczą, której należy pluć w twarz” – jak oświadczyła na zebraniu organizacji partyjnej literatów jej pierwsza sekretarz Janina Broniewska. Znikł wtedy zupełnie z życia literackiego, przestał oficjalnie istnieć. Co więcej, pech chciał, że już po jego ucieczce wyszła właśnie wydana przez IBL książka „Materiały do dziejów

ką, Henrykiem Markiewiczem. Oczywiście z treści książki cenzura usunęła po prostu nazwisko Miłosza, co gorsza jednak znalazło się ono również na reproduktowanej okładce wileńskiej „Karty” wymieniającej wszystkich jej współpracowników, m.in. tuzów ówczesnego życia literackiego i politycznego – Jerzego Putramenta, Stefana Jędrzychowskiego, przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Nie mogli znaleźć się obok „swołoczy” i „dezterera”.

Redaktorką książki była gorliwa stalinówka Ewa Korzeniewska, kierowniczka Pracowni Dokumentacji, której Hetman zlecił podrobić fotokopię, dokonać fotomontażu, usuwając trefne nazwisko. Jako



Wojciech Cejrowski
korespondencja
z USA

BANK

Bank przysłał mi nowe przepisy. Raczej nie oni to wymyślili, tylko Klaus lub Szwab. Cytuje: „Jeśli będziesz przebywać w kraju objętym sankcjami, np. Iranie, to nie zalogujesz się do serwisu transakcyjnego i nie skorzystasz z karty. Dokładną datę oraz listę krajów objętych sankcjami podamy w komunikacie na naszej stronie WWW”.

Sankcje przeciw Iranowi popieram, ale to, co napisano powyżej, to sankcje skierowane przeciw obywatelom RP i narażanie ich na kłopoty lub śmierć. Jeśli ktoś trafi do Iranu przypadkiem, gdy jego samolot będzie miał lądowanie awaryjne, czy COKOLWIEK, to ten ktoś nie będzie miał możliwości płacenia rachunków, wyciągnięcia miejscowej waluty ze ściany, zakupu żywności czy opłacenia transportu, aby uciec z Iranu. A w Iranie za kradzież żywności obcinają rękę, za inne przestępstwa głowę, a za prostytucję kamienują.

Ponadto napisali tak:

„Aby zmniejszyć ilość plastiku i chronić nasze środowisko, wycofujemy z oferty eKartę płatnikową. Od 26 stycznia 2023 r. zamówisz tylko eKartę wirtualną”. Ten przepis jest gorszy od poprzedniego, bo obejmuje nie tylko podróżników, badaczy lub aktywistów działających w obronie praw człowieka, którzy chcieliby jechać do Iranu. Ten przepis to jedna ze ścieżek dojścia do pieniądza elektronicznego. Coraz większa liczba rzeczy jest wykonalna wyłącznie za pomocą telefonu, a każdy telefon wykonano w Chinach oraz urządzenia 5G wykonano w Chinach i Chińczyk zostawił sobie furtkę dostępu, i może zgasić, co chce. Dostęp do leków nam zgasił, prawda?

W aptekach brakuje specyfików na grypę, a rząd polski „widzi problem” z dostawami z Chin. Jednocześnie rząd poza patrzaniem na problem nie prowadzi działań w kierunku uruchomienia produkcji leków w Polsce. Prowadzi natomiast agresywną walkę z gotówką.

Co chwilę dowiaduję się, że nie wolno mi zapłacić za fakturę gotówką powyżej pewnej kwoty i ta kwota jest stale zmniejszana przez władzę. Złotówki przesłane przelewem są OK, a te same złotówki w papierkach drukowanych przez rząd stają się NIELEGALNE, gdy suma na fakturze przekracza pewną kwotę. To te same złotówki i one są niby moje, ale władza wymusza, bym zastosował elektronicznego pośrednika, którego oni mogą kontrolować.

Na razie telefon czy plastikowa karta to tylko pośrednik w dostępie do gotówki, ale ten pośrednik się panoszy i zajmuje miejsce samej gotówki. Szwab ze swoją bandą wyznawców na razie zachowuje pozory – gdy płacisz elektroniką, to się nadal NAZYWA, że płacisz złotówkami, ale już teraz mogłoby się nazywać, że płacisz punktami e-waluty.

Eksplozja zjawiska nastąpiła w trakcie pandemii. Pamiętają Państwo, jak to gotówka była zakaźna, ale karta płatnicza (wyjęta z tego samego portfela) była OK? Stopniowo jedyną dopuszczalną formą będzie mizianie telefonem, bo wtedy władza widzi, co kupujesz, gdzie kupujesz, od kogo kupujesz i może ci w każdej chwili skasować forsy. Nieprawda? A w Kanadzie co zrobili w trakcie protestów z ciężarówkami w roli główniej? Zablokowali dostęp do

rachunków, wyłączyli bankomaty i się skończyło.

W Reichu już teraz bankomaty są nieczynne w wybranych przez władzę godzinach. A w Grecji co było w czasie kryzysu finansowego? Limit w bankomatach i niby miałeś forsy na rachunku, ale nie mogłeś z niej korzystać.

Pieniądz elektroniczny już istnieje, tylko go na pierwszy rzut oka nie widać – został ukryty pod awatarem złotówki, dolara, euro. Fakt, że niektóre transakcje wolno zawierać wyłącznie drogą elektroniczną, oznacza, że płacisz e-walutą. Każda forma płatności, która odbywa się bez dotykania gotówki, oznacza, że mamy do czynienia z e-walutą, a nazwy „złotówka”, „dolar”, „euro” są jedynie symboliczne.

Likwidacja gotówki to likwidacja wolności osobistej. Władza wolności nie lubi, władza kocha kontrolę. I kontrola ma być totalna. Po wprowadzeniu pieniądza elektronicznego lub po wymuszeniu, by wybrane transakcje odbywały się wyłącznie bezgotówkowo, władza może cię karać za to, że kupujesz dużo węgla. Wpiszą węgiel na czarną listę i już. Teraz za gotówkę możesz sobie kupić dowolnie zasiarczony (bo tylko taki znalazłeś na składzie), ale gdy transakcja będzie elektroniczna, to cię złapią i dowalą karę klimatyczną. Nie będziesz musiał tej kary nigdzie wpłacać – skasują ci odpowiednią liczbę punktów na koncie. I banki też się zlikwiduje, bo przecież wystarczą Profil Zaufany i podpis elektroniczny.

Nieposłusznych będą mogli kasować, gasząc im dostęp do e-forsy. I niewolnik przyjdzie na kolanach, błagać o przywrócenie do życia. To narzędzie

istnieje i działa już sprawnie na milionach ludzi w Chinach.

E, no Panie WC, banków to nie zlikwidują, bo kto by ludziom udzielał kredytów mieszkaniowych? A kto ich udziela teraz? Rząd PiS przedstawił projekt „Pierwsze Mieszkanie” – 600 tys. zł kredytu dla małżeństw z dziećmi. Kredyt na 2 proc. przez pierwsze 10 lat, resztę dopłaca rząd, a potem raty poniżej 2,5 tys. zł. Przy inflacji oficjalnej 18 proc. ktoś udziela kredytu na 2 proc. Ha, ha. Żaden bank tego nie robi i dlatego „resztę dopłaca rząd”, a ta reszta to WIEKSZOŚĆ. Po co w tym układzie ma w ogóle istnieć jakiś bank? Tylko przeskadza i generuje koszt jako pośrednik pomiędzy małżeństwem z dziećmi a rządem.

Rząd nie ma własnych pieniędzy – tylko to, co zagrabi w podatkach. Czyli najpierw zagrabi od małżeństwa z dziećmi, a potem dopłaci temu małżeństwu do kredytu. Kretyńskie, prawda? I... naturalną konsekwencją takiego kretyństwa jest likwidacja banków. Elektroniczne pieniądze będą sobie siedziały na twoim Profilu Zaufanym, wszystkie transakcje będą się odbywały na tym profilu, a podatki będą się ściągały automatycznie, podobnie jak mandaty za przekroczenie prędkości.

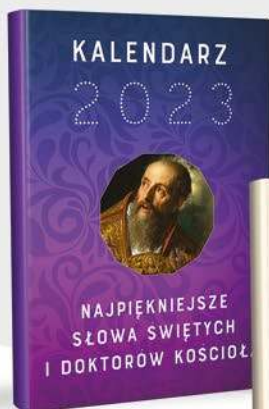
Propozycja wprowadzenia waluty elektronicznej sprowadza się do tego, że PESEL będzie jednocześnie twoim jedynym rachunkiem bankowym i będzie tam zapisane całe twoje życie, w tym obowiązkowe szczyponki.

Jak się przed tym bronić? Stosujcie gotówkę! Wszędzie, na siłę, zawsze. © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE KSIĄŻKI

ADRIAN MARKOWSKI: „BIESZCZADY. DLA TYCH, KTÓRZY LUBIĄ CHODZIĆ WŁASNYMI DROGAMI” ORAZ OPRACOWANIE AGNIESZKI MAZUR: KALENDARZ 2023. NAJPIĘKNIEJSZE SŁOWA ŚWIĘTYCH I DOKTORÓW KOŚCIOŁA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~515 zł~~

216,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 299 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl e056e84ba5

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski, Piotr Lisiewicz i Tomasz Sakiewicz**

